bezwierszówki

SDP
Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział w Olsztynie

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY nr 1-3 (115-117) styczeń-marzec 2015 ISSN 1732-7327

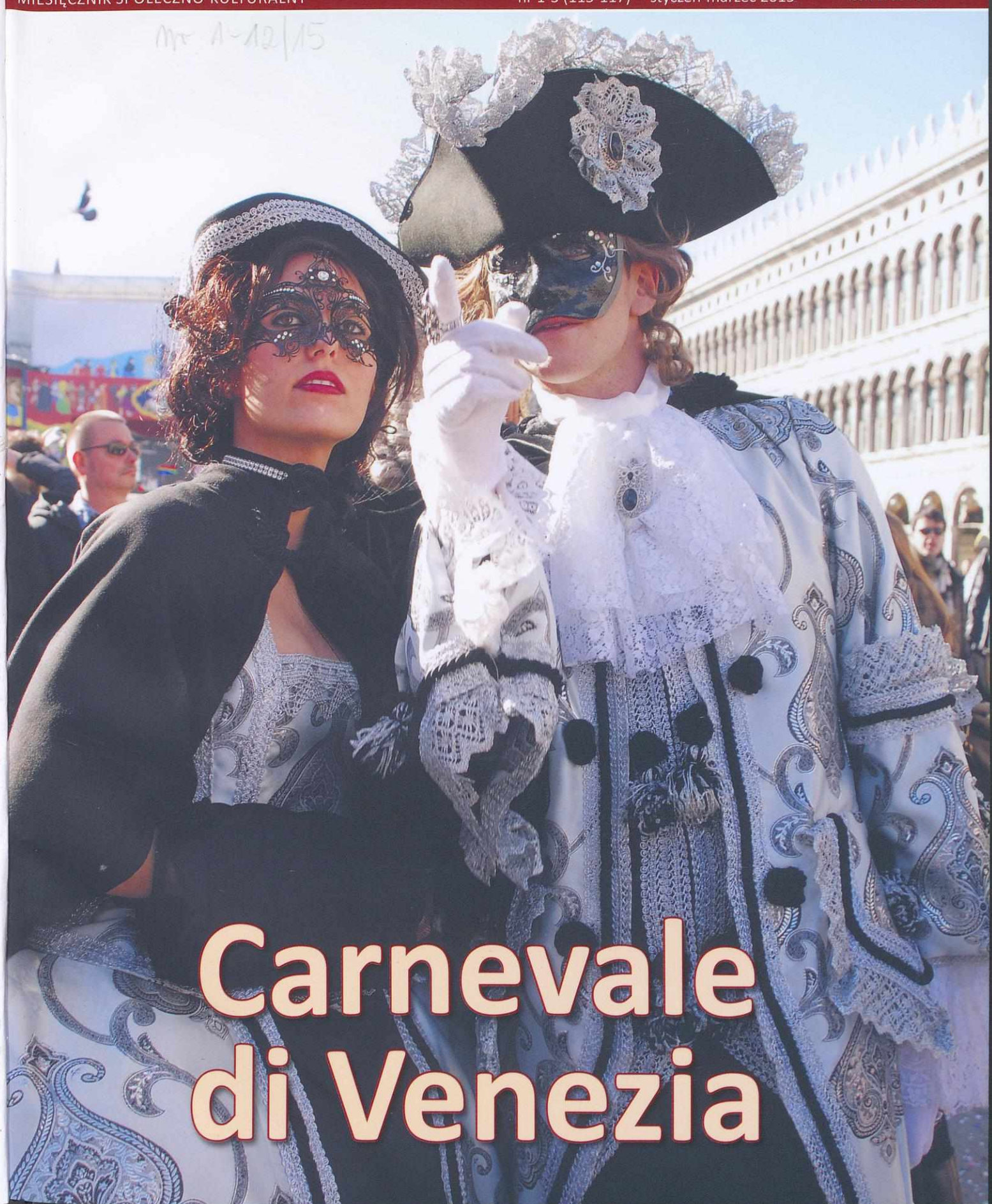

Carnevale di Venezia

Podaruj 1% podatku

Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą"

KRS 0000037904

1% podatku przeznaczamy na

- pomoc dla ponad 25 000 chorych i niepełnosprawnych dzieci z całego kraju
- refundację kosztów związanych z leczeniem i rehabilitacją
- prowadzenie trzech ośrodków rehabilitacyjnych: AMICUS, BIOMICUS i CEMICUS, oraz dwóch hosteli pielęgnacyjno-opiekuńczych w Warszawie, z których korzystają podopieczni Fundacji

www.dzieciom.pl

Nr inw. 110-021652
10-026 Olsztyn
ul. Stare Miasto 33
tel. 89 535 97 81

Seweryn Pieniężny

Seweryn Pieniężny jr. (ur. 25 lutego 1890 r. w Olsztynie, zm. 24 lutego 1940 r. w KZ Hohenbruch) – polski patriota, dziennikarz, redaktor i wydawca „Gazety Olsztyńskiej". Należał do nielicznego grona polskiej inteligencji Olsztyna okresu międzywojennego. Był synem Seweryna Pieniężnego (współwydawcy „Gazety Olsztyńskiej") i Joanny z Liszewskich, pracującej w redakcji „Gazety Olsztyńskiej".

Na zawsze w jego pamięci pozostały wydarzenia z 1901 roku, kiedy to niemiecki nauczyciel zaskarżył ojca Seweryna w olsztyńskim sądzie. Chodziło o artykuł, w którym Pieniężny sr. potępił zachowanie nauczyciela drwiącego z polskich uczniów i ich rodzin. Na rozprawie w roli świadków występował Seweryn jr. i jego brat Władysław. Sąd zasądził grzywnę w wysokości 50 marek i pokrycie kosztów procesu.

W 1910 roku Seweryn Pieniężny rozpoczął działalność publiczną, pełniąc funkcję sekretarza w zarządzie Polsko-Katolickiego Towarzystwa Ludowego „Zgoda" w Olsztynie. W roku 1914 został powołany do wojska. W 1918 roku przejął obowiązki kierownika redakcji „Gazety Olsztyńskiej". Gazeta stała się głównym organem propagandowym strony polskiej, prezentując wiernie przebieg kampanii informacyjnej przed plebiscytem.

Seweryn Pieniężny jr. był też autorem drukowanych przez wiele lat felietonów pt. „Kuba spod Wartemborka gada". Pisane w gwarze warmińskiej komentarze aktualnych wydarzeń nie tylko z życia miasta, ale też i całego świata, stały się jedną z mocniejszych stron „Gazety", wydawanej początkowo raz w tygodniu. Oprócz tych felietonów stałym elementem „Gazety Olsztyńskiej" był dział polityczny z informacjami o najnowszych wydarzeniach z kraju i ze świata, kronika, dział powieściowy oraz wiadomości gospodarcze.

1 września 1939 r. do redakcji „Gazety Olsztyńskiej" wkroczyło gestapo. Seweryn Pieniężny został aresztowany, a 24 lutego 1940 r. rozstrzelany w obozie koncentracyjnym w Hohenbruch koło Kłajpedy. Po ekshumacji w 1946 r. odbył się pogrzeb Seweryna Pieniężnego. Jego szczątki spoczęły w rodzinnym grobowcu na cmentarzu przy ul. Poprzecznej w Olsztynie.

Na cześć Seweryna Pieniężnego miasto Melzak, na mocy rozporządzenia ministrów administracji publicznej i ziem odzyskanych z 12 listopada 1946 roku o przywróceniu i ustaleniu urzędowych nazw miejscowości, otrzymało nazwę Pieniężno.

Biblioteka Pedagogiczna w Olsztynie

Zdjęcie to jest pierwszym obiektem opracowanym w katalogu muzealiów Domu „Gazety Olsztyńskiej". Pierwszym i jednocześnie jednym z najcenniejszych eksponatów. Jest to jedyna zachowana do naszych czasów fotografia przedstawiająca całą rodzinę ostatniego wydawcy i redaktora „Gazety Olsztyńskiej" – Wandę i Seweryna Pieniężnych z synem Konstantym oraz córkami: Ewą, Marią i Haliną. Zdjęcie wykonane zostało w 1932 roku w olsztyńskim Atelier Diettrich, z okazji przystąpienia dwojga starszych dzieci – jedenastoletniego Konstantego i siedmioletniej Ewy do Pierwszej Komunii Świętej. W tym uroczystym dniu młodsze córki – pięcioletnia Maria i trzyletnia Halina ubrane były w zakopiańskie serdaczki, co według rodzinnego zwyczaju stanowiło swoistą manifestację polskości. Fotografia ofiarowana została do muzealnych zbiorów w 1994 roku przez panią Ewę Bojarską z d. Pieniężną.

www.muzeum.olsztyn.pl

Jubileusze dziennikarzy Warmii i Mazur w 2015 roku

- 80. urodzin – Ryszard Piotr Dobek (1 września)
- 70. urodzin – Jan Krakowiak (20 kwietnia), Jerzy Jakub Pantak (25 lipca)
- 60 urodzin – Adam Jerzy Socha (21 lutego), Andrzej Zbigniew Brzozowski (6 lipca)
- 50 urodzin – Wojciech Krzysztof Szalkiewicz (30 marca)
- 50-lecie pracy dziennikarskiej – Andrzej Badurek
- 40-lecie pracy dziennikarskiej – Henryk Monkiewicz
- 35-lecie pracy dziennikarskiej – Jacek Zawadzki

Ad multos annos!

Akc. O Nr 38/16/Cz

Od naczelnego

Rok 2015

Jan Paweł II i Jan Długosz, zgodnie z uchwałami Sejmu RP, zostali ogłoszeni patronami 2015 roku. Równocześnie, z okazji 250-lecia powstania Teatru Narodowego w Warszawie, jest to Rok Polskiego Teatru.

W uchwale dotyczącej ogłoszenia Roku św. Jana Pawła II (1920-2005) podkreślono ogromne zaangażowanie papieża Polaka w proces odradzania się polskiej niepodległości oraz w propagowanie uniwersalnego przesłania o godności i prawach człowieka. Sejm chce, by te wartości towarzyszyły działaniom podejmowanym m. in. w ramach obchodów 10. rocznicy śmierci Karola Wojtyły.

W drugiej uchwale, mającej za cel upamiętnienie dokonań Jana Długosza (1415-1480) – wybitnego polskiego historyka, dyplomaty i duchownego, przypomniano, że Jan Długosz jest uważany za ojca polskiej historiografii i heraldyki, twórcę największego dzieła opisującego dzieje państwa polskiego – Roczniki, czyli Kroniki sławnego Królestwa Polskiego. Zwrócono także uwagę na szczególne znaczenie jego dzieł dla polskiego dziedzictwa kulturowego.

Trzecia z uchwał, podjętych 5 grudnia 2014 roku, ustanawiająca rok 2015 – Rokiem Polskiego Teatru stanowi „hołd ludziom i instytucjom tworzącym polski teatr, który jest jednym z najważniejszych obszarów życia kulturalnego i społecznego". W dokumencie podkreślono przypadające w bieżącym roku 250-lecie Teatru Narodowego w Warszawie oraz Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. „W ciągu 250 lat istnienia teatr publiczny w Polsce służył sztuce i społeczeństwu, podejmując dialog z tradycją, komentując otaczającą rzeczywistość oraz wytyczając nowe drogi rozwoju sztuki" – napisano w uchwale.

Na szczeblu Polski lokalnej, głównie na Warmii, w lutym obchodzić będziemy dwie szczególne rocznice związane z czołowym działaczem społecznym i oświatowym tych ziem w okresie międzywojennym, wielkim piewcą polskości – Sewerynem Pieniężnym jr. (1890-1940). Rocznice – 125-lecia urodzin i 75-lecia śmierci tego bohaterskiego patrioty i Polaka, dziennikarza, redaktora i wydawcy – będą przypominać ludzie pióra i dziennikarze, zwłaszcza zrzeszeni w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich, którego Warmińsko-Mazurski Oddział przyjął za swojego patrona.

IRENEUSZ ST. BRUSKI

W numerze: Seweryn Pieniężny – *3* • Rok 2015 (I. St. Bruski) – *3* • Aktualności – *4* • Służalcze dziennikarstwo (A. Dramiński) – *9* • Zaciskanie pętli? (W. P. Kwiatek) – *9* • Temida *contra* dziennikarze – *11* • Wywiady Błażeja Torańskiego – *12* • Cenzura państwowa i cenzura prywatna (W. Świetlik) – *13* • Wywiady Marka Palczewskiego – *14* • 33 lata po... (T. Bochwic) – *17* • Twarze mediów: Paweł Staszak (A. Zb. Brzozowski) – *18* • Na osiemdziesięciolecie Stefana Bratkowskiego – *19* • Nisza dla myślenia (K. Kłopotowski) – *20* • Kraj za mgłą (S. Truszczyński) – *21* • Felietony (J. Jachowicz, J. Rosłan) – *22* • „Przy kawie" w Radiu Olsztyn (M. Szczygło) – *23* • Zdążyć z Pomocą – *24* • Raz w roku można być szalonym (M. Chomicz) – *26* • Po wyborach (J. Rosłan) – *29* • Projekt „Media lokalne..." (W. Sadowski, J. Pantak) – *30* • Radio Olsztyn w latach 1980-1982 (I. St. Bruski) – *33* • „Hymn Warmiński" (A. Mackowicz) – *34* • Jak zostać Krzyżakiem? (U. Hanhkamp) – *36* • O reportażu interaktywnym i dokumentalistyce (M. Palczewski) – *38* • Kultura (A. Sztumski) – *39* • Mały bohater (E. Karaśkiewicz) – *40* • „Obce ciało" na sali kinowej (E. Królikowska-Avis) – *42* • Co się należy Zanussiemu (K. Kłopotowski) – *43* • Czy istnieje fotospołeczeństwo? (M. Sokołowski) – *45* • Okiem satyryka (A. Zb. Brzozowski) – *45* • Obserwatorzy, świadkowie, aktorzy (B. Ulewicz) – *46* • Pamięci redaktor Ludmiły (A. Dramiński) – *48* • Pożegnanie (K. Świtoń) – *49* • Wspomnienie o Kazimierzu Świtoniu (J. Chmielowska) – *49* • Z życia Oddziału – *50* • Wydarzenie miesiąca – *51*
Na okładce: Carnevale di Venezia. FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ, „Mademoiselle Conductrice". FOT. © PAWEŁ STASZAK

Sąd Rejonowy w Warszawie uniewinnił dziennikarzy zatrzymanych w PKW. Fotoreporter PAP Tomasz Gzella oraz reporter TV Republika Jan Pawlicki, zostali zatrzymani w siedzibie Państwowej Komisji Wyborczej w nocy z 20 na 21 listopada. Policja zarzucała im „naruszenie miru domowego". Dziennikarze relacjonowali liczenie głosów po wyborach samorządowych i zajęcie przez demonstrantów siedziby PKW. Zostali zatrzymani razem z osobami okupującymi siedzibę komisji. Przeciwko zatrzymaniu protestował Zarząd Główny SDP, kierownictwo TV Republika, Klub Fotografii Prasowej przy SDP i SF, Kongres Mediów Niezależnych oraz członkowie Koła Stowarzyszenia Wolnego Słowa w Szczecinie – działacze „Solidarności", opozycyjni dziennikarze, drukarze i kolporterzy prasy podziemnej w latach 1982-1989.

Oświadczenie rzecznika prasowego MSW

„Zatrzymanie dziennikarzy nastąpiło w wyniku nieporozumienia".

„Po zapoznaniu się z raportem policji w tej sprawie czekałam na rozstrzygnięcie sądowe. Szczegółowa informacja przedstawiona mi przez policję potwierdziła, że nie doszło do naruszenia prawa i procedur przez policję, a okoliczności zatrzymania dziennikarzy wymagają oceny sądu. Sąd uznał, że nie było intencją policjantów zatrzymanie dziennikarzy, które nastąpiło w wyniku nieporozumienia" – mówi minister Teresa Piotrowska.

– Niedobrze się stało, że nastąpiła taka pomyłka. To ważne, że sąd już dziś wydał orzeczenie w tej sprawie – mówi minister spraw wewnętrznych. – W przyszłości nie może dochodzić do takich sytuacji – podkreśla minister Piotrowska.

Szefowa MSW już 24 listopada br. zobowiązała komendanta głównego Policji do wypracowania odpowiednich procedur współpracy z mediami w podobnych – trudnych zarówno dla dziennikarzy, jak i policjantów – sytuacjach. W Komendzie Głównej Policji już od 25 listopada działa specjalny zespół, który pracuje nad zasadami współdziałania z mediami.

Małgorzata Woźniak
Rzecznik prasowy MSW
Warszawa, 5 grudnia 2014 r.

List Stowarzyszenia Wolnego Słowa do Ministra Spraw Wewnętrznych

Pani Teresa Piotrowska
Minister Spraw Wewnętrznych

Szanowna Pani Minister,
„Dziennikarze są niewinni" – tak po trzech rozprawach, 5 grudnia 2014 roku orzekł Sąd Rejonowy w sprawie zatrzymanych 20 listopada 2014 roku w siedzibie PKW reportera TV Republika Jana Pawlickiego i fotoreportera PAP Tomasz Gzella.

Ten wyrok wzmacnia wiarę w wolność słowa w Polsce, naruszoną przez ich oskarżenie, ale nie odpowiada na pytania dlaczego w ogóle do niego doszło. Dlatego, w ślad za naszymi listami do Pani z 22 i 25 listopada, nadal domagamy się pełnego wyjaśnienia tego wypadku, naruszającego swobodę przekazu informacji poprzez media.

W ustnym uzasadnieniu wyroku sędzia Sądu Rejonowego dla Warszawy Śródmieścia, Łukasz Mroczek, określił zatrzymanie Jana Pawlickiego i Tomasza Gzella mianem „niefortunnego przypadku". Jednak Sąd nie analizował całego zdarzenia, a jedynie zatrzymanie dziennikarzy na sali konferencyjnej PKW podczas likwidowania tam protestu osób odmawiających opuszczenia tego miejsca. Sąd doszedł do wniosku, że dziennikarze nie naruszyli miru domowego PKW, o co zostali oskarżeni przez policję, ponieważ przed użyciem siły dowodzący akcją skierował wezwanie do mediów, by nie utrudniały pracy funkcjonariuszy. Tym samym zmienił poprzednie wezwania do opuszczenia sali także przez dziennikarzy.

Sąd nie badał jednak tego, co działo się później – w Ruchomym Punkcie Zatrzymań ani na komisariacie przy ul. Wilczej. Nie analizował dlaczego po wylegitymowaniu doprowadzonych tam dziennikarzy, z których jeden miał nawet akredytację PKW, nie zostali oni zwolnieni, podobnie jak 10 innych osób, które przed użyciem siły dobrowolnie opuściły salę PKW. Nie wyjaśniał czemu innych dziennikarzy nie zatrzymano w ogóle i za zgodą policji powrócili oni na opróżnioną salę PKW i zabrali z niej swój sprzęt.

Okoliczności, które ujawnił przewód sądowy, skłaniają nas do postawienia pytań:

– na jakiej podstawie zostali wybrani do zatrzymania przez policję fotoreporter PAP i reporter TV Republika? Zeznania policjantów, wskazujące że Jan Pawlicki był wysoki i zadawał im pytania, a Tomaszowi Gzellowi utknęła w drzwiach sali torba ze sprzętem, nie są przekonujące.

– kto i dlaczego podjął decyzję o dalszym zatrzymaniu obu dziennikarzy po sprawdzeniu ich personaliów i odebraniu wyjaśnień w RPZ przed PKW?

– kto w siłach interweniującej policji odpowiadał za kontakt z przedstawicielami mediów?

Przewód sądowy tego nie ujawnił, choć zgodnie z Zarządzeniem nr 23 Komendanta Głównego Policji z 24 września 2014 roku dowódca każdej operacji policyjnej ma obowiązek wyznaczyć funkcjonariusza odpowiedzialnego za kontakty ze środkami masowego przekazu.

Pisaliśmy o tym do Pani 25 listopada, wyjaśniając że deklaracja o zamiarze opracowania procedury współpracy z mediami w trakcie interwencji policyjnych jest spóźniona.

– kto podjął decyzję o złożeniu wniosku i postawieniu dziennikarzy przed sądem?

Dlatego po raz trzeci stawiamy pytania o przyczyny zatrzymania uniewinnionych już dziennikarzy i o postępowanie policji po ich zatrzymaniu, niezmiennie oczekując od Pani Minister publicznej odpowiedzi.

Z wyrazami szacunku
w imieniu Zarządu Stowarzyszenia
Wolnego Słowa

Wojciech Borowik
Prezes Zarządu SWS
Warszawa, 7 grudnia 2014 r.

Oświadczenie SDP po wyroku uniewinniającym dziennikarzy

SDP wita z zadowoleniem wyrok uniewinniający dziennikarzy Jana Pawlickiego (TV Republika) i Tomasza Gzella (PAP) w procesie o naruszenie miru domowego Państwowej Komisji Wyborczej.

Dziennikarze zostali zatrzymani przez policję podczas relacjonowania wydarzeń w PKW w dniu 20 listopada. Po raz pierwszy od 1989 roku, dziennikarze zatrzymani podczas wykonywania swoich obowiązków, przebywali w areszcie ponad 24 godziny. Wzbudziło to słuszne oburzenie i sprzeciw całego środowiska dziennikarskiego.

Jednym z fundamentów demokracji jest dostęp do rzetelnej i niezależnej informacji. Pozyskanie informacji jest prawem i obowiązkiem dziennikarzy. Władze demokratycznego, europejskiego państwa powinny respektować prawa dziennikarzy.

W uzasadnieniu wyroku sędzia nazwał całe wydarzenie „przykrym nieporozumieniem" i nie analizował powodów, z jakich do niego doszło. SDP wyraża nadzieję, że takie „przykre nieporozumienia" nie będą miały miejsca w przyszłości.

Krzysztof Skowroński, *prezes SDP*
Agnieszka Romaszewska-Guzy, *wiceprezes SDP*
Piotr Legutko, *wiceprezes SDP*
Warszawa, 8 grudnia 2014 r.

Dziwny rok 2014

Trudno powiedzieć, czy był to rok dobry dla dziennikarstwa. Wydaje się, że nie był ani dobry, ani zły. Ot, taki przeciętny. Pod pewnymi względami był to jednak rok dziwny, i o tym będzie poniżej.

Za newsa roku w konkursie Grand Press została uznana informacja o podsłuchanych rozmowach polityków w restauracji „Sowa i przyjaciele". Z pewnością nie było newsa, który miałby w 2014 roku większy rozgłos. Ale czy rozgłos musi być równoznaczny ze znaczeniem? I czy ten news był wynikiem pracy dziennikarzy? Przypomnę, że jego główni propagatorzy, czyli Sylwester Latkowski, Michał Majewski i Piotr Nisztor w swoich książkach o aferze podsłuchowej podkreślali, że ten ostatni (czyli Nisztor) obszedł kilka redakcji (m.in. TVP Info, „wSieci" i „Puls Biznesu"), i że nigdzie nie chcieli owych rewelacji opublikować. Dopiero tygodnik „Wprost" zdecydował się na ujawnienie treści tych rozmów.

Uważam, że dziennikarzom „Wprost" należy się uznanie, albowiem w przeciwnym razie ta ważna sprawa nie ujrzałaby światła dziennego. Ale, z drugiej strony, taki rodzaj newsa bywał wcześniej określany jako „kwitowy" (o dziennikarstwie „kwitowym" pisał Paweł Kwiatkowski w książce *Przedsiębiorstwo Apokalipsa*). Jaka była bowiem zasługa redakcji w zdobyciu tej informacji? Do tej pory nie została ona dokładnie wyjaśniona. Ocenę pozostawiam czytelnikom. Patrząc na to z trzeciej strony, można by powiedzieć, że o wiele bardziej znaczące i ważne dla bieżących spraw i dla przyszłości naszego kraju były newsy o kanonizacji Jana Pawła II, czy o tym, że Donald Tusk został przewodniczącym Rady Europejskiej. Oczywiście, konstrukcja nagrody Grand Press jest taka, że przyznaje się ją za odkrycie ważnej informacji i przekazanie jej do publicznej wiadomości, a nie za jej merytoryczną i obiektywną wartość w polityce krajowej, czy zagranicznej.

Z pewnością news o podsłuchach prominentnych polityków posiadał więcej tzw. wartości informacyjnych (choćby z tego powodu, że dotyczył afery i był informacją negatywną), ale trudno powiedzieć, żeby był wynikiem pracy dziennikarskiej (reporterskiej). Był natomiast poddany obróbce redaktorskiej (w takim sensie, że został zaakceptowany do publikacji przez redaktora naczelnego, i że został opracowany przez redaktorów przed jego ujawnieniem).

Warto dodać, że Grand Press w kategorii newsa (podobnie jak i w pozostałych) przyznaje się za: a) wybitne walory warsztatowe; b) znaczenie materiału dla opinii publicznej, c) ciekawy, indywidualny charakter materiału, d) zachowanie standardów etycznych dziennikarstwa. Mogę uznać, że wspomniana informacja spełniała kryteria b) i c). Co do pierwszego (a), to raczej nie, a co do ostatniego, to nie mogła spełnić, bo została uzyskana metodami nieetycznymi (aczkolwiek są sytuacje, kiedy takie metody bywają przez kodeksy etyki dziennikarskiej dopuszczalne – więc rodzi się pytanie, czy wtedy są one etyczne czy nie? To jest przykład błędnego koła w etyce dziennikarskiej). Tak, czy inaczej, afera była głośna, ale jakiś niesmak w całej tej sprawie pozostaje.

W innych kategoriach miałbym łatwiejsze zadanie, by jednoznacznie wskazać dziennikarzy, którzy w minionym roku – jak to się mówi – „tworzyli różnicę". Zatem, w kategorii wywiadu podobały mi się rozmowy Roberta Mazurka (szczególnie wywiad z Joachimem Brudzińskim), Jacka Nizinkiewicza i Magdaleny Rigamonti (jeśli chodzi o prasę) oraz Konrada Piaseckiego i Marcina Zaborskiego (w radiu). Za reportaże zbiorowo wyróżniłbym zespoły „Magazynu Ekspresu Reporterów" TVP2 i „Dużego Formatu" – „Gazety Wyborczej". W kategorii publicystyki prasowej laur przyznałbym – oczywiście te nominacje, jak wszystkie inne, są czysto subiektywne – Bronisławowi Wildsteinowi za artykuły o Ukrainie oraz Andrzejowi Stankiewiczowi za komentarz polityczny, a wśród programów telewizyjnych „z misją" – Tomaszowi Sekielskiemu za cykl „Po prostu". I na koniec, „Rzeczpospolitej" za dodatek „Plus Minus".

Miniony rok był również świadectwem solidarności dużej części środowiska dziennikarskiego, które stanęło w obronie prawa dziennikarzy tygodnika „Wprost" do zachowania w tajemnicy źródeł informacji w aferze podsłuchowej, a także wystąpiło z protestem wobec zatrzymania przez policję dziennikarzy pełniących swoje zawodowe obowiązki w czasie wtargnięcia przez demonstrantów do siedziby PKW. Jednak już stosunek do marszu w obronie demokracji i wolności mediów wywołał wśród dziennikarzy kontrowersje, i to na dwóch płaszczyznach: czy demokracja i wolność mediów w Polsce jest zagrożona, oraz czy dziennikarze powinni brać udział w manifestacjach organizowanych przez partie polityczne? Moja odpowiedź na oba pytania brzmi NIE. Oczywiście, każdemu wolno decydować we własnym sumieniu, co jest stosowne, a co nie. Jednak wybierając czynny udział bezpośredni w akcji organizowanej przez partię polityczną (niezależnie czy to przez PiS, PO, PSL, czy przez SLD), stałbym się dziennikarzem niezależnym inaczej. A tego sobie na Nowy Rok 2015 bynajmniej nie życzę!

MAREK PALCZEWSKI

Konkurs

Ogólnopolski konkurs na reportaż radiowy „Pogranicze 2014"

Do konkursu można zgłosić reportaże radiowe i fotokasty emitowane w 2014 roku, o tematyce pielęgnującej pamięć o dziedzictwie historycznym, a także ukazującym problematykę pogranicza w sensie współczesnym – kulturowym, geograficznym, obyczajowym. Udział w konkursie mogą wziąć utwory pracowników i współpracowników radia publicznego, także utwory zrealizowane przez producentów niezależnych. Prace należy nadsyłać do 10 stycznia 2015 roku.

Regulamin konkursu oraz karta zgłoszenia do pobrania na stronie internetowej organizatora: www.ro.com.pl.

Szczegółowych informacji udziela sekretarz konkursu Mariusz Borsiak (tel. 602 585 388, e-mail: mariusz_borsiak@ro.com.pl.

BSC / RO

Zarząd Główny SDP gratuluje TV Republika złamania zmowy milczenia w sprawie przesłuchania prezydenta Bronisława Komorowskiego

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich obserwowało przesłuchanie prezydenta Bronisława Komorowskiego jako świadka w procesie Wojciecha Sumlińskiego.

SDP składa gratulacje dziennikarzowi TV Republika Michałowi Rachoniowi, który – za pomocą własnego telefonu komórkowego – przełamał zmowę milczenia wobec tego zdarzenia i pozwolił opinii publicznej na zapoznanie się z zeznaniami Bronisława Komorowskiego. Michał Rachoń rzetelnie wykonał swoją pracę. Mamy nadzieje, że takich odważnych i sumiennych dziennikarzy będzie coraz więcej.

W Pałacu Prezydenckim były kamery wszystkich polskich telewizji. Jednak żadna z telewizji nie odważyła się przeprowadzić relacji na żywo z przesłuchania pierwszej osoby w państwie.

Takie wydarzenie byłoby szeroko komentowane i transmitowane w każdym demokratycznym kraju. Postawa przedstawicieli dużych telewizji jest, z punktu widzenia dziennikarskiego rzemiosła, zawstydzająca.

Krzysztof Skowroński, *prezes SDP*
Agnieszka Romaszewska-Guzy, *wiceprezes SDP*
Piotr Legutko, *wiceprezes SDP*
Warszawa, 19 grudnia 2014 r.

W odpowiedzi na uchwałę Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich ws. outsourcingu pracowników twórczych w TVP S.A., którą opublikowaliśmy w poprzednim numerze „Bez Wierszówki" (nr 12/2014, s. 5) Ministerstwo Skarbu Państwa wystosowało następującą odpowiedź:

List Ministerstwa Skarbu Państwa ws. outsourcingu pracowników twórczych TVP S.A.

Pan
Tadeusz Woźniak
Przewodniczący Prezydium
Zjazdu Delegatów SDP

Szanowny Panie Przewodniczący,
w związku z apelem Zjazdu Delegatów Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z dnia 26 października 2014 roku w sprawie Spółki Telewizja Polska S.A., skierowanym do Ministra Skarbu Państwa oraz do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji uprzejmie informuję, co następuje:

Spółka Telewizja Polska S.A. kontynuuje od kilku lat działania restrukturyzacyjne, które obejmują m. in. restrukturyzację majątku trwałego, umów z dostawcami, oferty programowej oraz oddziałów terenowych. Jednym z elementów prowadzonej restrukturyzacji jest również restrukturyzacja zarządzania i organizacji Spółki, w tym optymalizacja funkcji i procesów zarządzania zasobami ludzkimi. Głównym celem podejmowanych działań jest zapewnienie jak największych środków na finansowanie działalności programowej Spółki, w warunkach stabilizacji ekonomicznej.

W związku z koniecznością dostosowania funkcjonowania Spółki do realiów rynkowych i biznesowych, niezbędne było podjęcie kolejnych, systemowych działań restrukturyzacyjnych, w tym tych, które bezpośrednio dotyczą organizacji procesów wewnętrznych. W celu zwiększenia efektywności funkcjonowania Spółki, Zarząd w maju 2013 roku podjął decyzję, zgodnie z którą poza strukturę została wydzielona część zadań i funkcji: dziennikarskich, montażowych, grafiki komputerowej oraz charakteryzacji.

Z informacji będących w posiadaniu Ministerstwa Skarbu Państwa wynika, że współpraca z firmą LeasingTeam Sp. z o.o. w zakresie świadczenia usług na rzecz Telewizji Polskiej S.A. prowadzona jest ze szczególną dbałością o zabezpieczenie realizacji misji publicznej, którą na Spółkę nakłada Ustawa z dnia 29 grudnia 1992 roku o radiofonii i telewizji (Dz. U. z 2011 r., Nr 43, poz. 226, z późn. zm.).

Zarząd Telewizji Polskiej S.A. w korespondencji kierowanej do Ministerstwa Skarbu Państwa wielokrotnie podkreślał, iż przeniesienie pracowników na zasadach określonych w art. 231 Kodeksu pracy jest konsekwencją wydzielenia określonych zadań i funkcji poza strukturę i wynika ze zmiany modelu funkcjonowania procesów organizacyjnych, a realizowana reorganizacja zapobiegnie zwolnieniom grupowym oraz pozwoli na utrzymanie miejsc pracy w zmienionej strukturze i organizacji.

Jak podkreśla Zarząd, zadania określone w art. 21 ust. la Ustawy o radiofonii i telewizji są i będą realizowane, a ww. Ustawa nie ogranicza możliwości sposobu realizacji zadań wyłącznie poprzez wewnętrzne struktury Spółki lub podmioty zależne. Prowadzone działania zabezpieczą właściwą realizację zadań ustawowych, a w szczególności w zakresie programowym, realizacji telewizyjnej i filmowej oraz zbiorów programowych. Ponadto w perspektywie długofalowej wdrożenie powyższych rozwiązań przyczyni się m. in. do:

- uelastycznienia procesów w dziedzinach zarządzania i realizacji zadań,
- zwiększenia jakości materiałów trafiających do emisji oraz efektywnego wykorzystania posiadanych zasobów Spółki,
- dostępności nowoczesnych technologii i rozwiązań.

Związki Zawodowe funkcjonujące w strukturze Spółki byty informowane o istotnych aspektach prowadzonych działań oraz powodach ich realizacji. Komunikacja była prowadzona na bieżąco ze wszystkimi organizacjami związkowymi, zgodnie ze standardami prowadzenia dialogu społecznego. Wszelkie realizowane działania reorganizacyjne, poprzedzane byty stosownymi analizami na zlecenie Zarządu Telewizji Polskiej S.A., a także decyzjami organów Spółki właściwych kompetencyjnie w danym obszarze. Należy wskazać, iż Minister Skarbu Państwa nie jest stroną umowy z firmą LeasingTeam Sp. z o.o. Dysponentem przedmiotowej umowy jest Zarząd Telewizji Polskiej S.A. i tylko Zarząd Spółki może podjąć decyzję o jej udostępnieniu.

Jednocześnie informuję, że zgodnie z treścią art. 22 ust. 1 ww. Ustawy o radiofonii i telewizji organy państwowe mogą podejmować decyzje w sprawach działalności jednostek publicznej radiofonii i telewizji tylko w przypadkach przewidzianych ustawami.

W ramach sprawowanego nadzoru właścicielskiego Minister Skarbu Państwa w świetle ww. Ustawy o radiofonii i telewizji oraz Ustawy z dnia 15 września 2000 roku Kodeks spółek handlowych nie ma podstaw prawnych do ingerowania w kwestie dotyczące bieżącego prowadzenia spraw Spółki przez Zarząd Telewizji Polskiej S.A. Bezpośrednia Ingerencja Ministra Skarbu Państwa w zagadnienia należące do statutowych obowiązków i kompetencji Zarządu, w tym m. in. umowy z podmiotami zewnętrznymi, czy politykę personalną stanowiłoby naruszenie obowiązujących przepisów prawa.

RAFAŁ BANIAK
Podsekretarz Stanu
Warszawa, 1 grudnia 2014 r.

Do wiadomości:
Pan Jan Dworak, przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji

Obchody Dnia Patrona Oddziału SDP w Olsztynie

24 lutego 2014 (wtorek) – 75. rocznica śmierci Seweryna Pieniężnego

Szlak Pamięci Seweryna Pieniężnego
Godz. 10.30 – Złożenie kwiatów przy pomniku Seweryna Pieniężnego obok Olsztyńskich Zakładów Graficznych (ul. Towarowa 2)
Godz. 11.00 – Obchody centralne na cmentarzu komunalnym (ul. Poprzeczna), złożenie kwiatów i zapalenie zniczy na grobie Seweryna Pieniężnego
Godz. 12.00 – Msza święta w intencji śp. Seweryna Pieniężnego w bazylice konkatedralnej św. Jakuba
Godz. 13.00 – Złożenie kwiatów przy Głazie upamiętniającym Seweryna Pieniężnego (skwer obok Domu „Gazety Olsztyńskiej" od ul. Nowowiejskiego)

25 lutego 2015 (środa) – 125. rocznica urodzin Seweryna Pieniężnego

Konferencja naukowa poświęcona Sewerynowi Pieniężnemu zorganizowana przez Ośrodek Badań Naukowych (ul. Partyzantów)

Finał Konkursu o Nagrodę im. Seweryna Pieniężnego za rok 2014

Z zaproszeniem do udziału w uroczystościach rocznicowych
ZARZĄD ODDZIAŁU SDP

Dziennikarski konkurs

Warmińsko-Mazurski Oddział SDP w Olsztynie zaprasza dziennikarzy do udziału w Konkursie o Nagrodę im. Seweryna Pieniężnego.

W Konkursie będą brane pod uwagę teksty prasowe, produkcje telewizyjne i radiowe oraz publikacje w mediach elektronicznych, opublikowane lub wyemitowane w roku 2014.

Nominacje do Nagrody im. Seweryna Pieniężnego mogą zgłaszać redakcje gazet, stacji radiowych, telewizyjnych, portali internetowych, sami dziennikarze oraz członkowie Kapituły Nagrody.

Zgodnie z regulaminem Konkursu, Kapituła może również dokonać wyboru antylaureata, czyli napiętnować postawy niegodne, sprzeniewierzające się etyce zawodowej, a tym samym godzące w dobre imię dziennikarzy.

Ostateczny termin nadesłana zgłoszenia wraz z wymaganymi załącznikami upływa 15 stycznia 2015 roku. Finał Konkursu nastąpi 25 lutego, podczas obchodów Dnia Patrona Warmińsko-Mazurskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Szczegółowy regulamin Konkursu poniżej, można go również znaleźć na stronie internetowej Stowarzyszenia: www.sdp.pl. W przypadku wątpliwości: tel. 531 507 527.

Informację o zgłoszeniu konkursowym prosimy również przesłać drogą e-mailową, na adres: sdp.olsztyn@wp.pl.

IRENEUSZ ST. BRUSKI
Przewodniczący Kapituły Nagrody

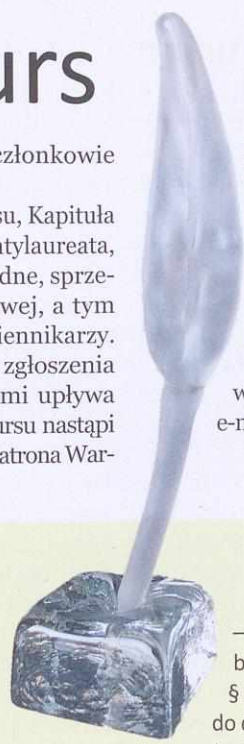

Regulamin konkursu

§ 1. Organizatorem Konkursu „Nagroda SDP im. Seweryna Pieniężnego" jest Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich Oddział w Olsztynie.

§ 2. Celem konkursu jest promowanie dziennikarstwa Warmii, Mazur i Powiśla, zachęcanie do dbałości o przestrzeganie zasad etyki zawodowej, wolność słowa, profesjonalizm oraz podnoszenie umiejętności warsztatowych.

§ 3. Nagrodę główną może otrzymać dziennikarz prasowy, telewizyjny, radiowy lub publikujący w mediach elektronicznych.

§ 4. Laureat Nagrody SDP im. Seweryna Pieniężnego otrzyma statuetkę oraz nagrodę pieniężną w wysokości 2.500 złotych. Termin i miejsce ogłoszenia wyników konkursu zostaną podane do publicznej wiadomości oraz opublikowane w miesięczniku społeczno-kulturalnym „Bez Wierszówki". Jury może przyznać dodatkowe nagrody i wyróżnienia honorowe.

§ 5. 1. Nominacje do Nagrody im. Seweryna Pieniężnego mogą zgłaszać kolegia redakcyjne gazet, stacji radiowych, telewizyjnych, portali internetowych, sami dziennikarze oraz członkowie Kapituły Nagrody.

2. Zgłosić należy minimum trzy artykuły prasowe, audycje radiowe, programy telewizyjne, materiały internetowe opublikowane lub wyemitowane od 1 stycznia do 31 grudnia danego roku, za który przyznawana jest Nagroda.

§ 6. 1. Zgłoszenia, w terminie do 15 stycznia, należy nadsyłać na adres: Warmińsko-Mazurski Oddział SDP, ul. Hozjusza 12/3, 11-041 Olsztyn z dopiskiem na kopercie: „Konkurs im. Seweryna Pieniężnego".

2. Zgłoszenie powinno zawierać:
– dane autora (imię, nazwisko, adres) oraz tytuły utworów oraz daty i miejsca ich publikacji lub emisji;
– materiały konkursowe w trzech egzemplarzach zapisane na płytach CD lub DVD w formatach: Word, txt, mp3, mp4, a w przypadku artykułów – wydruk komputerowy albo kserokopia zgłaszanego materiału;
– zgodę na przetwarzanie danych osobowych.

§ 7. Kapitułę Nagrody, liczącą od pięciu do dziewięciu członków, powołuje każdego roku Zarząd Oddziału SDP w Olsztynie, nie tylko spośród członków Stowarzyszenia. Przewodniczącym Kapituły jest prezes Oddziału SDP. Zmiany w składzie Kapituły uchwala Zarząd Oddziału SDP. Zarząd może zaprosić do oceny prac konkursowych inne osoby, które swoim dorobkiem zawodowym przyczynią się do podniesienia rangi Konkursu.

§ 8. Kapituła Nagrody ustala regulamin swej pracy.

§ 9. Kapituła Nagrody może również dokonać wyboru antylaureata, czyli napiętnować postawy niegodne, sprzeniewierzające się etyce zawodowej, a tym samym godzące w dobre imię dziennikarzy. Antylaury mogą być przyznawane także wydawcom oraz zespołom redakcyjnym.

Olsztyn, 14 marca 2014 r.

W sprawie red. Adama Jerzego Sochy stanowisko zajęło wiele osób i środowisk, nie tylko Olsztyna i regionu, w tym posłowie Jerzy Szmit i Jarosław Gowin, SDP, CMWP, Fundacja „Debata", grupa 34. represjonowanych w stanie wojennym działaczy „Solidarności", związki zawodowe MPEC-u. Na tych łamach publikowaliśmy niektóre z apeli i oświadczeń.
W ostatnim czasie pismo w sprawie redaktora Sochy wystosował także Warmińsko-Mazurski Zarząd Regionu NSZZ „Solidarność", w którym „domaga się przywrócenia, znanemu i cenionemu dziennikarzowi, m. in. odznaczonemu przez ministra kultury odznaką «Zasłużony dla Kultury Polskiej», zgody na publikowanie w mediach papierowych i internetowych".
Sprawą red. Adama J. Sochy zajmowała się również Rada Programowa Radia Olsztyn S.A., która 16 grudnia przegłosowała specjalną uchwałę, przygotowaną przez Bożennę Ulewicz, stosunkiem głosów 4 do 3. Jednak z uwagi na brak kwalifikowanej większości, uchwała nie została przyjęta.
Zakaz, jaki dotknął redaktora Radia Olsztyn, wywołał też demonstracje i protesty uliczne w Olsztynie, m. in. *performans* artysty Jacka Adamasa pod siedzibą Radia Olsztyn pt. „ul. Mysia 3. Polskie Radio Olsztyn", protest Anny Niszczak podczas obchodów 30. rocznicy męczeńskiej śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki, demonstrację represjonowanych w stanie wojennym 11 listopada na Placu Solidarności oraz demonstrację zorganizowaną przez Fundację „Debata" 12 grudnia pod siedzibą Radia Olsztyn.

RED.

Odpowiedź KRRiTV na Apel Nadzwyczajnego Walnego Zebrania Członków Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP

Pan dr Ireneusz St. Bruski
Prezes Oddziału
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
w Olsztynie

Szanowny Panie Prezesie,
w związku z przekazanym do wiadomości Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji wystąpieniem z 1 października 2014 roku, skierowanym do prezesa Radia Olsztyn S.A. p. Mariusza Bojarowicza, dotyczącym cofnięcia zgody udzielonej red. Adamowi Jerzemu Sosze na publikację tekstów w prasie i Internecie, uprzejmie informuję, że zapoznaliśmy się z wyjaśnieniami przedstawionymi w tej sprawie przez prezesa Radia Olsztyn S.A.

Pragnę podkreślić, że Krajowa Radia Radiofonii i Telewizji nie posiada kompetencji, by ingerować w sprawy kadrowe spółek publicznej radiofonii i telewizji. Decyzje personalne, w tym również w szczególności określanie warunków współpracy z dziennikarzami, leżą w gestii zarządów spółek.

Z poważaniem
Anna Szydłowska-Żurawska
Dyrektor Departamentu Prezydialnego
Warszawa, 7 listopada 2014 r.

Opinia w sprawie statusu pracowniczego Adama Sochy – redaktora sekcji internetowej Radia Olsztyn S.A.

Podstawę prawną dla oceny statusu pracowniczego osoby zatrudnionej w jednostkach radia i telewizji w zakresie prowadzenia działalności konkurencyjnej stanowią:
- ustawa z dnia 26.06.1974 r. Kodeks pracy,
- ustawa z dnia 29 grudnia 1992 r. o radiofonii i telewizji,
- ustawa z dnia 26 stycznia 1984 r. Prawo prasowe,
- ustawa z dnia 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych,
- ustawa z dnia 16 kwietnia 1993 r. o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji

i przede wszystkim przepisy Konstytucji Rzeczypospolitej.

Stan faktyczny nie wymaga szerszego komentarza. W dniu 26 stycznia 2009 roku została zawarta umowa pomiędzy Regionalną Rozgłośnią „Radio Olsztyn S.A." w Olsztynie a red. Adamem Sochą – pracownikiem tej Rozgłośni, o zakazie konkurencji w czasie trwania stosunku pracy. Jednocześnie w dniu 9 lutego 2009 roku Rozgłośnia wyraziła zgodę na współpracę red. Sochy z szeregiem dzienników i czasopism, wychodząc słusznie z założenia, że przygotowywane materiały prasowe dla wskazanych pism nie noszą znamion konkurencji.

W dniu 24 września 2014 roku Rozgłośnia bez podania motywów cofnęła zgodę na dziennikarską współpracę ze wskazanymi tytułami. Stanowisko Rozgłośni jest – w ocenie obowiązującego prawa – całkowicie niezasadne i co więcej, naruszające konstytucyjne prawa Obywatela.

1. W jednostkach radia i telewizji jest praktykowany zakaz konkurencji w czasie trwania stosunku pracy, a w szczególnych przypadkach także przez pewien okres po jego ustaniu. Zakaz ten obejmuje przede wszystkim takie powiązanie pracownika, które godzi w interes pracodawcy; chodzi zatem o taką współpracę z innym podmiotem, które jest tożsame z działalnością pracodawcy, w tym przypadku, z działalnością Rozgłośni „Radio Olsztyn S.A.".

2. Wprowadzenie do umowy o pracę warunku o zakazie konkurencji mieści się w regułach prawa pracy, niemniej, skoro stanowi to ograniczenie prawa pracowniczego, musi być wyraźnie określone i uzasadnione interesem pracodawcy. Jakiekolwiek ogólnikowe zapisy nie spełniają wymogu prawnej poprawności.

Zasadniczy aspekt prawny sprowadza się do wyjaśnienia relacji pomiędzy prawem pracodawcy i obowiązkami pracownika. Pracodawca nie wyjaśnił w swoim oświadczeniu (pismo z dnia 24 września 2014 r.) o jaką działalność konkurencyjną chodzi. Można się jedynie domyślać, że chodzi o materiały prasowe przygotowywane dla krajowych dzienników i czasopism. Zważyć przy tym należy, że red. Socha na portalu internetowym Radia Olsztyn zamieszcza materiały, których nie jest autorem. Nie może być zatem mowy o jakiejkolwiek działalności konkurencyjnej.

Jednoznacznie zagadnieniami konkurencji i nieuczciwej konkurencji zajmuje się ustawa z 16 kwietnia 1993 roku o zwalczaniu nieuczciwej konkurencji.

3. Działalność dziennikarska jest działalnością twórczą, w rozumieniu przepisów ustawy z dnia 4 lutego 1994 roku o prawie autorskim i prawach pokrewnych. Autorzy materiałów prasowych są objęci szeroką prawną ochroną zarówno w zakresie autorskich praw osobistych, jak i praw majątkowych. Ograniczanie tej twórczości jest oczywistym naruszeniem przepisów cyt. ustawy. Nie ulega wątpliwości, że nakazanie pracownikowi – dziennikarzowi zaprzestanie prowadzenia działalności twórczej stanowi także naruszenie Konstytucji RP, tym bardziej, że red. Socha nie przygotowuje dla Rozgłośni materiałów prasowych

4. Kolejnym aspektem prawnym jest represyjny charakter tzw. „cofnięcia zgody na działalność konkurencyjną". Red. Adam Socha jest jedynym pracownikiem Radia Olsztyn, wobec którego zastosowano tego rodzaju swoistą karę. Ma to zdecydowanie wymiar dyskryminujący, a zatem sprzeczny z zasadą równego traktowania pracowników (art. 18 i następne Kodeksu pracy)

5. Stosowane przez Rozgłośnię „Radio Olsztyn S.A." represje w postaci całkowitego zakazu współpracy dziennikarskiej z tytułami prasowymi stanowi – moim zdaniem – naruszenie przez pracodawcę wskazanych wyżej przepisów prawa pracy, prawa prasowego i prawa autorskiego. Takie zachowanie pracodawcy stanowi podstawę do podjęcia interwencji przez Okręgową Inspekcją Pracy a także przez prokuraturę.

WIESŁAW JOHANN
Przewodniczący
Naczelnego Sądu Dziennikarskiego SDP
Warszawa, 3 listopada 2014 r.

Służalcze dziennikarstwo

Jeden z byłych marszałków województwa warmińsko-mazurskiego opowiadał mi, że z jego kontaktów z dziennikarzami było oczywiste, że można ich podzielić na dwie kategorie: tych, którzy wcześniej zgłębili zagadnienie z którym przychodzili, wiedzieli jakie zadać pytania. I nie było tak, że zjawiali się tylko po „temat". Ale dyskutowali ze swoim rozmówcą, wyciągali to, co było najbardziej istotne.

Przyciskanie rozmówcy do ściany

Potrafili zadać także pytania o sedno sprawy i o to, co dla marszałka było niewygodne, o czym on sam, z własnej inicjatywy by nie wspomniał. Był to prawdziwy kontakt osoby występującej w imieniu opinii publicznej, zasięgającej informacji tak, aby była ona ciekawa, wciągająca czytelnika. Ale także by dowiedzieć się czegoś, co ma olbrzymie znaczenie dla właściwego przebiegu sprawy.

Tak, chodzi też o to, że taki autentycznie przygotowany w sprawie dziennikarz potrafił pytaniami „zorientowanymi w sprawie" przycisnąć rozmówcę do ściany. Oczywiście nie dla samego przyciskania, ale by opinia publiczna wiedziała, że za pośrednictwem dziennikarza faktycznie dyskutuje z tymi, którzy trzymają władzę. I w ten sposób ma realny wpływ na to, co się dzieje. Bo wpływ oznacza także kontrolowanie władzy. I wcale nie tak, że wszystko jest „be" albo, że potępia się wszystko, co zrobi władza w czambuł. Lecz, że jest się partnerem władzy, a władza z kolei ma świadomość, że wszystko to, co robi ma prawo oceniać opinia publiczna, właśnie także za pośrednictwem dziennikarzy.

O kontrolowaniu władzy i jego oczekiwanych skutkach pisze się w wielu pismach. My także poruszaliśmy ten temat w artykule „Wolne słowo jak na uwięzi krowa" („Bez Wierszówki", 2013, nr 1).

Łykacze tematu

A kto to, ci z drugiej kategorii? Nieprzygotowani. I tak naprawdę, to średnio zainteresowani tematem. To, że rozmawiali z marszałkiem już nobilitowało ich dziennikarskie dokonania. Natomiast ich zawodowy wkład był żaden. Całe zadanie polegało na tym, że po prostu zadali jakieś tam pytanie (Melchior Wańkowicz często przestrzegał by nie nadużywać „jakieś", bo niewiele znaczy. I używamy go, gdy nie wiemy, co powiedzieć). „Jakieś" w tym kontekście znakomicie pasuje, bo pokazuje, że nie owo pytanie było ważne, ale że interlokutor zaczynał mówić. I wszystko, co powiedział, dziennikarzyna skrzętnie zapisywał i tak, raczej bezmyślnie publikował.

Czy to można nazwać właściwą publicystyką? Wiadomo, że taki zawodowiec niczego do tematu nie wnosił. *De facto* nie był przedstawicielem opinii publicznej, co pasem transmisyjnym „od władzy do ludu". A jeszcze zbyt wielu pamięta jak w czasach „jedynego słusznego ustroju" tamta władza traktowała dziennikarzy, tylko jako taką transmisję. Dlaczego sami zgadzamy się na taką rolę? Doprawdy trudno to wytłumaczyć. Oczywiście marszałek traktował takiego przedstawiciela środków masowego komunikowania się z lekceważeniem. A tenże nie tylko sprawiał, że można było przypiąć różnorodne łatki temu zawodowi, ale przede wszystkim „odwalał", a nie wykonywał robotę. Nikt nie miał z tego pożytku, przedstawiciel władzy był niezadowolony, dziennikarz może tak, ale nie wiadomo z czego. Bo cóż to za sukces: poszedł, usłyszał, zapisał, a nawet się pod tym podpisał (czy był to naprawdę dziennikarski materiał?) i koniec. Na pewno nie o takie aktywne dziennikarstwo chodzi, ani to zadania kontrolne, ani chęć krytycznego spojrzenia na temat, rozmawiał wszak z marszałkiem, a tu taki „misz masz". Marszałek sam dla siebie takich zdolniachów nazywał „łykaczami tematów".

Kandydaci w ogóle się nie liczą

Wybory samorządowe w listopadzie 2014 roku pokazały niestety taką złą stronę dziennikarstwa. Gdzie te ambicje, by dziennikarz był aktywnym uczestnikiem tego ważnego procesu społecznego? Gdzie właśnie owo krytyczne przypieranie rozmówcy? Nie po to, aby mu „dosolić" czy „dokopać". Ale po to, aby pozwolić czytelnikom na właściwą, a nawet – nie bójmy się tego określenia – najlepszą ocenę kandydata i jego programu. I według swojej najlepszej wiedzy uzyskanej za pośrednictwem świadomego dziennikarza odpowiednio oddać głos w wyborach.

Niezwykle ciekawych obserwacji dostarczyły wybory w Olsztynie i te na stanowisko prezydenta, ale także radnych do rady miasta i sejmiku. Co więcej takie często wręcz nieudolne dziennikarskie produkcje pokazywały, że kandydaci... w ogóle się nie liczą. I że to nie oni konkurują ze sobą, co raczej różne grupy nacisku i interesów, które za poszczególnymi osobami stoją. Niech autorzy owych tekstów, czy wypowiedzi nie sądzą, że nie można tego wyczytać między wierszami. Albo, że wprost nie wynika to z marnej jakości takiej produkcji dziennikarskiej. Mało tego. Każdy sam potrafi znaleźć nazwiska tych, co tak marnie wykonują zawód. Wystarczy sięgnąć do nieodległych wydań gazet, czy poszperać w Internecie.

Nie ma inteligentnie wykonywanego dziennikarstwa?

Można odnieść wrażenie, że porządnego dziennikarstwa i inteligentnie wykonywanego w tak ważnych wydarzeniach, jakimi są wybory władz samorządowych w dużym stopniu brak. Dziennikarstwo bowiem stało się służalcze. Nie informuje, nie docieka dlaczego ktoś kandyduje, czy faktycznie ma po co zawracać głowę społeczeństwu? Brak naprawdę krytycznego spojrzenia. Takiego, które byłoby kierunkowskazem dla opinii publicznej. I by można było na zdaniu, czy ocenie takiego zawodowca, polegać w pełnym tego słowa znaczeniu.

Jak widać w tak wykonywanym dziennikarstwie, a w listopadzie dowodów było aż nadto, nie ma absolutnie miejsca na krytyczne, a zarazem twórcze spojrzenie. Chociaż w art. 1 Prawa prasowego wyraźnie zapisano, iż celem prasy jest nie tylko urzeczywistnianie prawa obywateli do ich rzetelnego informowania, jawności życia publicznego, ale także kontroli i krytyki społecznej.

W tych sprawach wypowiadał się wielokrotnie Sąd Najwyższy, bo tu już blisko może być do naruszenia dóbr osobistych wymienianych w Kodeksie cywilnym jak: zdrowie, wolność, cześć, swoboda sumienia, nazwisko lub pseudonim, wizerunek, tajemnica korespondencji, nietykalność mieszkania, twórczość naukowa, artystyczna, wynalazcza i racjonalizatorska: „znieważanie kogokolwiek przy okazji wypowiedzi prasowych nie jest właściwym środkiem do ochrony uzasadnionego interesu społecznego" (art. 23 k.c.). I to dotyczy nie tylko któregoś kandydata, ale każdego z nich.

A kiedy naruszenie dóbr może być pozbawione elementu bezprawności? Jedynie wyjątkowo przy spełnieniu przesłanek z art. 14 ust. 6 Prawa prasowego: „nie wolno bez zgody osoby zainteresowanej publikować informacji oraz danych dotyczących prywatnej sfery życia, chyba, że wiąże się to bezpośrednio z działalnością publiczną danej osoby". Wielokrotnie zarówno sądy powszechne, jak i Trybunał Konstytucyjny dawały wyraz temu, że prawo do ochrony życia prywatnego, rodzinnego, czci i dobrego imienia oraz decydowania o swoim życiu osobistym nakłada na państwo dwojakie obowiązki. Z jednej strony nieingerowania w konstytucyjnie określony zakres życia jednostek. Z drugiej zapewnia stosowną ochronę.

Ciąg dalszy na s. 10 →

Służalcze dziennikarstwo – cd.

Usłużna rola mass mediów

W takich momentach jak kampania przedwyborcza dziennikarze mają olbrzymią i odpowiedzialną rolę kształtowania opinii publicznej. To, że kampania przedwyborcza była marnym spektaklem, lichym *teatrum* w dużej mierze tak się stało za przyczyną dziennikarzy. Zbyt wielu jest „łykaczy tematu", czy będących na usługach grup, środowisk popierających tego, czy innego kandydata. A z drugiej strony politycy nie zjawiający się na debatach powodowali, że brakowało tej iskry, która byłaby wskazaniem dla wyborców.

A co do polityków i *quasi*-polityków. Z ich haseł Olsztyn, powiat i województwo stawało się wyśnionym rajem: bo to mój dom, tu się urodziłem i znam ten teren, skutecznie upomnę się o wasze interesy itd., itp. Ale były i specyficzne, jak z województwa warmińsko-mazurskiego, gdy kandydat o odmiennym kolorze skóry proponował: „Głosuj w ciemno nie zawiodę!". A szczytem szczytów był kandydat z mazowieckiego o nazwisku Głąb: „Idioci już byli – czas na Głąba".

Jeżeli kolejne wybory samorządowe w 2018 roku odbędą się przy takiej usłużnej roli mass mediów i tak jałowej kampanii, polegającej głównie na hasłach i toczonej walce poszczególnych grup za plecami kandydatów, to znowu niewiele zmienimy we własnym kraju. Jakoś (tu pasuje) politycy nie potrafią zrozumieć, że kontrola i krytyka społeczna także wpływa na ich rzetelniejszy obraz, podnosi ich jakość jako kandydatów.

Jeżeli w porę się nie obudzimy, my tworzący tę zbiorową mądrość opinii publicznej nie oczekujmy, że widowisko wyborcze nabierze tempa, rumieńców, będzie barwniejsze i nam umożliwi jak najlepszy wybór. Totalna porażka w kilku okręgach absolutnych pewniaków dowodzi, że społeczeństwo nie tak łatwo daje się nabrać. I obwieszenie plakatami nawet całego miasta, czy ważniejszych punktów, na przykład sklepów, nie będzie skuteczne. Bowiem ilość nie przechodzi w jakość.

ANDRZEJ DRAMIŃSKI

Między nami dziennikarzami

Zaciskanie pętli?

Definitywne ustalenie (sic!) wyników wyborów samorządowych spowodowało, że dziennikarski mainstream może znów oddać się nasładzaniu władzy i wypychaniu marginalnych wydarzeń na czołówki serwisów informacyjnych oraz politycznym pyskówkom w licznych studiach i redakcjach z udziałem przedstawicieli naszej klasy politycznej. Póki nie wszystko było jasne, mainstream milczał lub pobąkiwał nieśmiało coś o „zamieszaniu", o „niejasnościach"...

Słowo „fałszerstwo", mimo wszelkich znamion takowego w licznych miejscach w Polsce, w ogóle nie padło z głównych „publikatorów", a gdy użył go publicznie Jarosław Kaczyński, zagrożono mu skierowaniem sprawy do Komisji Etyki Poselskiej, co zaproponował ni mniej ni więcej tylko... Stefan Niesiołowski (!). I jak tu nie kochać tego kraju miłością gniewną (z ang. *angry love*)?

Czy chcemy czy nie, PiS znów wybory przegrał, w niektórych miejscach dość dotkliwie. Nie idzie o to, że wszędzie nie wygrał, ale o to, że nie wygrał tam, gdzie coś by to znaczyło. Przykłady zaś Częstochowy, Radomia czy Słupska każą w ogóle zastanawiać się nad tym, w jakim naprawdę kraju żyjemy. Czy np. dopominanie się dzisiejszej prawicowo-niepodległościowej opozycji o radykalną zmianę ma społeczny mandat? Społeczne przyzwolenie? I czy opozycyjne (wolne) dziennikarstwo ma w ogóle rację bytu? Skoro ludzie głosują na rządzący od siedmiu lat układ polityczny, który niszczy Polskę, znaczy, że w tym niszczonym kraju jest im dobrze i żadne polityczne zaklęcia tego nie zmienią, jak nie zmieni tego kładzenie tym ludziom przed oczy nagich faktów.

Ucieczka od wolności na masową skalę, „lemingizacja" polskiego społeczeństwa mogą mieć jednak – i to już w najbliższej przyszłości! – konsekwencje idące znacznie dalej. Społeczna afirmacja istniejącego porządku prawnego, gospodarczego i politycznego w Polsce na progu A. D. 2015 może bowiem ośmielić władzę (i tak niewiele sobie robiącą z opinii publicznej, protestów, petycji etc.) do działań jeszcze bardziej radykalnych, które do tego będą oczywiście wsparte przez prorządowych dziennikarzy (a imię ich *legion*).

Nie będę gołosłowny.

Pewna instytucja (co się zowie publiczna) zaprosiła do siebie dziennikarzy opozycyjnego medium, by z jej siedziby medium to nadało audycję publicystyczno-informacyjną. To dość częste praktyki, nie było więc w tym niczego szczególnego. Jeden z dziennikarzy zaprosił do udziału w audycji pewnego bardzo znanego posła opozycji. Gdy zobaczył to dyrektor instytucji – po reytanowsku zakrzyknął: „Nigdy!". A ponieważ fatalnym (?) zbiegiem okoliczności ów dziennikarz był na co dzień pracownikiem tej zapraszającej instytucji – krótko potem stracił pracę.

Czy ta sprawa będzie miała ciąg dalszy? Mam nadzieję, że tak, i to głośny. Chciałoby się wierzyć, że za usuniętym z pracy za rzetelne wypełnianie dziennikarskich obowiązków człowiekiem ujmą się koledzy – dziennikarze z innych mediów, także tych głównego nurtu. Bo – jak pamiętamy może ze szczenięcych podwórkowych lat – krążyła wówczas wśród dzieciarni taka maksyma: „Nie śmiej się, dziadku, z cudzego wypadku, bo dzisiaj mój, a jutro twój".

A owo „jutro twój" znaczyć może, że wkracza w nasze życie regularny totalitaryzm, prawdziwy faszyzm (eurofaszyzm) z wilczymi biletami, *berufsverbot* i im podobnymi praktykami. Nie jestem nawet pewien, czy to już nie funkcjonuje, co i raz słyszy się bowiem o kłopotach bądź utracie pracy przez ludzi, którzy znaleźli się w niewłaściwym towarzystwie, w niewłaściwym czasie i niewłaściwym miejscu... Zaraz później kłopoty ma współmałżonek, a ich dziecko nagle dziwnie jakoś opuściło się w nauce...

Dziennikarstwo to zawód... trudny: publiczny, etyczny, interwencyjny... Bywa, że niebezpieczny. Każdy, kto w te szranki wchodzi, powinien o tym pamiętać.

WOJCIECH P. KWIATEK

Zaproszenie

Spotkanie Klubu Publicystyki Kulturalnej SDP

Klub Publicystyki Kulturalnej SDP zaprasza na pierwsze w tym roku comiesięczne spotkanie. Odbędzie się w środę, 7 stycznia 2015 roku, o godzinie 16, w Klubie „Cudzysłów" w Domu Dziennikarza, przy ul. Foksal 3/5 w Warszawie.

Tym razem gościem będzie Wojciech Sumliński, znany dziennikarz śledczy, z zawodu psycholog, w którego sprawie niedawno (18 grudnia 2014 r.) przesłuchiwany był prezydent RP Bronisław Komorowski.

Nasz gość pracował w „Życiu", „Gazecie Polskiej" i „Wprost", jest także autorem licznych reportaży i programów w TVP („Oblicza prawdy" o działalności SB, magazynu śledczego „30 minut"). Autor scenariusza filmowego dla TVP o śmierci ks. Jerzego Popiełuszki. Obecnie współpracuje z „Frondą", magazynem śledczym „Focus", jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Podlaskiego" w Białej Podlaskiej, gdzie obecnie z rodziną mieszka. Pisze i wydaje książki. Jest autorem: *Kto naprawdę Go zabił?* (2005), *Teresa, Trawa, Robot. Największa operacja komunistycznych służb specjalnych* (2009), a także bestselerowych powieści autobiograficznych: *Z mocy bezprawia* i *Z mocy nadziei* (2011). Ostatnia jego książka to *Lobotomia 3.0* (2014).

Na łamach „Bez Wierszówki" (nr 9/2014, s. 12-13) mogliśmy przeczytać wywiad Błażeja Torańskiego z Wojciechem Sumlińskim, który mówił „O byłych esbekach, gangsterach i dziennikarstwie śledczym w gazetach lokalnych".

Zapraszam serdecznie, życzę szczęśliwego 2015 roku i do zobaczenia

TERESA KACZOROWSKA
Przewodnicząca Klubu

Ziemkiewicz wygrał proces z Michnikiem

Sąd Apelacyjny w Warszawie oddalił apelację Adama Michnika w procesie o naruszenie dóbr osobistych. Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej" poczuł się urażony felietonem Rafała Ziemkiewicza. Poszło o słowa, że Michnik terroryzuje pozwami sądowymi swoich oponentów. Wcześniej sąd I instancji oddalił w całości powództwo Michnika. Ten wniósł jednak apelację od wyroku.

Michnik pozwał Ziemkiewicza (autora m. in. książki pt. *Michnikowszczyzna*) o ochronę dóbr osobistych za fragment jego felietonu w „Gazecie Polskiej" z 2012 roku. Podkreślał, że pozwany sugerował jego nielegalne związki z wymiarem sprawiedliwości. Wnosił by sąd nakazał przeprosiny i wpłatę przez Ziemkiewicza 50 tys. zł na Zakład dla Niewidomych w Laskach.

Ziemkiewicz wnosił o oddalenie pozwu. Twierdził, że publicysta ma prawo wyraziście przedstawiać swe opinie w felietonie. Przypominał wygrane przez Michnika lub Agorę S.A. procesy o ochronę dóbr osobistych, m. in. wobec Jarosława M. Rymkiewicza, co – zdaniem Ziemkiewicza – „budzi poczucie krzywdy".

Sąd Okręgowy uznał, że nie doszło do naruszenia dóbr osobistych Michnika, a pozwany nie przekroczył granic dopuszczalnej krytyki i działał w interesie społecznym, jakim jest swoboda wypowiedzi. Jak mówiła sędzia SO Anna Pogorzelska, pozwanemu chodziło nie o korzystanie przez Michnika z metod terroru, ale tylko z „drogi procesu sądowego". Nawet jeśli zwrot może uwłaczać sędziom, powód nie ma legitymacji, by występować w ich imieniu – dodała. Jej zdaniem słów pozwanego nie można rozumieć jako zarzutu skorumpowania sędziów przez powoda.

Sędzia oświadczyła też, że chcąc zwalczać nieprawdziwe zarzuty, powód nie musi wytaczać procesów i można oczekiwać od niego – jako szefa dużej gazety – „ponadprzeciętnego" poziomu odporności wobec stwierdzeń, które „nie pociągają negatywnych dla niego skutków". Według SO określenie „rozgrzani sędziowie" to właściwy dla felietonu środek literacki oraz nawiązanie do słów Bronisława Komorowskiego po wygranym przezeń procesie z Jarosławem Kaczyńskim w kampanii prezydenckiej w 2010 roku.

W apelacji Michnik wnosił o zmianę wyroku Sądu Okręgowego i uwzględnienie pozwu. Sąd Apelacyjny uznał, że doszło wprawdzie do naruszenia jego dóbr osobistych i mógł obiektywnie poczuć się dotknięty, ale działanie pozwanego nie było bezprawne.

Uzasadniając wyrok, sędzia SA Krzysztof Tucharz powiedział, że należy się zgodzić z apelacją, iż o tym czy dana wypowiedź narusza dobra osobiste, nie może przesądzać to, czy wywołała ona dla powoda jakieś negatywne konsekwencje. Powód nie musi zaś tego wykazywać.

Zarazem sędzia dodał, że nie można wyciągać tak daleko idących wniosków, jak powód co do znaczenia słów o „terroryzowaniu przy pomocy usłużnych sędziów". Według SA zwrotu „terroryzować" w kontekście całego felietonu pozwanego nie można rozumieć dosłowne, a słowo „usłużny" nie oznacza „znajdujący się na czyichś usługach" i nie sugeruje, by powód oddziaływał zakulisowo na sędziów.

Sąd Apelacyjny uznał, że nie jest bez znaczenia, iż inkryminowane słowa padły w felietonie i napisał je publicysta, a nie dziennikarz. SA potwierdził prawo do krytyki nawet zjadliwej, ale nie obraźliwej. Sędzia Tucharz dodał, że Michnik jest osobą publiczną, wobec której granice dopuszczalnej krytyki są szersze niż zwykłych osób, a ponadto „może on reagować w swej gazecie na wystąpienia swych oponentów". Sędzia podkreślił, że procesy cywilne wytaczane przez powoda „nie miały odosobnionego charakteru" i mogły być postrzegane jako „hamowanie dyskursu ideowego".

Pełnomocnik Michnika radca prawny Piotr Rogowski powiedział PAP, że Sąd Apelacyjny odmówił Michnikowi prawa do sądu. Dodał, że SA ośmieszył też tym wyrokiem niedawne oświadczenie prezesów Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego i Naczelnego Sądu Administracyjnego nt. słów o sędziach wypowiedzianych przez Jarosława Kaczyńskiego 13 grudnia.

Chodzi o reakcję na wypowiedź prezesa PiS, gdy odnosząc się do wyborów samorządowych, powiedział: „Fałszerstwem jest sytuacja, w której władza, gdy okazuje się, że wybory kończą się katastrofą, że ich wynik jest w gruncie rzeczy nieznany, natychmiast rozpoczyna kampanię ukrywania tego faktu, wpływa na sądy, można powiedzieć, wręcz terroryzuje sądy i to z udziałem prezydenta RP i z udziałem prezesów sądów tych najważniejszych w Polsce, i wreszcie rozpoczyna kampanię medialną przeciwko tym wszystkim, którzy mówią, że doszło do fałszerstwa". Prezesi SN, TK i NSA wyrazili „głębokie oburzenie" tymi sformułowaniami; podkreślili, że postawiono im zarzuty „terroryzowania sędziów i namawiania ich do określonego orzekania w sprawach rozpoznawanych protestów wyborczych".

Adwokat Michnika zapowiada skargę kasacyjną do Sądu Najwyższego, bo – jego zdaniem – Sąd Apelacyjny podniósł „kłamstwo i zniesławienie do rangi dopuszczalnej krytyki".

Wyrok jest prawomocny. Na jego mocy Michnik ma zapłacić Ziemkiewiczowi 2070 zł tytułem zwrotu kosztów procesu.

PW / SDP, GOSC.PL

„Debata" wygrała proces z Cezarym Kuklo

Sąd Apelacyjny w Białymstoku, w piątek 12 grudnia 2014 roku, oddalił w całości roszczenie byłego dyrektora Oddziału IPN w Białymstoku Cezarego Kuklo wobec Fundacji „Debata" i redaktorów Bogdana Bachmury i Adama Jerzego Sochy. Wyrok ten prawomocnie zakończył spór, który przed Sądem Okręgowym w Białymstoku toczył się przez rok.

Proces był wyczerpującym, rocznym maratonem. W sprawie przesłuchano kilkudziesięciu świadków. Wymagało to od pozwanych wielokrotnych wyjazdów do Białegostoku. Sąd w Białymstoku bowiem nie chciał uznać, iż właściwym do rozpoznania jest ten sąd, w którym mieści się redakcja.

Fundację „Debata" reprezentował radca prawny Szymon Topa z Kancelarii Radców Prawnych „Lech Obara i Współpracownicy".

– Sąd potwierdził, że artykuły pozwanych mieściły się w granicach dozwolonej krytyki, ustanowionej w art. 41 Prawa prasowego i art. 54 Konstytucji RP – skomentował wyrok radca prawny Szymon Topa.

Powodowi od wyroku służy kasacja do Sądu Najwyższego.

Debata została pozwana za artykuły Adama Jerzego Sochy pt. „Niezatapialny dyrektor" i „Bizancjum" oraz komentarz Bogdana Bachmury „Przerywamy milczenie". Artykuły dotyczyły relacji pracowniczych w Oddziale IPN, kierowanym przez Cezarego Kuklę.

DEBATA.COM.PL

Z Piotrem Gajdzińskim o Edwardzie Gierku

Piotr Gajdziński – rocznik 1964, dziennikarz i publicysta, pracował m. in. w tygodniku „Wprost" i „Rzeczpospolitej", regularnie publikował na łamach „Polityki", „Życia Gospodarczego", „Magazynu Rzeczpospolitej". Przez 11 lat był rzecznikiem prasowym i dyrektorem Departamentu PR Banku Zachodniego WBK. Obecnie publicysta miesięcznika „Odra". Autor kilku książek publicystycznych: *Niewinnego mordercy*, *Balcerowicza na gorąco*, *Imperium plotki*, *Prowokacji*, *Anatomii zbrodni nieukaranej*, *Sztuki przywództwa. Piłsudski*. Nakładem Wydawnictwa Poznańskiego wydał właśnie biografię Edwarda Gierka: *Gierek. Człowiek z węgla*. FOT. © SMAKIZPOLSKI.COM.PL

Błażej Torański: W epoce Gierka cenzura interweniowała średnio 10 tys. razy w ciągu roku? Czy władca Polski o tym wiedział?

Piotr Gajdziński: Trudno powiedzieć, bo Gierek nie był nadmiernie pracowity i wieloma sprawami za bardzo się nie zajmował. Oczywiście musiał wiedzieć, że istnieje taki mechanizm, ale nie znał szczegółów.

Nie miał większego pojęcia, jak głęboko ograniczona była wolność słowa? Że cenzurze podlegały nawet nekrologi?

Nie ma dokumentów, które potwierdzałyby, że o tym wiedział. Miał duże pojęcie, znał mechanizm, ale nie wnikał w detale. Widać tu wyraźnie różnicę między nim a Jaruzelskim, który się tym dokładnie interesował. Gierek nie wnikał nawet w Służbę Bezpieczeństwa. Teczkę Jerzego Ziętka kazał zniszczyć. Ale oczywiście nieznajomość szczegółów działalności organów represji w żadnym razie Gierka nie usprawiedliwia.

Zdarzyło mu się interweniować osobiście w sprawy kultury, mediów?

Najbardziej znany jest przypadek jego oburzenia po specjalnym pokazie „Ziemi Obiecanej" Wajdy. Nie podobała mu się scena z Kaliną Jędrusik i Danielem Olbrychskim w przedziale pociągu. Ale sam nie ingerował, sprawę powierzono Wincentemu Kraśko, dyrektorowi Wydziału Kultury KC. Nie było tak, że Gierek chwytał za słuchawkę telefonu i dzwonił do reżysera czy dziennikarza. Od tego miał ludzi w KC, którzy interweniowali w jego imieniu. Często zresztą nadinterpretując jego myśli.

No dobrze. Ale premier Piotr Jaroszewicz wydzwaniał do szefów telewizji z awanturą w sprawie reportażu, krytykował adaptacje *Wesela*, *Pana Tadeusza* czy *Balladyny*. Wściekał się, że telewizja nadaje serial o Kaliguli.

Gierek tak nie reagował. Jaroszewicz był z zawodu nauczycielem, lubił wszystkich pouczać. Gierek zaś był sprytny i zdawał sobie sprawę, że osobiste interwencje nie przydają mu zwolenników. On „lubił być lubiany". Jego naczelną zasadą było unikanie głoszenia negatywnych decyzji. On, ojciec narodu, chciał ogłaszać tylko dobre wiadomości. Ale, jak twierdzi Józef Tejchma, Gierek miał w sprawach bardzo podobny gust do Jaroszewicza.

„Jeszcze gorsze, tyle że jest mądrzejszy i nie wypowiada ich" – mówił Tejchma Rakowskiemu.

Powiedziałbym, że był sprytniejszy i nie robił tego osobiście. Posługiwał się pomocnikami, miał ich bez liku.

Jednym z tych pomocników, jak powiadasz, był Maciej Szczepański, redaktor naczelny „Trybuny Robotniczej". W 1972 roku Edward Gierek oddał mu władzę nad telewizją. Ufał mu?

Bardzo i niemal bezgranicznie. I tylko temu Szczepański zawdzięczał tę funkcję, chociaż kilka tygodni przed jego mianowaniem Gierek obiecał Sokorskiemu, że będzie szefem Radiokomitetu do emerytury. Ale Gierek wiele razy różnym ludziom coś obiecywał i nie dotrzymywał słowa. Szczepańskiemu potem w telewizji na wiele pozwalał. Dał mu ogromną władzę.

Przyjaźnili się? Bywali u siebie w domach?

To była bliska znajomość. Szczepański świetnie znał żonę Gierka, Stanisławę, ona wielokrotnie dobrze się o nim wyrażała. A Gierek z jej zdaniem bardzo się liczył.

Skąd Gierek czerpał wiedzę o wydarzeniach? Z raportów aparatu partyjnego lub służb? Z „Trybuny Ludu"?

Wystarczyła mu „Trybuna Ludu". Wolał nie wnikać głębiej. Oczywiście dostawał też informację sporządzaną dla najwyższego kierownictwa partyjnego. Opowiadał o tym Franciszek Szlachcic. O ile za Gomułki był to skrót wydarzeń z krótką oceną, jak leci, o tyle Gierek zażyczył sobie, aby to były najpierw dobre wieści. Złych, na końcu, najczęściej nie czytał. W latach 70. Mieczysław Rakowski redagował dla najważniejszych ludzi w państwie biuletyn, składający się z cytatów z listów, które przychodziły do „Polityki", a ta, z powodu cenzury, ich nie drukowała. Było tam wiele informacji o autentycznych nastrojach, ale Gierek czytał ten dokument mniej więcej do połowy lat siedemdziesiątych. Gdy w listach adresowanych do „Polityki" zaczął przeważać krytycyzm, przestał czytać biuletyn Rakowskiego. Mechanizm wyparcia, u Gierka szczególnie silny. Jego nie interesowała krytyka.

Nie sięgał po prasę francuskojęzyczną?

Czytywał „L'Humanité", czasem też inne francuskie gazety, ale nie przywiązywał w nich wagi do informacji o Polsce. Nie miał innych źródeł informacji. Chyba że za takowe uznać bezpośrednie spotkania z ludźmi. Odbył ich bardzo dużo, ale obowiązywał na nich dworski obyczaj. Tam go po prostu nieustannie chwalono i Gierek w te pochwały wierzył. Pod koniec lat siedemdziesiątych pojechał do Cegielskiego w Poznaniu. Gdy spotkał się z robotnikami, co chwila jakiś się podrywał z krzykiem „Niech żyje towarzysz Gierek!". On to kochał.

Nie słuchał Radia Wolna Europa? Głosu Ameryki?

Słuchał tylko w chwilach kryzysu, na przykład podczas powstania na Wybrzeżu w 1970 roku i kiedy trwał proces jego wyboru na pierwszego sekretarza KC PZPR. Na co dzień nie. Nie chciał znać krytycznych opinii na temat wydarzeń w Polsce, bo wierzył, że dzieje się dobrze. Że prawda jest tylko dobra.

Był próżny. Lubił się wpatrywać w swojej zdjęcia na pierwszych stronach „Trybuny Ludu"?

Czytałem, że przepadał za tym. Nie rozumiał, albo nie dopuszczał do świadomości, że te zdjęcia są efektem propagandy, prowadzenia mediów na smyczy. Pasjonował się relacjami ze swoich wizyt zagranicznych, wpatrywał w zdjęcia, zwłaszcza te, które ukazały się w prasie radzieckiej. Najwyższą wagę przywiązywał do tego, jak daleko na tych fotografiach stał od Breżniewa. Czy Honecker, Husak lub Kadar nie byli bliżej. Wszyscy oni rywalizowali, aby być jak najbliżej Breżniewa. To wynikało z konieczności pokazania się przed aparatem partyjnym, że jest bliski Leonidowi, że ten go popiera. To było ważne, bo uśmierzało wszelkie próby buntów w aparacie partyjnym.

Przyczyna jest głębsza. Tkwi w bolszewickiej tradycji. Ten, kogo na mównicy ustawiano dalej od Stalina, tracił pozycję, wpływy, a w konsekwencji życie. Tak przesuwali się na zdjęciach Trocki, Zinowiew, Kamieniew.

Pewnie tak.

Wierzył też Gierek – co wmawiał mu Edward Babiuch – że z Fidelem Castro rozmawiał, jak profesor ze studentem?

Choć wydaje się to dzisiaj bzdurą Gierek absolutnie w to wierzył. Nie tylko nie zaprotestował przeciwko słowom Babiucha ale przyjął je z wielkim ukontentowaniem.

Gomułka nie dowierzał komplementom, uważał, że go nabierają. Pycha Gierka sięgała Mount Everestu?

Absolutnie Mount Everestu. Wierzył, że jest geniuszem, że tak wiele zrobił dla Polski. Dlatego tak dramatycznie odebrał protesty w czerwcu 1976 roku w Radomiu i Ursusie. Powtarzał: tak wiele zrobiłem dla robotników, a oni się teraz buntują. Nie potrafił w to uwierzyć, bo żył w świecie kompletnej iluzji.

Poczuł się jak Cezar zdradzony przez Brutusa?

Mówiąc krótko: tak. Ostateczny cios zadali mu górnicy, gdy w 1980 roku wybuchły strajki na Śląsku. To było dla niego nie do pojęcia.

A jaki miał stosunek do dziennikarzy? Podziwiał ich, cenił? Gardził nimi?

Mam wrażenie, że dziennikarzy traktował instrumentalnie.

Przyjaźnił się z Rakowskim czy Rolickim?

Nigdy nie przyjaźnił się z Rakowskim. Uważał, że jest dla niego ważny ze względu na „Politykę", inteligencję, świetne kontakty na Zachodzie, szczególnie w Niemczech. Traktował go instrumentalnie i nigdy nie umożliwił mu kariery politycznej, o której Rakowski marzył.

Zrealizował marzenia. Został premierem, ale po odejściu Gierka.

Dokładnie. Zawdzięczał to Jaruzelskiemu.

Gierek nie wchodził w prywatne relacje z dziennikarzami, nie licząc Macieja Szczepańskiego?

Jeśli by uznać Szczepańskiego za dziennikarza, to byłby jedyny znany mi przypadek.

Jaruzelski temu zaprzeczył, ale czy tuż przed upadkiem Kiszczak, Olszowski i Moczar nie sterowali przeciwko Gierkowi kampanii medialnej?

Z całą pewnością kombinowali. To niemożliwe, aby w gazetach w Polsce, szczególnie partyjnych, ukazywały się bez ich inspiracji ataki na pierwszego sekretarza, nawet jeśli był on już byłym pierwszym sekretarzem. Nie było takiego redaktora naczelnego w Polsce, który odważyłby się wydrukować taki tekst. Jednym ze sterników tej kampanii był Mieczysław Moczar, agent GRU, wtedy prezes NIK. Uważał on Gierka za głupka. Miał urazy osobiste. W 1971 roku na tej samej fali, co Sztygar, jak nazywano Gierka, chciał się dostać na szczyty władzy, ale został „wyportkowany". Sam jednak nie byłby w stanie wyreżyserować tak negatywnej kampanii. Inspiracja, a przynajmniej przyzwolenie, musiało iść z wyższego piętra. Jaruzelski w rozmowie ze mną zaprzeczył, że publikacje ostro krytykujące Gierka były przez niego inspirowane, ale generał, jak coś nie było mu wygodne, to albo tego nie pamiętał, albo zaprzeczał. Nie mam cienia wątpliwości, że antygierkowska kampania była mu na rękę. Z pewnością o tej kampanii wiedział i ją popierał.

Moczar, jak powiedziałeś, uważał Edwarda Gierka za głupka. Szlachcic za postać tragiczną. Gomułka obruszył się na to: „Głupia, nie tragiczna". A jaka jest Twoja ocena?

Jestem bliższy opinii Gomułki. Ale należy też pamiętać, że nie babrał się w materiałach MSW, nie był zbyt drobiazgowy, bywało, że się wzruszał, potrafił się popłakać. Kiedyś, podczas jakiejś akademii, podeszła do niego matka Mirosława Chojeckiego, wydawcy „Nowej", który siedział wtedy w więzieniu. Ona była łączniczką w Powstaniu Warszawskim. Poprosiła pierwszego sekretarza o zwolnienie syna. Po kilku dniach wyszedł. Gierek, w przeciwieństwie do Bieruta, Gomułki czy Jaruzelskiego miał ludzkie odruchy. Ale nie był to ten format kapelusza. On mógłby dobrze kierować komitetem gminnym PZPR, ale nie 40-milionowym narodem.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał BŁAŻEJ TORAŃSKI

Cenzura państwowa i cenzura prywatna

czyli o kasowaniu wpisów na lokalnych portalach internetowych

Jest takie stare powiedzonko, które doskonale pasuje do posowieckiej i pocarskiej mentalności dużej części naszych elit: „co wolno wojewodzie, to nie tobie smrodzie". A powinno być dokładnie odwrotnie. Niestety, na niezrozumienie różnicy pomiędzy publicznym a prywatnym natrafiamy na każdym kroku. Tak też jest z zasadą ochrony wolności słowa.

Do Centrum Monitoringu Wolności Prasy SDP regularnie spływają następujące skargi: na profilu facebookowym jednej z prywatnych firm zamieszczałem krytyczne wpisy pod jej adresem. Były kasowane. Proszę o interwencję, bo to niezgodne z Konstytucją; duży portal internetowy usuwa moje wpisy, bo są niezgodne z jego linią polityczną; bloger usuwa moje uwagi pod jego adresem zamieszczane pod jego wpisami; wysłałem list do lokalnego dziennika, redakcja go nie zamieściła, to cenzura.

Autorzy tych skarg domagają się interwencji prawnika i zakładają, że właściciele prywatnych tytułów, stron, blogów czy profili na portalach społecznościowych łamią prawo decydując się o umieszczaniu tam jednych treści, a niedopuszczaniu czy kasowaniu innych. Tak nie jest.

To ja decyduję

Według obowiązujących u nas przepisów wolność słowa jest całkiem nieźle zagwarantowana i chroniona, począwszy od podpisanej przez Polskę Konwencji o Ochronie Praw Człowieka poprzez Konstytucję aż po poszczególne ustawy. Z realną ochroną tej wolności, o czym wie każdy bardziej rozgarnięty dziennikarz, bywa różnie, w dodatku mamy całkiem spory zbiór artefaktów prawnych pozwalających ją ograniczać z niesławnym artykułem 212 na czele.

Dlatego nie ma raczej wątpliwości, że media publiczne dopuszczające tylko jedną opcję światopoglądową do swoich anten tę wolność łamią. Nie ma wątpliwości, że robi tak prasa wydawana przez samorządy za publiczne pieniądze, a służąca z reguły chwalstwu prezydentów, burmistrzów, sołtysów czy wójtów, a zarazem będąca orężem walki z lokalną opozycją.

Jednak w przypadku mediów prywatnych sytuacja ma się zupełnie inaczej.

„Na moim blogu ja decyduję, których komentujących nie chcę tu widzieć" – informuje publicysta Łukasz Warzecha i ma do tego święte prawo. Podobnie jak ogólnopolski czy lokalny tytuł prasowy należący do prywatnego wydawcy, może decydować o tym, które artykuły przyjmie lub nie, tym bardziej jakie listy do redakcji opublikuje. Także w przypadku prywatnego portalu internetowego decyzja o tym, co zostanie opublikowane, także jakie to będą komentarze, jest dowolna. To właśnie sytuacja odwrotna – gdzie redakcję zmuszano by do publikacji poszczególnych opinii byłaby oczywistym pogwałceniem wolności słowa. Aczkolwiek tu kilka zastrzeżeń.

Mielonka zamiast krakowskiej

Po pierwsze, media elektroniczne działają na zasadzie koncesji. A więc załóżmy, że stacja radiowa lub telewizyjna ubiegając się o pozwolenie na nadawanie gromko zapewnia Krajową Radę Radiofonii i Telewizji: będziemy pluralistyczni, politycznie niezaangażowani, będziemy dopuszczać na antenę różne opcje ideologiczne. Pluralizm w praniu kończy się na jednej partii lub opcji. W tym przypadku jest to powód do ukarania nadawcy lub odebrania mu koncesji.

Można sobie wyobrazić też wprowadzenie w błąd konsumenta. Oto portal internetowy w swoich reklamach i udostępnianym w sieci dokumencie programowym zapewnia, że jest otwartym spektrum opinii. A okazuje się, że to otwarcie jest owszem, ale tylko na jedną opcję. W tym przypadku jako wprowadzeni w błąd konsumenci możemy domagać się odszkodowania. To tak jakby ktoś na opakowaniu z wędliną pisał, że sprzedaje krakowską, a w środku była mielonka.

Jeszcze inny przypadek. Minister, już nie udawajmy, że chodzi o ministra X, ma swoje konto na Twitterze, gdzie informuje o rezultatach swojej pracy, polityce państwowej, robi to w godzinach pracy. Czy może dowolnie decydować o tym, kto może komentować jego informacje, a kto nie? Można mieć wątpliwości. Jego „tłity" to element jego działalności publicznej i polityki informacyjnej jego urzędu. Jeśli dopuszcza pod nimi do dyskusji to cięć cenzorskich nie powinien wprowadzać według swojego widzimisię.

Wolny rynek jedyną bronią

Ale tu znowu zastrzeżenie. Zarówno portal internetowy, rubryka z listami do gazety, blog, jak i tłitujący polityk, nie są zwolnieni z odpowiedzialności prawnej za to, co się u nich pojawi, nawet jeśli autorem będzie anonimowy i niechciany autor. Antysemickie, rasistowskie czy zawierające pomówienia wpisy niejedną osobę zawiodły już przed sąd. Dlatego siłą rzeczy osoba redagująca blog lub gazetę musi kontrolować czy nikt z publikujących tam nie łamie prawa.

I w końcu, *last but not least*, trzeba pamiętać, że zachowania nieetyczne czy nieeleganckie, nie zawsze są nielegalne. I to dotyczy dużej części cenzurowania treści w prywatnych mediach. Domorośli cenzorzy często wykazują się ideologiczną nadgorliwością czy po prostu chcą manipulować czytelnikiem. Po to mamy prywatne media należące do różnych opcji ideowych, by tej manipulacji i cięciom się nie poddać. Wolny rynek mediów jest jedyną skuteczną metodą jaką do tej pory wymyślono. A poza tym, na pewno przysługuje nam prawo do tego, by tego rodzaju cenzorskie cięcia skrytykować... gdzie indziej.

WIKTOR ŚWIETLIK

O satysfakcji z reportażu, zbrodni sprzed lat i kłamstwach zamiast prawdy... z Wiesławem Łuką

Marek Palczewski: Nad czym teraz pracujesz?

Wiesław Łuka: Bardzo chciałbym napisać książkę reporterską o Uniwersytecie Warszawskim na 200-lecie Uniwersytetu (w 2016 r. – red.).

Reportaż jest tym, co chcesz robić? Bardziej reportaż czy wywiad?

Jedno i drugie. Kocham rozmawiać z ludźmi, którzy mają dużo do powiedzenia, zwłaszcza w sprawach, o których nie mam pojęcia, więc za darmo pogłębiam swoją wiedzę. Kocham też pisać o tych ludziach i czekać niecierpliwie, że ktoś czasami powie, że jest to nieźle napisane. Niektórzy mówią, że wywiad jest łatwiejszy do napisania, ale ja uważam, że łatwiejsza jest tylko grafomania.

Czy wywiad rzeczywiście jest łatwiejszy? Chyba dużo zależy od tematu i rozmówcy?

Mistrz Ryszard Kapuściński twierdził, że najwięcej zależy od dziennikarza prowadzącego rozmowę, bo to on ustawia rozmówcy poprzeczkę. Ale od rozmówców równie dużo zależy. Trzymanie tego balansu między dziennikarzem i rozmówcą jest fascynujące. Na szczęście zaprosiłem do mojej książki *Fakt jest święty* samych ciekawych rozmówców.

Kiedy ją pisałeś, to czy miałeś jakiś klucz, według którego dobierałeś rozmówców?

Wybierałem wybitnych dziennikarzy, reportażystów, medioznawców. To był klucz. Na książkę złożyły się wywiady wcześniej pisane dla portalu sdp.pl. Niektórzy piszą do szuflady, ja tak nie mogę, ja muszę szybko widzieć swoje nazwisko pod publikacją. Zawsze byłem na to łasy, bo szukałem potwierdzenia, że coś potrafię. I to była dla mnie luksusowa sytuacja, że te wywiady mogły ukazać się na tym portalu.

Podobny luksus miałeś, kiedy pisałeś reportaże, z których później powstała książka reporterska *Nie oświadczam się*.

Tak. Poszczególne rozdziały w tej książce są reportażami, które ukazywały się przez rok, czy ponad rok w „Prawie i Życiu" (1978-1979).

Ale w całości wyglądają jakby były jednym reportażem, mają zwartą narrację.

Gdy je pisałem do tygodnika, to już wiedziałem, że piszę książkę. Miałem już wówczas podpisaną umowę u Krystyny Goldbergowej (nazywaliśmy ją wtedy „matką reportażu") w „Iskrach". Później przysposabiałem te fragmenty do książki, usuwałem powtórzenia, tu skreśliłem, tu dopisałem, trochę przekomponowałem, żeby to wszystko płynnie się czytało.

W książce cały czas powtarza się motyw zbrodni, opis miejsca, w którym jej dokonano i samej zbrodni; piszesz o układaniu zwłok, przejeżdżaniu po nich, a następnie o zaprzysiężeniu świadków przez głównego sprawcę, który zobowiązał ich do milczenia.

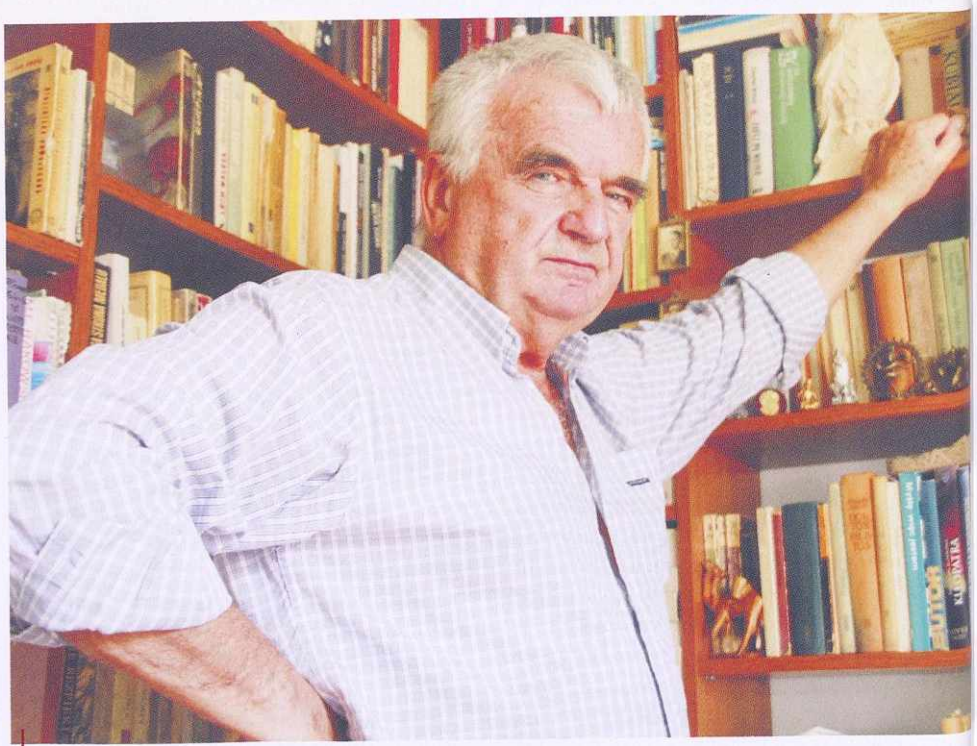

Wiesław Łuka – rocznik 1941, prozaik, reportażysta, krytyk literacki, scenarzysta filmowy i wykładowca dziennikarstwa. Autor wielu książek reporterski i wywiadów. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim, Debiutował w tygodniku „Życie Literackie". Od 1964 do 1970 roku był redaktorem Wytwórni Filmowej „Czołówka", następnie pracował w „Walce Młodych", „Prawie i Życiu" oraz w „Sztandarze Młodych". Wielokrotnie nagradzany w konkursach na reportaż. Napisał m. in. *Teraz tak mało miłości*, *Dusze w gipsie*, *Biniu nie wzywa pomocy*, *Ślizgiem*, *Śmierć przychodzi każdego dnia* i *Nie oświadczam się*. Na podstawie tej ostatniej książki został zrealizowany film „Zmowa" w reżyserii J. Petelskiego. Od prawie 20 lat prowadzi zajęcia ze studentami na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. W roku 2014 opublikował książkę zawierającą wywiady ze znanymi reportażystami i medioznawcami *Fakt jest święty*. Jego reportaż „Nie oświadczam się" znalazł się w *Antologii polskiego reportażu XX wieku* oraz ukazał się w nowej wersji książkowej, uzupełnionej o rozdział napisany po 35 latach. Wiesław Łuka jest członkiem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Od 2011 współpracuje z portalem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich i pismem SDP „Forum Dziennikarzy".

FOT. © BARTOSZ WRÓBLEWSKI / NOWYFOLDER.COM

Leitmotivem i szkieletem reportażu był proces sądowy zabójców, wokół niego owijałem resztę wydarzeń i rozmów.

W prasie z tamtego okresu pojawiły się opinie, że to była najbardziej mroczna zbrodnia w okresie PRL. Czytając reportaż, zastanawiałem się, jak ty tak swobodnie mogłeś rozmawiać z zabójcami.

Rozmawiałem przede wszystkim z głównym oskarżonym Lechem S., zwanym „królem Zrębina".

Chciał rozmawiać?

Chciał. Od tego się książka zaczyna.

Czy nie musiałeś go przekonywać do rozmowy?

Nie.

A dlaczego chciał?

Chyba miał nadzieję, że powtarzanie do prasy „jestem niewinny" pomoże mu w przebiegu sprawy, a potem w orzeczeniu wysokości kary. Czterej główni oskarżeni przyjęli – za namową adwokatów krakowskich – taktykę pójścia w zaparte. Twierdzili, że to nie oni zabili, że z tą zbrodnią nie mają nic wspólnego.

Umówili świadków, przekupili ich łapówkami, S. wypłacał im po kilkaset ówczesnych złotych... I dlatego chciał cię wykorzystać jako reportera z prasy?

Ja pisałem to, co on mówił. Pisałem wiernie, nie oceniałem tego. Ocena należała do czytelnika.

Zachowałeś jego język. Zamiast na przykład powiedzieć, że odmawia składania zeznań, mówił „nie oświadczam się", co dało efekt tragikomiczny. Zresztą w twojej książce jest wiele dziwacznych powiedzeń.

Ile byłem w stanie, to notowałem, żeby zachować ich stylistykę, sposób wypowiedzi, ich gwarę. W języku zbrodniarzy i świadków kryła się ich mentalność.

Na bieżąco notowałeś?

Tak. Nie należę do takich zdolnych, którzy wszystko zapamiętują. Kapuściński mówił, że nie notuje, ma taką pamięć, że nie musi. Trudno mi w to uwierzyć, ale mu zazdroszczę, bo mam słabą pamięć.

Dlatego przekręcił wiele rzeczy...

Zauważ, że u niego jest mało rozmów z ludźmi, a bardzo dużo opisów i przytaczania treści rozmów. Kiedy on pisze o pewnej rozmowie, to jej ideę owszem zapamiętał, ale chyba trochę ją podkoloryzował. A u mnie jest wszystko bardzo żywe i w dziewięćdziesięciu procentach jest to dokumentalny zapis rozmów.

Wyobrażam sobie, że jak się długo rozmawia z takimi ludźmi, jak się długo z nimi przebywa – ty byłeś tam z przerwami ponad rok – to... znasz powiedzenie „kto z kim przestaje, takim się staje"?

Ja nie byłem, ja bywałem. Rozmowy z rodzinami zabójców i świadkami zbrodni były dość częste, ale nie trwały długo. Wiele nocy przespałem w połanieckim hotelu robotniczym budowniczych wielkiej elektrowni. Mogłem nocować w domu rodziców ofiar zbrodni, ale wolałem Połaniec. Natomiast chętnie dawałem się czasami zaprosić przez panią Kalitową (matkę zamordowanych Krystyny i Miecia – red.) na rosół z podwórkowej kury i makaron „swojej" roboty.

Dlaczego nie chciałeś nocować u rodziny ofiar?

Jestem włóczykijem, lubię łazić, dwukilometrową drogę z Połańca do Zrębina, trzykilometrową do Wolicy pokonywałem „dla zdrowotności"...

Może też bałeś się, by cię nie posądzano, że komuś sprzyjasz?

Nikomu nie sprzyjałem, więc się nie bałem. Zjadłem kilka razy rosołek, bo wiedziałem, że robię zbolałym i „osieroconym" rodzicom wielką przyjemność. A może nawet przynoszę „pocieszenie".

Ale kiedy przebywałeś z rodzinami morderców i kiedy oni tak długo cię przekonywali, że nie zabili, to czy nie nabrałeś wątpliwości i nie pomyślałeś, że może oni jednak nie popełnili tej zbrodni?

Różne myśli kołatały się w głowie. Miałem wątpliwości, czy oni zdołali to wszystko zrobić w półtorej godziny: wywołać ofiary z pasterki z kościoła, pojechać za nimi, zabić ich, ułożyć ciała, zaprzysiąc świadków, i potem odwieźć niektórych do kościoła. Moim zdaniem było to niewykonalne i sąd też miał wątpliwości.

To dlaczego o tym nie napisałeś?

Nie chciałem niczego oceniać, nie pisałem reportażu śledczego. Od śledztwa był prokurator i w pewnym sensie sąd. Ja relacjonowałem proces i prześwietlałem mentalność świadków, wieśniaków.

Czyli obiektywnie. Ale Barbara Pietkiewicz w wywiadzie opublikowanym w twojej książce *Fakt jest święty mówi*, że całkiem obiektywnego reportażu napisać się nie da, że opis musi być subiektywny.

Oczywiście, całkiem obiektywnie się nie da. Subiektywne są oceny, ale fakt jest fundamentem... Natomiast przypuszczam, że niektórzy dziennikarze manipulują również faktami. Zresztą, jak się przeczyta dyskusję sprzed wielu lat dwóch mistrzów reportażu – Kapuścińskiego z Giełżyńskim – w której jeden drugiemu zadaje pytania o warsztat, o to na ile dziennikarz może ingerować rzeczywistość, to widać różnicę zdań między nimi. Kapuściński dopuszczał taką ingerencję; mówił, że można zmieniać niektóre aspekty rzeczywistości, to znaczy na przykład napisać, że coś się nie wydarzyło w miejscu A, tylko w miejscu B, ale przecież się wydarzyło, i że można kilka faktów z innych okoliczności umiejscowić w innym miejscu tak, żeby zagęścić narrację i jakieś zjawisko przedstawić z większą intensywnością.

Czyli to ma być ta literackość, o której piszesz. U ciebie tego nie ma. Ale, czy nie miałeś wrażenia, że trochę swoich bohaterów polubiłeś, że straciłeś do nich dystans? Na spotkaniu autorskim w warszawskim Faktycznym Domu Kultury w Instytucie Reportażu mówiłeś, że trzeba tych ludzi zrozumieć, że oni tacy po prostu są.

Zrozumieć zawsze trzeba. Ale ja podczas wieczoru literackiego zagrałem nieco przewrotnie, żeby było ciekawiej... Pamiętasz od czego zacząłem? Od tego, co powiedział w wywiadzie Tochman: że fakt jest święty, niewzruszony, a ocena dziennikarza jest subiektywna. Wobec tego ja subiektywnie ich oceniałem. Przecież największy łobuz kryje w sobie jakieś pozytywne cechy, często przez siebie nieuświadomione. Podobnie jak „kryształowy" bohater tai swoje słabości.

W opublikowanym niedawno wywiadzie powiedziałeś, że nie chcesz wchodzić w sprawy prywatne, a opisując takie rzeczy – czy chcesz, czy nie – wchodzisz w sprawy prywatne.

Ja chcę wchodzić i wchodzę nieraz, ale kiedy rozmawiam i zadaję pytania, to jeżeli ktoś mówi mi wprost, że „nie będziemy o tym rozmawiać", to ja to szanuję. W prywatność wchodzę na tyle, na ile mogę; gdy widzę opór, to wycofuję się.

Kiedy po 35 latach odwiedziłeś tę wieś, to piszesz o jednym z zabójców, że ma teraz ładny dom, że ułożył sobie życie...

Jeden z zięciów S. mieszka teraz w pięknym domu, wykształcił dzieci i chodzi na pielgrzymki. Jemu Sąd Najwyższy w procesie rewizyjnym zmienił karę śmierci na wiele lat więzienia. Dawno odbył tę karę i ma się nieźle...

...a ty mu przypominasz jego przeszłość, na co on reaguje nerwowo, bo uważa, że już odbył karę i nie chce wracać do tamtych wydarzeń.

Nazwał mnie szatanem...

...i hieną. I jak się z tym poczułeś? Uderzyło cię to, zabolało?

Nie uderzyło mnie, bo reporter musi mieć nieco grubszą skórę od przeciętnej. Mogłem się spodziewać takiej jego reakcji. Nawet, mówiąc szczerze, ucieszyłem się z tych określeń, bo w reportażu przemawiają one do czytelnika. Czytelnik lubi wyraziste zachowania i ekspresyjne słowa. A poza tym, jest w tym szczerość z jego i z mojej strony. Ja się nie czułem tam hieną w ogóle.

Ale on miał żal, zapytał: „Znów chcesz mnie pan podtopić?"

Miał żal. Mało tego, to on był agresywny i bezlitosny. Można powiedzieć, że to on mnie obraził, bo zanim padły słowa „szatan", czy „hiena", to powiedział: „Pan jest już starym człowiekiem, jak pan będzie umierał z takim ciężarem kłamstwa?".

Oni, zabójcy i ich rodziny, cały czas zarzucali ci, że w reportażach kłamałeś?

No tak, rzeczywiście mi to zarzucali. Ale, jeśli dobrze pamiętam, a na pewno to pamiętam, nie było różnicy w stopniu ich „szczerości" na początku i na końcu naszej znajomości. Nic się w rozmowach nie zmieniło. Zarzucali „kłamstwo", ale jednak rozmawiali. Nie było tak, żeby ktoś mi powiedział wtedy, że ja kłamię i „nie będę z panem rozmawiać".

Twoja praca przypomina dochodzenie dziennikarskie połączone z jakąś formą reportażu uczestniczącego. Bo to nie było tak, że pojechałeś na miejsce, opisałeś sprawę, sprawa się skończyła, i ty już do niej nie wracasz. Cały czas tam jednak byłeś obecny i twoja opowieść, która jest publikowana, wpływa na tych ludzi – wpływa na świadków, wpływa na sąd, itd. To jest dokumentalny serial, i on się przeplata jak reporterka z twoim życiem, i też zmienia tych ludzi, których opisujesz.

Na pewno wiedzieli, co piszę. Ale ja nie pytałem ich, co sądzą o moich reportażach, nie wiem, jak one na nich wpływały. Ważne, że nikt do mnie nie wyszedł z widłami.

W reportażu „Nie oświadczam się" nie tyle ważna jest sama zbrodnia, co zmowa mieszkańców.

Przebieg zbrodni jest równie ważny, jak i jej przyczyny oraz skutki; jak obyczaj i świadomość mieszkańców tamtego zakątka ojczyzny. Sam opis morderstwa można by zamieścić na piętnastu kartkach. Atmosferę wokół niego tworzyło wywoływanie ludzi z kościoła w czasie pasterki, picie wódki zamiast śpiewania kolęd, przysięga na krew i krzyżyk, druga przysięga po powrocie zabójcy z Jasnej Góry, po odprawionej tam mszy za pieniądze, poświęceniu medalików i wręczeniu ich „za milczenie". Reasumując, to nie był tylko zapis zbrodni, ale portret zbiorowości.

Ciąg dalszy na s. 16 →

Co myślisz po latach, jaki był prawdziwy motyw tamtej zbrodni? Podawany na stronach reportażu motyw zabójstwa za to, że ktoś został oskarżony o kradzież kiełbasy weselnej i to spowodowało tak krwawy odwet, jakoś mnie nie przekonuje.

Nic innego nie wykryto. Ja jednak przypomniałem historię dziadka Roja (dziadka po kądzieli zabitych Krystyny i Miecia) który wstąpił do PPR zaraz po wojnie i naraził się wszystkim we wsi, których „wyganiał" już w 1946 roku na pochód pierwszomajowy do Połańca, jeżdżąc konno od podwórka do podwórka. Dziadek Roj miał dwójkę dzieci. Jego syn, dwudziestolatek, zginął od kuli z karabinu późniejszego „króla Zrębina" Lecha S. w 1950 roku i na jego podwórku, zaś zabójca młodego Roja zginął rok później w wypadku samochodowym. Drugim dzieckiem dziadka była matka pomordowanych... Konflikt pomiędzy tymi rodzinami trwał w utajeniu. Sędzia Marek Maciąg w uzasadnieniu wyroku powołał się na moje „przypomnienie".

Czyli to była taka niezabliźniona rana... Trudno bowiem przyjmuje się do wiadomości, że kogoś zamordowano, ponieważ rozpowiada o kradzieży kiełbasy i wódki z wesela...

To jest niesłychane, i dlatego wielokrotnie zadaję pytanie, czy to było możliwe. Dla mnie to jest niewyobrażalne, natomiast ludzie ze Zrębina i Połańca uznawali, że taki motyw zbrodni był możliwy.

Co znajdujesz w tej wsi, kiedy wracasz tam po 35 latach? Czy nie miałeś wyrzutów, że rozgrzebujesz sprawy dawno zapomniane?

Tak. Miałem wrażenie, że ludzie nie chcą już o tamtych wydarzeniach rozmawiać. Dotarłem do jednego świadka, który był kierowcą w PKS-ie. On mi kiedyś sporo naopowiadał, a potem to odwołał przed sądem. Teraz nie chciał zamienić ze mną słowa i pokazał mi swoje plecy. Matka pomordowanych też wolała nie pokazywać się we wsi w moim towarzystwie. Jest to nieco deprymujące, ale taka jest cena często płacona przez reportażystów. Okazało się, że jestem dość twardy. Może mam coś z charakteru „starego lisa"? Takie zachowania mnie nie dołują.

Hanna Krall powiedziała w rozmowie z tobą, że nie tekst jest nadrzędną wartością a człowiek. A dla ciebie, co nią jest?

Człowiek i ciekawy tekst o nim. Najlepiej, gdy tekst jest pochwalony przez zazdrosnych kolegów po fachu; do zazdrosnych ja również należę.

Zaryzykuję przypuszczenie, że reportaż jest solą twojego życia. Zgadłem?

Starzeję się, straciłem kontakty w mediach, więc straciłem możliwości publikowania, a i klimat dla reportażu prasowego się popsuł.

Naprawdę?

Trzeba by jechać w teren, być tam dwie, czy trzy doby, a kto da delegację, zapłaci za moją podróż?

Ty.

Ano właśnie. Żeby napisać dobry reportaż trzeba wydać co najmniej kilkaset złotych, a może kilka tysięcy... Gdyby ktoś pokrył koszty dokumentacji, ale o to niełatwo. Najwybitniejsi reportażyści, tacy jak Szczygieł, Tochman, Hugo-Bader, jakoś sobie radzą, czasami znajdują sponsorów. A mnie – „ślepej już kurze" – trafiło się ziarnko: Mariusz Szczygieł, inicjator wydania wielkiej antologii polskiego reportażu ubiegłego wieku odkrył po latach książkę *Nie oświadczam się*, zdobył z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego dofinansowanie, co zaowocowało wznowieniem książki dużo bogatszej w treści niż jej pierwsze wydanie. Śmiem twierdzić, że polski reportaż zyskał w Mariuszu Szczygle i Wojciechu Tochmanie „ojców" tego gatunku, bo „matka" Goldbergowa już się mocno posunęła się w latach.

Mimo, że nie masz sponsorów, nadal myślisz o pisaniu reportaży?

Myślę...

W książce – wywiadach z reportażystami drążysz definicję reportażu. Pytanie o definicję pojawia się niemal w każdym wywiadzie. Zatem, czym jest dla ciebie reportaż?

Ten wątek warsztatowy jest tam żywy i rzeczywiście każdemu z rozmówców zadawałem dwa, trzy pytania związane z warsztatem dziennikarskim.

Marek Miller odpowiedział, że to jest nałóg.

Marek ma rację. Ktoś się wyraził, że to jest styl życia – też miał rację. Zawsze chciałem to robić, a przynajmniej od czasów, kiedy znalazłem się w „Walce Młodych", zwanej przed wielu laty szkołą młodych reporterów. Na jesieni 1970 roku napisałem kilka tekstów, które zostały nieźle ocenione. Zacząłem dostawać nagrody – między innymi im. Hanki Sawickiej – w wielu konkursach redakcyjnych na reportaż, a także w klubach Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich za prezesury Stefana Bratkowskiego. To mi się spodobało; wyjazdy w teren, rozmowy z ludźmi, czułem jak przede mną przez telefon „rozkładają czerwony dywanik" zachęcając do przyjazdu. Utwierdzałem się w przekonaniu, że moje teksty komuś w czymś pomagają, że czytelnicy na nie czekają. To mnie napędzało. Nie pisałem do szuflady. Reportaż to dobra rzecz, a na głębokie dziennikarstwo publicystyczne jestem za płytki intelektualnie.

Rozmawiał MAREK PALCZEWSKI

Z prasy Wolne media zagrożone w Polsce

Najnowszy raport międzynarodowej organizacji monitorującej wolność mediów przynosi niepokojące dane i stawia Polskę na równi z krajami takimi jak Rumunia oraz Chorwacja. Ocenę raportu dla „Nowego Dziennika" komentuje dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy Wiktor Świetlik.

Reporterzy Bez Granic prowadzą stały monitoring wolności mediów na całym świecie. Większość europejskich krajów posiada najwyższą ocenę, która określana jest mianem „dobrej sytuacji". Ocenę taką mają m. in. kraje takie, jak Litwa, Łotwa, Estonia, Finlandia, Czechy, Słowacja czy Węgry. O jeden stopień niżej znajduje się kategoria „satysfakcjonująca sytuacja" i to właśnie w niej obok Rumunii oraz Chorwacji znalazła się Polska. Według raportu gorzej jest tylko na Ukrainie i w Bułgarii – kraje te przynależą do kategorii z „zauważalnymi problemami" – oraz na Białorusi i w Rosji, gdzie sytuacja została określona jako „trudna" oraz „bardzo trudna".

Dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich Wiktor Świetlik nie jest tą oceną zaskoczony. „My sygnałów niepokojących mieliśmy już od dawna bardzo dużo i bardzo się cieszę, że koledzy z organizacji Reporterzy Bez Granic pochylili się nad sytuacją w Polsce i rzeczywiście potraktowali ją w taki sposób, w jaki na to zasługuje". Jak podkreśla Świetlik, problemem są m. in. kontrowersyjne zapisy w prawie. „W ciągu ostatnich kilku lat Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie zwracały uwagę na funkcjonowanie artykułu 212 Kodeksu karnego. Na funkcjonowanie tego samego artykułu zwracał też uwagę Departament Stanu USA. Z tego artykułu można karać dziennikarzy za zniesławienie, co według tych instytucji nie jest zgodne ze współczesnymi standardami państwa prawa respektującego prawa człowieka" – mówi dyrektor Świetlik.

Jak twierdzi dyrektor Świetlik problemy prawne to nie wszystko. „Mamy bardzo wiele sygnałów świadczących o tym, że w Polsce wolność słowa i generalnie stosunek władzy do mediów jest stosunkiem selektywnym, zależnym od tego, czy te media popierają władze, czy nie". Pierwszym narzędziem nacisku, według Wiktora Świetlika, są pieniądze. „Media, które są prorządowe, są wspierane bardzo silnym strumieniem pieniędzy z sektora publicznego, tworzy to w oczywisty sposób niekorzystną konkurencję dla mediów prywatnych, które są mediami opozycyjnymi".

Kolejnym i najświeższym dowodem na łamanie wolności mediów jest sytuacja sprzed kilku dni. „Dziennikarze, którzy relacjonowali okupację w PKW, zostali aresztowani i stoją teraz przed sądem. Jest to praktyka państw nazwijmy to umiarkowanie demokratycznych". – Sytuacja związana z wolnością słowa w Polsce nie napawa optymizmem, a ten raport jest tego świadectwem – dodaje na zakończenie Wiktor Świetlik.

PC, „Nowy Dziennik"
New York, 26-28 listopada 2014 r.

33 lata po...

Oj, nie tak miało być. Bezrobocie? Eksmisje na bruk wyrzuconych z pracy? Wybory z „nieprawidłowościami"? Ucieczka paru milionów młodzieży? No i „osiągnięcia" ostatnich lat – rozdrapanie unijnych dotacji na podniesienie cywilizacyjnego poziomu życia. Sprzedajna prasa, pełnymi garściami podwójnie czerpiąca z doświadczeń historycznych – z doświadczenia, jak robiło rządowo-partyjną propagandę (czyli praktycznie całą) w PRL, i drugiego – co mogli wymyślić ludzie z opozycji. Taki klincz.

Polski rok liczy dziewięć miesięcy... – kiedyś, w PRL był taki dowcip. „Nigdy więcej września!" (1939, wszędzie co roku to hasło wisiało na plakatach), do „Października nie dopuścimy!" (1956), sierpień (1944) się nie powtórzy. Tych miesięcy ciągle ubywało, bo to i kwietnia miało już nie być (Powstanie w Getcie 1943), i listopad dla Polaków niespokojna pora (Powstanie Listopadowe 1830 – to informacja dla młodzieży szkolonej według nowego programu szkolnego, z historii dają im cztery tematy i nigdy nie wiadomo, które), i styczeń (1863) też powstaniami ciężki.

Ale grudzień ma tu miejsce szczególne. Grudzień to miesiąc zwielokrotniony i smutkiem i radością, właściwie dzień po dniu ważne daty, ważne rocznice. Czwartego grudnia św. Barbary, patronki rzeczy niebezpiecznych i podziemnych, czyli coś dla nas, Polaków. Szóstego grudnia św. Mikołaj płacze nad biednymi dziećmi, szczęściem również je obdarowuje. 10 grudnia już zawsze będzie się nam przypominać „miesięcznica" katastrofy smoleńskiej. 12 grudnia imieniny Kwaśniewskiego, bohater opozycji Michnik wsiada do auta Urbana i jedzie tam z Moniką Olejnik.

13 grudnia (1981) rocznica wprowadzenia stanu wojennego, zduszenia wolnej Polski po 16 miesiącach naiwnych może marzeń o samostanowieniu. Wielu uważa, że to wtedy, w stanie wojennym, złamano Polakom kręgosłup i zarażono ich biernością. A może już brak sił?

14, 15, 16 grudnia (1970) rocznica strzelania do ufających władzy ludowej robotników na Wybrzeżu, Janek Wiśniewski padł, a nocą zakopywano w torbach foliowych zwłoki zastrzelonych. 16 grudnia (1981) osądzone wreszcie rok temu, po 32 latach, strzały pod kopalnią „Wujek", 9 zabitych górników.

Nareszcie i w grudniu coś radosnego. Święta Bożego Narodzenia! Pierwszy śnieżek, już od połowy grudnia opłatki w instytucjach, w czasach dzisiejszej obfitości (tak, tak, w porównaniu z latami w PRL...) zamieniające się w jedno pasmo „wigilii", czyli obżarstwa. Nowocześni księża przepraszają tych z obecnych, którzy mogliby poczuć się urażeni opłatkiem i wspomnieniem Dzieciątka; zawsze nurtuje mnie pytanie, że skoro kogoś to razi, to po co tu w ogóle przyszedł.

Potem, też w grudniu, prawdziwa Wigilia, tradycja, miłość rodzinna (96 proc. rodzin jest w Polsce ciągle całkowicie normalnych), wspomnienie pustym nakryciem o drogich nieobecnych, bo zmarłych albo za oceanem; opłatek, choinka, prezenty, dary Boże, radość dziecięca, zwierzątka mówią ludzkim głosem, a potem pasterka, śnieżne spacery, sanny, kuligi, wizyty u rodziny i przyjaciół, indyk, piernik, makowce, przybyło dwa kilo. I wreszcie – Sylwester, szaleństwo, trzy dni głodówki i suknie balowe, fraki, koafiury, brokaty, perfumy, bransolety, pantofelki, tańce, hulanki, swawola. *Bang*, *bang*, *bang*, *bang*, *bang*, *bang*, *bang*, *bang*, *bang*, *bang*, *bang*... I kończy się zły grudzień. Nowy Rok 2015! Może będzie lepszy...

Co po sobotnim Marszu 13 grudnia napisze/pokaże/nada mainstream medialny? Marsze to raczej słaba strona polskich mediów, kiepsko w ostatnich latach sobie z tym radziły. W roku 2011 to było zaniżanie dziesięciokrotnie frekwencji, wtedy to był stały zwyczaj prasy i rzeczników rządu, w 2012 rozmaite manipulacje, nigdy prawda i staranność o pokazanie wagi zdarzenia.

A propos liczby uczestników marszy i manifestacji: niestety dla władzy, wyciekło już dość dawno, jak się domowym sposobem liczy manifestantów, jak liczyli AK-owcy i Żołnierze Wyklęci, jak robi to czasem wojsko i policja, kiedy nie ma odpowiednich narzędzi. Mierzy się swój tzw. podwójny krok, czyli w wykroku liczymy odległość od pięty zostającej w tyle nogi do palców nogi z przodu; zwykle to jest od 1,40 metra (u kobiet) do 1,80 (u wysokich mężczyzn). Gdziekolwiek potem jesteśmy, możemy w przybliżeniu wymierzyć daną powierzchnię. Liczymy, ile naszych kroków liczą dwa boki powierzchni, zajętej przez demonstrantów. Pomnożyć jeden bok przez sąsiedni bok. Przyjmujemy, że czterech stojących zajmuje powierzchnię około 1 metra kw., w jednych miejscach to będzie więcej, bo stoją ciaśniej, w innych luźniej. Wystarczy teraz ten wynik pomnożyć przez 4 i mamy przybliżoną liczbę manifestantów. Niedokładną, to prawda, ale zawszeć doskonale widać, że uczestniczy raczej 1600 osób, nie wcisną nam, że 300. Jeżeli ludzie idą w marszu, liczy się, ile jest osób w rzędzie i przyjmuje się, że mają kilka sekund na to, żeby nas ten rząd minął. Mnoży się liczbę osób np. przez 20 (60 sek. dzielone przez 3 sek. na przejście), i znamy już liczbę osób, które minęły na w ciągu minuty.

No więc coraz trudniej nas oszukać. Mamy przenośne tuby, mikrofony, kamery, telefony z funkcją wideo. Mamy drukarki z możliwością kserowania. Mam prasę i media drugiego obiegu, Telewizja Republika nadaje na żywo, podobnie jak Telewizja Trwam.

Smutne, że media publiczne, media prywatne ciągle nie mają najmniejszego zamiaru podjąć trudu kontroli władzy i ewentualnej obrony społecznej. Przyczyny są doskonale znane, że tak powiem, resortowe. Widać zresztą wysiłki poszczególnych dziennikarzy, którzy próbują jednak wypełnić swoją misję społeczną. Powinni pamiętać, że to z racji tej misji mają specjalne przywileje, że to z wiary w ich specjalne podejście do życia i obowiązków zawodowych bronią ich przed aresztowaniem na służbie instytucje międzynarodowe i działacze praw człowieka. To dlatego, by lepiej mogli służyć wolnościom obywatelskim, by pomagali naszej wolności i mechanizmom demokratycznym, zatrzymywanie i osądzanie dziennikarzy jest takim skandalem międzynarodowym.

TERESA BOCHWIC

SDP
Najnowsze informacje, rozmowy dnia, felietony, opinie, analizy, blogi dziennikarzy...
na stronie internetowej
Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich
www.sdp.pl
zapraszamy

Paweł Staszak – w grupie pracuje się lepiej

Od stycznia 2011 do października 2013 roku był redaktorem prowadzącym miesięcznika „Foto". Jest także m. in. współtwórcą Centrum Sztuk Wizualnych MOK w Olsztynie. Jego prace fotograficzne były prezentowane na wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych w kraju i zagranicą. Autor publikacji prasowych o fotografii oraz juror konkursów fotograficznych. Od niedawna członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. FOT. © KRZYSZTOF NIEMIEC

Andrzej Zb. Brzozowski: Dlaczego wstąpiłeś do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich?

Paweł Staszak: (śmiech) ...ale mnie załatwiłeś! Zastanawiam się, czy jeszcze w Olsztynie można coś zrobić, poza tym, co już udało mi się dokonać. Byłem nawet trochę zdziwiony, że SDP istnieje w Olsztynie, bo nigdy się tym nie interesowałem. Nie kroczyłem drogą dziennikarską dopóki nie zostałem redaktorem prowadzącym „Foto". Zacząłem pisać artykuły, nauczyłem się redagować, zainteresowałem się tym na tyle, że dziś prowadzę swojego bloga.

Pomyślałem, że to jest może jakaś nowa droga dla mnie, żeby poznać nowych ludzi związanych z dziennikarstwem i coś wspólnie z nimi zrobić.

Co w takim razie możesz dać od siebie Stowarzyszeniu i czego w zamian oczekujesz?

Mogę was nauczyć fotografowania (śmiech) na dość przyzwoitym poziomie. A tak serio, to chciałbym pisać i zintegrować się ze środowiskiem. Poznać możliwości, umiejętności, aby się dziennikarsko wpasować. Nie wiem, czy czegoś oczekuję, może tego, co mnie najbardziej interesuje, czyli współdziałania grupy, tworzenia i osiągania wspólnych celów. Można robić dużo samemu, można prowadzić swojego bloga, własne wydawnictwo, można dużo pisać i na każdy temat, ale wiem z własnego doświadczenia, że w grupie pracuje się o wiele lepiej. Grupa zmotywowana do jakiegoś celu, która jest poza obrębem polityki i nacisków zewnętrznych, może zdziałać ogromnie dużo.

Z wykształcenia jesteś politologiem, więc jak to się stało, że zająłeś się profesjonalnie fotografią?

Po studiach dostałem propozycję pracy na uczelni i pisania doktoratu. Stwierdziłem jednak, że to nie jest droga dla mnie. Raz tylko nad tym ubolewałem (w pewnym momencie mego życia), natomiast nigdy nie żałowałem, że założyłem swoją firmę, która jako jedna z pierwszych zajmowała się impresariatem w sieci. Na moje zainteresowania fotografią złożyły się różne zdarzenia, które miały wspólny mianownik... brak dobrych fotografików w Olsztynie. Przyjmowałem do pracy wielu, którzy nie potrafili znaleźć się w odpowiedniej stylistyce. Wtedy postanowiłem sam zająć się fotografią. W pewnym momencie musiałem się zdecydować, czy prowadzić firmę, czy doskonalić nowe zajęcie. Ponieważ kilka moich zdjęć zostało wyróżnionych w różnych konkursach, pomyślałem sobie, że może to jest dobra droga.

Zacznijmy od nazewnictwa, fotograf czy fotografik?

Tego rozróżnienia dokonał na początku XX wieku Jan Bułhak, zwany nestorem polskiej fotografii. Fotograf to osoba robiąca np. zdjęcia do legitymacji, natomiast fotografik to artysta, grafik fotografii. Ja na takie zamienne określenia się nie obrażam. Istotniejsze jest rozróżnienie na tych, którzy chcą się „napatrzeć" udając zaangażowanego fotografa aktu, traktując aparat jako środek tuszujący swoje zwyrodnienie i tych, którzy widząc nagie ciało kobiety zamiast niego widzą: światło, cień i bryłę. To samo jest z fotografiami innych tematów. Autentyczność, zaangażowanie, wychodzenie poza stereotypy oraz sztuka dla sztuki i coraz częściej – pożytku – oto cechy dobrego fotografa. Czy fotografika, jak wolisz.

Przez trzy lata byłeś redaktorem prowadzącym miesięcznika „Foto", to coś zupełnie innego niż redaktor naczelny?

Wydawca, który jest jednocześnie właścicielem tytułu z reguły jest jego redaktorem naczelnym. Tak się przyjęło. On sprawuje pełnię władzy nad całym pismem. Dlatego byłem nie redaktorem naczelnym a prowadzącym. Zostałem po prostu wynajęty do prowadzenia pisma. „Foto" jest w tej chwili zawieszone. Powód bardzo prozaiczny – brak pieniędzy, wpływów z reklam. Większość reklamodawców doszło do wniosku, że lepiej inwestować w Internet, niż w pisma drukowane.

Dziedzina fotografii współcześnie wydaje się bardzo prosta, prawie każdy ma aparat fotograficzny w telefonie, Internet jest zalany zdjęciami. Czy to tylko taka moda, że każdy fotografuje?

To jest właśnie znak naszych czasów. Praktyczne przez cały czas mamy przy sobie aparat fotograficzny. Pomimo tego, że nie tylko jako dziennikarze posługujemy się również słowem, to większość z nas ogląda zdjęcia, które bardzo często połączone są z tekstem. Zdjęcia oddają więcej niż słowa. Kultura obrazkowa, moim zdaniem, w dziennikarstwie jest obecnie na wyższym poziomie niż kultura słowa. Nawet prywatne, rodzinne zdjęcia są przecież swoistą fotografią reporterską. Wiele z tych zdjęć, to są świetne, profesjonalne ujęcia.

Co to znaczy dobra fotografia?

Powiem szczerze, że nie wiem (śmiech). Aparat robi zdjęcie, ale to ty myślisz kiedy pstryknąć. Ta sama sytuacja może być różnie uchwycona przez różnych fotoreporterów.

Już jesteśmy blisko tematu paparazzi. Czy to są dobrzy fotograficy?

Na pewno mają instynkt. Muszą przewidzieć kilka kroków do przodu. Pomijam tu aspekt moralny. W pewien sposób cenię tych ludzi, chociaż pracują w najbardziej opluwanej profesji świata. Robią brudną robotę, ale mają jednak ten fotograficzny instynkt, którego brakuje innym. To są chaotyczne warunki pracy. Te zdjęcia są oceniane tylko z moralnego punktu widzenia. Jest takie słynne zdjęcie, kiedy sęp siedzi nad małym, wychudzonym dzieckiem i kilku fotografów (nie są to paparazzi) dokumentuje tę sytuację. Nikt z nich nie odgania sępa myśląc tylko o zrobieniu zdjęcia. Zdobyło ono nawet liczące się w świecie nagrody. Dla mnie ta fotografia jest odrażająca. Taka forma żerowania na krzywdzie jest dla mnie o wiele gorsza niż siedzący na drzewie paparazzi, aby przyłapać w stroju bikini jakąś popularną aktorkę. Zwłaszcza, że ma ona świadomość tego, że jest obserwowana.

Czy w Twojej karierze fotografika zdarzyło się, że czegoś nie zdołałeś uwiecznić na zdjęciu i tego żałujesz?

Wiele razy. Są np. takie sytuacje, kiedy nie masz aparatu, albo jedziesz samochodem na szybkiej trasie i nie możesz się zatrzymać lub zwolnić, żeby zrobić zdjęcie. Z wiekiem nabywa się jednak przekonania, że to nic straconego. Takiej scenerii już nie będzie, ale będzie inna, równie ciekawa. Trzeba do tego podchodzić z rozsądkiem, chociaż z mała doza rozżalenia mu towarzyszy.

A gdybyś nie zajmował się fotografią, to co byś robił zawodowo?

Byłbym dziennikarzem motoryzacyjnym. Coś takiego spróbuję teraz robić w Olsztynie. To działalność, która ruszy w nowym roku. Na razie nie chcę o tym szerzej mówić, ale będzie to zupełnie coś nowego. A tak w ogóle jak nie fotografuję to jeżdżę samochodem... trochę bardziej dynamicznie.

Na koniec opowiedz jakąś zawodową anegdotę, której byłeś uczestnikiem.

Przygotowywałem sesję zdjęciową w Arboretum. Koniec października lub początek listopada.

Arboretum było wtedy zamknięte dla odwiedzających, było dosyć zimno. Wpuszczono nas, to znaczy mnie, modelkę, wizażystkę i fryzjerkę, trochę po znajomości. Przygotowywaliśmy się do tej sesji przez około dwa tygodnie. Mieliśmy stroje z teatru, pomysł na fryzurę i makijaż.

Modelka nie dość, że była podczas sesji boso, to jeszcze skąpo odziana, aż jej usta robiły się sine. Spytałem, czy przerywamy, aby się trochę ogrzała, ale ona twardo chciała pracować dalej. Zdjęcia robiłem aparatem analogowym i po godzinie robienia zdjęć przypomniałem sobie, że film, na którym robię te zdjęcia ma tylko piętnaście klatek, a ja cały czas przekręcałem i wszystko się naświetliło na jednej klatce. Specjalnie wywołałem ten film, chociaż wiedziałem, że nie ma na nim tego, co zrobiłem. Wyciąłem sobie na pamiątkę jedną białą klatkę, oprawiłem w ramkę, podpisałem „Moje najlepsze 75 zdjęć życia" i powiesiłem na ścianie.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

Na osiemdziesięciolecie Stefana Bratkowskiego

Stan wojenny. Zima. Zdezorientowani dziennikarze, których redakcje zamknięto a ich samych zwolniono z pracy, bezradnie krążą po Warszawie. Gromadzą się w kawiarniach, spotykają w prywatnych domach. Zaglądają do SDP na Foksal, gdzie sekretarz generalny Dariusz Fikus stara się udzielić kolegom jakiegoś, choćby moralnego, wsparcia.

W marcu 1982 roku kolejny szok: rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Zabrano budynek, majątek, archiwa. Wszystko przejęło powołane przez władze Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL, do którego wstąpiła część dziennikarzy, którzy znaleźli pracę w reżimowej prasie, radiu i telewizji. Wielu innym komisje weryfikacyjne zakazały wykonywania zawodu. Ci, tzw. niezweryfikowani zostali nie tylko bez środków do życia, ale i bez Stowarzyszenia, bez Domu Dziennikarza, który dla nich był miejscem ważnym, a w okresie „Karnawału Solidarności" – centrum politycznego życia Warszawy.

Wtedy właśnie swoją trwająca do 1989 roku nielegalną działalność wydawniczą i organizatorską na dobre rozkręca Stefan Bratkowski. Powstaje jego „Gazeta Dźwiękowa", będąca źródłem wiedzy i informacji dla wielu ludzi, którzy kasety magnetofonowe nagrywane przez Stefana kopiowali i przekazywali dalej. Organizuje niezliczone wykłady, konferencje i seminaria w prywatnych domach, salach parafialnych, salkach użyczanych przez nieliczne, odważne organizacje społeczne. Powstaje wspierany przez jego żonę, Romę Przybyłowską, „Dzwonek Niedzielny" – comiesięczne spotkania dziennikarzy i twórców w udostępnionej przez Duszpasterza Środowisk Twórczych, księdza Wiesława Niewęgłowskiego, salce przy kościele Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny na Nowym Mieście.

Nadzwyczajne Walne Zebranie OW SDP, 13 IV 2011 FOT. © STEFAN ZUBCZEWSKI / SDP

Zajmowany przez Stefana stolik w kawiarni „Czytelnika" przy ul. Wiejskiej staje się na kilka lat centrum dowodzenia podziemnym Stowarzyszeniem, miejscem wymiany poglądów i plotek towarzyskich. W „Czytelniku" można było się dowiedzieć, kto jest internowany, kogo posadzili a kto właśnie wyszedł, gdzie można dostać jedzenie lub ubrania z darów, którymi hojnie wspierały Polaków zagraniczne organizacje i osoby prywatne. To tam działała giełda pracy i wielu osobom dzięki Stefanowi udało się znaleźć pracę. Krążyły podziemne gazetki i książki, kasety magnetofonowe, a potem również kasety wideo z takimi filmami, jak „Przesłuchanie" Ryszarda Bugajskiego czy przemycane z zagranicy dokumenty Mirosława Chojeckiego.

Nad tym wszystkim panował Stefan Bratkowski. Zawsze aktywny, zawsze w ruchu, ubrany nieodmiennie w musztardowy garnitur i beżowy płaszcz, przemieszczał się po Warszawie, często na piechotę (nigdy nie dorobił się samochodu) zawiadując sprawami podziemnego dziennikarstwa.

Działalność opozycyjna nie była dla niego nowością. Już w roku 1978 wraz z Bogdanem Gotowskim i Andrzejem Wielowieyskim zorganizował Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość". Początkowo działało ono legalnie. Potem sporządzane przez DiP raporty o stanie państwa i drogach jego naprawy publikowała już tylko w drugim obiegu Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA i z zagranicy – Radio Wolna Europa.

Stefan Bratkowski, syn Konsula RP we Wrocławiu, oficera wywiadu, zmarłego w roku 1941, jest dzieckiem wojny. Po Powstaniu Warszawskim znalazł się w Krakowie, kilka lat wychowywał się w Domu Młodzieży. Dość wcześnie zaangażował się w działalność społeczną, był członkiem ZMP. Już w roku 1956 włączył się w ruch odnowy. Organizował kluby dyskusyjne, był współtwórcą krakowskich Juwenaliów, rozpoczął współpracę z legendarnym tygodnikiem „Po prostu".

Mimo że ukończył prawo, zawsze pasjonował się nauką i techniką. Napisał niezwykle popularne w swoim czasie książki *Księga wróżb prawdziwych* i *Gra o jutro*. W „Życiu Warszawy" stworzył, ukazujący się w latach 1970-73, cieszący się wielkim zainteresowaniem czytelników dodatek „Życie i Nowoczesność", zlikwidowany z przyczyn politycznych. Napisał scenariusz serialu telewizyjnego „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy".

Przez wiele lat pozostawał „wolnym strzelcem", gdyż jego krytyczny stosunek do władz PRL, a zwłaszcza do prowadzonej przez nie polityki gospodarczej, wyrażany w publikacjach, był trudny do przyjęcia przez Biuro Prasy KC PZPR rządzące niepodzielnie redakcjami.

Stefan Bratkowski był członkiem PZPR do roku 1981, kiedy to za „działalność antysocjalistyczną" został z niej dyscyplinarnie usunięty. Był już wtedy, od jesieni 1980 roku – Prezesem odradzającego się Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Na nadzwyczajnym Zjeździe usunięte zostały przez delegatów skompromitowane władze SDP, formalnie pochodzące z wyboru, faktycznie zaś mianowane przez KC PZPR. Niektórzy z odrzuconych przez środowisko członków władz za kilkanaście miesięcy wrócili na Foksal jako działacze SD PRL.

Stefan Bratkowski wrócił na Foksal dopiero w roku 1989. Początkowo jako Prezes, a potem jako Honorowy Prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Współtworzył Centrum Monitoringu Wolności Prasy, wspierał kolejne zarządy w skutecznej walce o odzyskanie majątku zawłaszczonego przez SD PRL (przemianowane później na SD RP). W roku 2004 został uhonorowany Laurem SDP.

Wciąż niezmordowany, zapracowany, publikujący nowe książki, podejmujący nowe inicjatywy i wyzwania Stefan Bratkowski już 80 lat biegnie przez życie i nowoczesność.

Życzymy mu, żeby nie ustawał w tym biegu.

Koleżanki i koledzy
z Oddziału Warszawskiego SDP

Rysunek satyryczny Jacka Fedorowicza przedstawiający Stefana Bratkowskiego, podpisany „Prezes Bratkowski", lata 80. XX wieku RYS. © JACEK FEDOROWICZ

Książnica Polska i Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich zaprasza na spotkanie z Profesorem Januszem Jasińskim

w ramach cyklu: „Spotkania SDP w Książnicy Polskiej", które odbędzie się 16 stycznia 2015 roku, o godzinie 17.30 w Księgarni przy Placu Jana Pawła II nr 2/3.

SDP

KSIĄŻNICA POLSKA®

Gość zaprezentuje temat:
„Lata zbratania polsko-żydowskiego 1861-1864".

Podczas spotkania wystawa judaików zorganizowana przez Książnicę Polską.

Z zaproszeniem
Jerzy L. Okuniewski, *prezes Książnicy Polskiej*
Ireneusz St. Bruski, *prezes W-M Oddziału SDP*

Artur Grottger, Schronisko – rysunek w ramach cyklu „Polonia", 1863 FOT. © SZÉPMŰVÉSZETI MÚZEUM, BUDAPEST

Z prasy

Polacy jako towar eksportowy

Jak się pomyśli, to Polska, czy też tereny zamieszkane przez Polaków, była i jest miejscem, w którym hoduje się ludzi na użytek obcoplemieńców. W XVIII i XIX wieku w Ameryce Północnej nie tylko importowano materiał ludzki z Afryki, ale też próbowano hodować go na miejscu na specjalnych farmach, dobierając okazy ludzkie pod względem ich walorów fizycznych, bo do prac fizycznych byli potrzebni. Może dlatego ich potomkowie wygrywają igrzyska olimpijskie. W pewnym sensie Polska jest taką właśnie farmą.

W latach poprzedzających powstanie państwa polskiego docierali tu żydowscy handlarze materiałem ludzkim i wywozili go do krajów muzułmańskich dwoma szlakami na Bagdad i Hiszpanię. Zrozumiałe, że wybierano najsprawniejszych fizycznie i umysłowo chłopców i najładniejsze dziewczyny. Traciliśmy część najlepszego materiału genetycznego. Chłopców po drodze kastrowano, była to więc strata genów nie tylko dla przyszłej Polski, ale i dla całej ludzkości.

Przyjęcie chrześcijaństwa zakończyło handel ludźmi w naszej okolicy, ale wkrótce zaczął się czas tatarskiego jasyru – z południowo-wschodnich kresów porywano młodzież i sprzedawano na Krymie oraz w Stambule. Przynajmniej jedna ze zdobycznych dziewczyn o dziwnym imieniu Roksolana trafiła do haremu Sulejmana Wspaniałego i jest bohaterką pokazywanego obecnie tureckiego serialu. Jak nie jasyr to janczarzy i znów zdrowi chłopcy na eksport, inni dzielni Polacy (jak Mahmed Sadik Pasza, czyli Michał Czajkowski, albo Marian Langiewicz, dyktator w powstaniu styczniowym, który został w Turcji ministrem do spraw zakupu broni) jechali do Stambułu w nadziei szkodzenia rosyjskiemu zaborcy. Carowie też brali w jasyr, wcielając Polaków na 25 lat do wojska, niepokornymi zasiedlając Syberię, a posłusznym pozwalając robić kariery w nauce i gospodarce.

W wojnach Napoleona traciliśmy ludzi w złudnej nadziei, że Francja z wdzięczności zrobi coś dla Polski, trochę tak, jak teraz wysyłamy za nasze pieniądze żołnierzy do udziału w amerykańskich awanturach kolonialnych. Mówi się czasem, że żołnierz lepiej się ćwiczy, strzelając do celów żywych niż do tekturowych tarcz, ale terroryzowanie afgańskich wieśniaków to jest robota żandarmska a nie wojskowa.

Była fala wyjazdów za chlebem – do Niemiec, Stanów Zjednoczonych – gdzie mieszka dziś 10 milionów potomków Polaków (Ford mówił, że Polacy są najinteligentniejszymi robotnikami) – do Ameryki Południowej. Potem planowe mordowanie elit przez Sowietów i Niemców, emigracja powojenna i wreszcie teraz idąca w miliony emigracja zarobkowa. Poznałem naszych emigrantów w Irlandii i odczuwałem, jak bardzo ich brakuje w kraju. Oni już nie wrócą, bo tam są lepsze warunki do wychowania dzieci.

Trzeba przyznać, że my również inkorporowaliśmy materiał z innych narodów: bardzo inteligentnych Ormian, walecznych Tatarów, pracowitych Holendrów, należy ich szukać na terenach podmokłych, ich wsie często nazywały się Olendry. Białorusinom zawdzięczamy takie nazwiska jak Kościuszko, Moniuszko, Popiełuszko; Matejko był dla odmiany z pochodzenia Czechem. Spójrzmy ile nazwisk niemieckich znajdziemy wśród naszych oficerów z września 1939. Żydzi wschodni, czyli potomkowie zjudaizowanych Chazarów znad Wołgi, żyli osobno, ale, skoro już zadali sobie trud nauczenia się języka polskiego, władali nim po mistrzowsku (Tuwim, Brzechwa). W sumie jednak to Polska była przymusowym lub dobrowolnym eksporterem materiału genetycznego.

Aeksport najlepszych trwa. Dwa i pół, niektórzy mówią trzy miliony młodych, energicznych, zwykle ze średnim, nierzadko zawodowym wykształceniem. Eksportujemy drewno i stolarzy, a fabryki mebli sprzedajemy Niemcowi, który je zamyka. Można obliczyć, ile kosztuje doprowadzenie młodego człowieka do matury, a jeżeli pomnożymy to przez trzy miliony, będziemy wiedzieli, jaką sumą wspieramy Niemcy, Wielką Brytanię czy Irlandię.

Zdziwienie budzi, że wobec tak ogromnego upływu krwi nasza młodzież wciąż wygrywa międzynarodowe konkursy i wykazuje (coraz mniejszą) przewagę nad uczniami starej Europy (OECD). Każdy naród i każda cywilizacja dożywa kiedyś swego kresu. Gdyby sądzić z poziomu naszej klasy politycznej – owej „lumpenelity", jak ją nazwała profesor Pawełczyńska – to naród polski miałby przed sobą niedługi żywot. Wietnamczycy cierpliwie czekają, kiedy będą mogli wprowadzić się do naszych opustoszałych mieszkań. Jednak wbrew nadziei mam nadzieję, że jeszcze odżyjemy, że źródło, z którego czerpali inni wciąż tryska wodą życia.

LECH JĘCZMYK „Kurier Wnet"

Kurier Wnet
GAZETA NIECODZIENNA

Kraj za mgłą

Oto super niewypał – „Szkieletor" w Krakowie. Czy będzie tu stał przez sto lat? FOT. © STEFAN TRUSZCZYŃSKI

Czy tak zwana Warszawa wie co się w Polsce dzieje? Nie za bardzo.

Tragedie, wypadki i – już mniej – protesty. To jeszcze dociera do centrali i obywateli całej Polski poprzez media tak zwanego głównego nurtu (albo ścieku, jak kto woli). Natomiast pokazywanie tego, co dzieje się na co dzień w dużym w końcu kraju jakim jest Polska, to zadanie przerasta nasze główne media.

Kiedyś terenowe ośrodki telewizyjne i radiowe, wprawdzie pod zdecydowaną cenzurą, ale jednak wykorzystywane były przez główne tuby nagłaśniające co i gdzie się dzieje. Dziś, gdy przeciętny obywatel ma czas na obejrzenie tylko jednego, no – góra dwóch bloków wiadomościowych, ograniczenie informacji przypływających z kraju powoduje, że o wielkich polskich miastach i toczących się tam sprawach niewiele powszechnie wiadomo.

Taką formą wzajemnej prezentacji mogłaby być stała wymiana informacji między regionalnymi ośrodkami telewizyjnymi. Jeśliby choć raz na tydzień każdy z nich zrobił résumé własnych ostatnich siedmiu dni i rozesłał pod siedemnaście adresów lokalnych anten – wszyscy, to znaczy każdy z ośrodków otrzymałby aż po 8,5 godz. programu na tydzień. Prawie za darmo. Bo przecież koszty ograniczyłyby się tylko do zrobienia tematów i tak eksploatowanych przez programy każdego z oddziałów. To wszystko tylko należałoby zmontować i okrasić komentarzem. A więc za 30 minut materiału byłoby do pozyskania aż minut 500. Tanio jak barszcz, nieprawdaż.

Podobno TVN ma być sprzedana, mówi się też, że Polsat ma najbardziej ekonomiczne podejście i stara się dostarczać tzw. tematy dla ludzi. Może więc oni albo jakaś inna stacja w terenie zdoła się przebić na rynek krajowy, zdominowany jak dotąd magmą propagandowych materiałów.

Sami nie wiecie co posiadacie... – tak piszę od dłuższego czasu uparcie tłukąc łbem o ścianę. „Polska w obrazkach" to przede wszystkim całe te ponad 311 tysięcy kilometrów kwadratowych. I ludzie, których – co prawda mamy coraz mniej – a więc tym bardziej należy ich pokazywać szeroko wszystkim współobywatelom, by mieli z kogo wybierać do władz mniejszych lub większych. Tym bardziej, że warto przypomnieć, iż zbliżają się za kilka miesięcy ważne wybory. Czy znowu będzie, tak jak zwykle, i w ostatniej chwili będziemy bombardowani odkrywaniem różnych genialnych obywateli. Można ich przecież poszukiwać, przedstawiać, rozmawiać z nimi znacznie wcześniej. Powinny to być długie rozmowy dające szanse pokazania dokonań, osobowości. Zdawkowe, sztampowe wywiady skomasowane w blokach wyborczych to za mało, by poznać ludzi i ich ocenić.

Wkrótce mamy dokonać wyboru prezydenta. Ten, który zasiada przy Krakowskim Przedmieściu jest znany. Ale to on właśnie powinien być konfrontowany z innymi kandydatami. Dlaczego miałaby to być wielka łaska ze strony władzy, że uprzejmie zgadza się porozmawiać przed kamerami. On przecież dla nas, a nie odwrotnie.

Wysiadam sobie kilka dni temu na wysokiej płycie krakowskiego dworca autobusowego. Jest pięknie. I sam dworzec taki i otoczenie – szacowne, wiekowe, krakowskie. Do tego jeszcze słońce ładnie świeci. Właśnie dzięki wspaniałemu światłu widać ostro, nawet dalekie plany. I cóż ja widzę. Otóż wśród gmachów godnych, kościołów historycznych, bije w górę kilkudziesięciometrowy szkielet, kikut żelazny. I to tak sobie bije od wielu, wielu lat, w każdym razie od kilkudziesięciu. Miał to być wystrzałowy, „drapaczochmurny" biurowiec, ale został tylko niewypał. Szpeci miasto Kraka. Krakowianom tak się opatrzył, że chyba już tego szkaradztwa nie widzą.

Innym razem idę sobie wzdłuż gdyńskiego pięknego bulwaru nad Zatoką. Z lewej Skwer Kościuszki z zabytkowymi korabami, w dole plaża, może i nieduża ale zawsze jest, po prawej piękny Teatr Muzyczny i Kamienna Góra z krzyżem widzianym daleko z morza. Pięknie. Więc z radością sobie maszeruję. Aż tu na końcu bulwaru wielki dół. To na tak zwanej Redłowskiej Polance. Przed kilkudziesięciu laty, może przed czterdziestu, a może przed pięćdziesięciu, był tu wspaniały ośrodek sportu, kilkudziesięciometrowy basen z kilkumetrową wieżą do skoków (sam z niej skakałem), hotel, restauracje, kawiarnie. Teraz wszystko jest rozwalone. Mijają lata i nic się nie dzieje. A przecież Gdynia, tak jak i Kraków, to przepiękne i ważne miasto.

Takich okropnych przykładów jest niestety bardzo wiele. Kamera względów się wyrzeka, nie lęka przed urzędem ani jego namiestnikiem. Za to ośmiesza człowieka, który robi źle. Kraj warto poznać – cały. A jeszcze bardziej jego ludzi. Tych, których ciągle oglądamy mamy już serdecznie dość.

No to co? Pomożecie koledzy z regionalnych ośrodków medialnych?...

STEFAN TRUSZCZYŃSKI

Media a sztab wyborczy 2015 partii rządzącej

Media są jedną z ostoi demokracji. To oczywiste. Nikt, co do tego nie ma wątpliwości. Taką funkcję pełnią we wszystkich państwach o rozwiniętej demokracji. Są tej demokracji rękojmią, podobnie jak wolne wybory czy wymiar sprawiedliwości. Rakiem, który toczy polskie media, tak jak wiele innych dziedzin naszego życia, jest korupcja. Wchodząc w kolejny, 2015 rok, jestem pełen najgorszych przeczuć o przyszłość polskich mediów. Proces ich degradacji, rozpoczęty już w sposób dla każdego obserwatora widoczny jakąś dekadę temu, z każdym rokiem się pogłębia. A oczekujący nas rok może być dla tego gnicia szczytowy, po którym trzeba będzie lat, aby media wróciły do normalności. Do niezależności, obiektywizmu. Do stanu, w którym, jak o innych mediach na świecie, będziemy mogli powiedzieć z satysfakcją i zawodową dumą, że nasze są także wiarygodne.

W procederze korupcji mediów, dziś na początku roku 2015 najbardziej przygnębiające są dwa elementy. Pierwszy to ten, że korupcji dopuszcza się rząd, poprzez swoje agendy – ministerstwa, państwowe agencje, firmy z przewagą udziałów Skarbu Państwa, i samodzielne urzędy państwowe, działające w randze ministerstw, a także jednostki administracyjne, dysponujące własnym budżetem. Po wtóre, że w ostatnim czasie rządzący robią to już całkowicie jawnie, wręcz cynicznie. Nie powstrzymują ich coraz częstsze przykłady ujawniania przed opinią publiczną kwot oraz ich adresatów, życzliwych sobie mediów. Biorąc pod uwagę ogólny kryzys, jaki chyba w największym stopniu dotknął właśnie media, w wielu przypadkach, wysokości gotówki tego na wpół jawnego dotowania czy raczej wspierania są zawrotne. Zastrzyk pieniędzy otrzymywany pod płaszczykiem akcji promocyjnych rządu czy reklam, jest często dla tych mediów zbawienny.

Jak wiadomo układ korupcjogenny tworzą dwie, w myśl zasady nic za darmo. Skorumpowane media zamiast pełnić rolę przestawiania rzeczywistości i zdarzeń ważnych dla obywateli swego państwa, stają się rzecznikami swoich płatników, jak trzeba ich obrońcami. Skrywają przed opinią publiczną wydarzenia, które mogłyby szkodzić swoim dobroczyńcom lub je przemilczają. W zamian skwapliwie eksponują wszystkie niedostatki, błędy i patologie w obozie przeciwników władzy. Szczególną aktywność wspierania płatników rządowych wykazują w okresie wyborczym. W skorumpowanych redakcjach kierownictwo tworzy dwie listy w myśl szlachetnej wskazówki: „Po prawej stronie są nazwiska tych, których popieramy, a po lewej – tych, którym dowalamy. I to ostro. Uwaga! Po każdej stronie na samym dole są nazwiska dziennikarzy, którzy będą zajmowali się kandydatami i partiami znajdującymi się nad nimi".

Sponsorzy mogą odetchnąć z ulgą i z satysfakcją powiedzieć: „Mamy dodatkowe, fachowe siły w sztabie wyborczym".

JERZY JACHOWICZ

PS. W dzień po zwycięstwie w drugiej turze wyborów 2014 na prezydenta Warszawy, Hanna Gronkiewicz-Waltz dała „Gazecie Wyborczej" milion złotych, na swoje ogłoszenia prasowe.

JJ

Prokurator Szacki czyta „Gazetę Olsztyńską"

Według niektórych krytyków Zygmunt Miłoszewski, autor trzech kryminałów „odnowił tradycje prozy gatunkowej, wprowadzając ją na światowy poziom" (Wojciech Engelking). Nie gustuję w tego typu literaturze, ale skoro otrzymałem w prezencie podczas spotkania opłatkowego olsztyńskiego Oddziału SDP ostatnią książkę Miłoszewskiego *Gniew*, to z grzeczności ją przeczytałem, tym bardziej ochoczo, że akcja powieści zlokalizowana jest w stolicy Warmii i Mazur.

Pomijam wątek kryminalny powieści. Wydaje mi się tak wydumany i sztuczny, że aż irytujący. Powieść wypełnia polityczne zamówienie i jest publicystyczną agitką, stąd otrzymuje takie pochwały u recenzentów w wiodących mediach. Ja skoncentruję się tylko na tle powieści, jakim jest miasto Olsztyn, obficie cytując utwór.

Prokurator Teodor Szacki jest namiętnym czytelnikiem „Gazety Olsztyńskiej". I tam z niedowierzeniem przeczytał, „że osobnik zarządzający ruchem w mieście nie wierzy w zieloną falę, bo wtedy ludzie się za bardzo rozpędzają, co stwarza zagrożenie w ruchu drogowym, pomyślał, że to nawet śmieszny żart. To nie był żart. Wkrótce dowiedział się, że w tym niewielkim koniec końców mieście, które na piechotę można przejść w pół godziny i gdzie komunikacja odbywa się szerokimi ulicami, wszyscy bez przerwy stoją w korkach". Prokurator szczególnie przeanalizował układ olsztyńskich ulic, dziwiąc się ciągle, jak można postawić tyle sygnalizatorów świateł i tak je wyregulować, że ciągle tworzą się gigantyczne korki. Krytyka drogowych rozwiązań autora może jednak mieć inny podtekst. Onegdaj odpowiedzialny za drogi w mieście urzędnik jest jednocześnie autorem powieści kryminalnych. Czyżby krytyka układów drogowych Olsztyna to pośrednia polemika z konkurentem?

Prokurator Szacki dzień zaczyna od lektury „Gazety Olsztyńskiej". Nie ceni jej zbytnio, bo „udawał, że jest pochłonięty lekturą «Gazety Olsztyńskiej». [...] Kamuflaż był mocno przeciętny, nie było na świecie osoby, którą «Gazeta Olsztyńska» mogłaby tak zainteresować. Szacki nie raz zastanawiał się, kto tutaj patrzy władzy na ręce, skoro lokalne media zajmują się – jak w tym numerze – plebiscytami na najsympatyczniejszego listonosza". Lektura gazety doprowadza prokuratora wręcz do furii. „Chciał odpocząć i się odprężyć, zamiast tego przeglądał poirytowany «Gazetę Olsztyńską»". Bo znowu „plebiscyt na nauczyciela, plebiscyt na listonosza, plebiscyt na sportowca, nudy, nudy, nudy". Czasami autor używa bardziej dosadnych określeń: „Przekartkował gazetę, żeby skierować myśli na inny tor. Nuda, jak to w «Olsztyńskiej». Nuda. która nagle mu się wydała atrakcyjna. Plebiscyt na człowieka roku z obowiązkowym lizaniem dupska marszałkowi i prezydentowi, nadesłane do redakcji zdjęcia czytelników w stroju Mikołaja, wójt Dubeninek alarmuje o kolejnych atakach wilków, pełna namiętności dyskusja na temat obwodnicy pod tytułem «Węzeł się zakorkuje»".

Nie lepiej prokurator Szacki ocenia Radio Olsztyn, do którego został zaproszony. „Na szczęście okazało się, że lokalne radio jest tak samo nie zainteresowane kontrowersyjnymi tematami jak lokalna prasa". Okazuje się, że jedyne kontrowersyjne pytania do prokuratora ma Natasza Kwietniewska z pisma „Debata". Prosi o komentarz w sprawie rozprawy pana Adamasa, który „przypomniał Iwińskiemu jego przeszłość w PZPR zawieszając stosownej treści tabliczkę na biurze poselskim polityka". Tu prokurator ucieka w ironię i wyjaśnia, że nie chodzi o treść tabliczki, ale o estetykę. Tabliczka oszpecała „przestrzeń publiczną", jak czyni to wiele budynków wznoszonych współcześnie w Olsztynie. „To miasto od czasów wojny jest konsekwencje szpecone, niszczone i zamieniane w jakiś potworny, urbanistyczno-architektoniczny rynsztok" – wybucha Szacki w rozmowie z miejskim urzędnikiem.

W powieści *Gniew* Zygmunta Miłoszewskiego Olsztyn to miasto gdzie ciągle jesienią jest mgła i mżawka, ulice wiecznie zakorkowane i obrzydłe współczesne potworki architektoniczne z „Alfą" na czele w centrum. Lokalna gazeta zajmuje się konkursami na najsympatyczniejsze dziecko lub organizuje plebiscyt na najpopularniejszego wójta. Ciekawe, że autor *Gniewu* nie zauważył, że w Olsztynie ukazuje się także dodatek lokalny do „Gazety Wyborczej", ale tego tytułu prokurator Szacki widocznie nie czyta, choć na jego łamach autor powieści otrzymał najwięcej pochwał.

JAN ROSŁAN

Monika Szczygło

rozmawia z Gabą Kulką

Gaba Kulka jest pianistką, wokalistką i autorką tekstów. Styl, który prezentuje, to połączenie jazzu, rocka, poezji śpiewanej oraz brzmień musicalowych i teatralnych.

Sama wokalistka nazywa swoją muzykę progresywnym popem. We wszystkich utworach wykorzystuje fortepian. W swojej twórczości inspiruje się głównie muzyką Kate Bush oraz Tori Amos i do tych wykonawczyń jest często porównywana. Ostatnią płytą artystki jest album *The Escapist* (2014), zawierający utwory po angielsku i dwie piosenki po polsku. W tworzeniu płyty Kulka czerpała inspiracje m. in. z twórczości Eltona Johna i Led Zeppelin.

Monika Szczygło: Witam Cię serdecznie w Olsztynie.

Gaba Kulka: Dzień dobry.

Zanim przejdziemy do rozmowy o Twojej twórczości i najnowszej płycie powiedz z czym kojarzą Ci się Warmia i Mazury, z jakimi wspomnieniami?

Za każdym razem, kiedy odwiedzałam Olsztyn, był to przyjazd związany z koncertem, który graliśmy. Niestety nigdy nie miałam przyjemności zwiedzać tego miasta. Takimi zasadami rządzi się właśnie trasa koncertowa. Przemieszczamy się tylko pomiędzy hotelem a miejscem, w którym gramy.

Niedaleko Nowego Miasta Lubawskiego i Grodziczna mieszka część rodziny mojej mamy. Zatem tamten fragment Waszego regionu jest mi bardziej bliższy. Tam spędzałam wakacje w dzieciństwie. Jeżeli natomiast mam podać skojarzenia związane z Olsztynem, to kojarzy mi się z muzyką.

Mówisz o swoim dzieciństwie. Czy to właśnie w tamtym czasie narodziła się Twoja wielka muzyczna pasja? Kto miał na to wpływ? Wiemy, że Twój tato – Andrzej Kulka – jest znanym skrzypkiem i profesorem muzyki. Czy rodzina przyczyniła się do wyboru Twojej artystycznej drogi?

W pewnym sensie tak. W szkole podstawowej uczyłam się gry na skrzypcach, jednak zrezygnowałam z tego w późniejszym czasie. Brakowało mi samodyscypliny. Rodzina miała na mnie wpływ. Mój dom od zawsze był niezwykle muzycznym miejscem. Towarzyszyłam rodzicom podczas koncertów. Jednak od zawsze interesowałam się muzyką także z własnej woli. Była to ogromna paleta gatunków. Nie była to tylko muzyka poważna. Słuchaliśmy między innymi „Abby". Doceniliśmy wiele innych stylów.

Z wykształcenia jesteś architektem wnętrz. Jest to tematyka odległa od świata dźwięków. Czy oznacza to, że planowałaś pracować w zupełnie innym zawodzie? Czy może starałaś się pragmatycznie podejść do swojej przyszłości?

Oczywiście była w tej decyzji odrobina pragmatyki. Jednak nie do końca traktowałam to w ten sposób. Odkąd pamiętam zawsze byłam zainteresowana zajęciami plastycznymi. Dlatego między innymi zdecydowałam się studiować na Wydziale Architektury Wnętrz Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Jest to niezwykle wszechstronny kierunek. Studiuje się tam elementy czysto artystyczne jak rysunek, malarstwo czy rzeźbę, ale także elementy projektowe, wystawiennicze. Kierunek ten łączy praktykę ze sztuką. Miło wspominam te studia. Jednak faktycznie muzyka wygrała i jej poświęcam dużą część swego życia.

Gatunek, w którym tworzysz określasz mianem progresywnego popu.

To pojęcie wymyśliłam z związku z potrzebami medialnymi. Wszyscy odkąd pamiętam pytali o mój styl muzyczny. Zatem ukułam pojęcie, wspomnianego przez Ciebie, progresywnego popu. Dzięki temu, pytania o gatunek już się skończyły, ponieważ bardzo nie lubię definiować muzyki. Swoją drogą zauważam, że w obecnych czasach coraz mniej słuchaczy, twórców czy krytyków przejmuje się kwestią gatunków. Obecnie artyści w dużej mierze eksperymentują, mieszają różnorodne style, sprawdzają się na wielu płaszczyznach. Podobnie dzieje się w wielu innych dziedzinach sztuki.

Czy na początku swojej wielkiej przygody z muzyką stawiałaś sobie pewne cele? Czy od początku wiedziałaś w jakim klimacie chcesz tworzyć, czy po prostu intuicyjnie popłynęłaś w nieznane?

Nic z tego, co robiłam i co robię, nie jest do końca programowe. Nigdy nie wyznaczam sobie konkretnego założenia i nie próbuję go realizować według tych zamierzeń. Nie pracuję na zasadzie przysłowiowego szwajcarskiego zegarka, choć pewien scenariusz jest zawsze potrzebny. W swojej pracy cenię sobie spontaniczność. Lubię otwierać się na pewne działania i dopiero później sprawdzam, gdzie mnie one zaprowadzą.

Masz już kilka płyt na swoim koncie. Ostatnim albumem jest *The Escapist* („Ucieczka"). Jak pracowało Ci się przy realizacji tej płyty?

Ta płyta to mój osobisty krok do przodu. Oczywiście mam szacunek do swoich poprzednich albumów, jednak w tym widzę ewolucję. Wielu piosenek z tego krążka nie napisałabym kilka lat temu. Cieszę się, że w dalszym ciągu rozwijam się i potrafię robić rzeczy, które nadal budzą moje zainteresowanie. Dopóki ja się nie nudzę czuję, że słuchacz być może także nie jest znudzony.

Drugą sprawą jest to, że świetnie czuję się ze swoim zespołem. Mieliśmy okazję nagrywać razem mój poprzedni album pt. „Wersje". Dobrze się zgrywamy. Poza tym Ci muzycy są dla mnie wielką inspiracją. Są doskonali sami w sobie i bardzo lubię ich słuchać. Zatem te okazje, kiedy możemy razem występować są dla mnie wielkim świętem.

Wiem, że Twoimi muzycznymi mentorkami są między innymi amerykańska wokalistka i pianistka Tori Amos oraz brytyjska piosenkarka Kate Bush. Kto jeszcze?

Kolejną moją przewodniczką, nie wiem czy nie najważniejszą, jest także amerykańska artystka Amanda Palmer. Imponuje mi zarówno jako członkini zespołu The Dresden Dolls, ale także jako solistka. Jest przede wszystkim świetną wykonawczynią muzyki oraz autorką tekstów. Wiele spraw nas różni, jednak mamy ze sobą także wiele wspólnego. Chodzi mi o mierzenie się z wyzwaniami współczesności czy eksperymentowanie. Jednak daleko mi jeszcze do tego etapu, na którym jest Amanda.

Nagrywanie płyty to zupełnie inny proces niż występ „na żywo" przed publicznością. Jakim wymiarem w Twoim życiu są koncerty?

Na podstawie swoich doświadczeń mogę stwierdzić, że nie dzielę energii koncertowej na artystów i na publiczność. Traktuję to jak wspólne wzięcie udziału w artystycznym wydarzeniu. Bardzo mnie to mobilizuje i niezwykle pozytywnie to odbieram. Nigdy nie mam tremy i nie denerwuję się. Samo zetknięcie się z publicznością odbieram zawsze bardzo dobrze i nie mam obaw. Mam wrażenie, że podczas naszych koncertów spotykamy się z odbiorcami na przysłowiowej „równej stopie". Ma to zazwyczaj charakter spotkania. Duży wpływ na klimat tego spotkania mają sale, w których koncertujemy. Niektóre przestrzenie wspomagają budowanie ciekawego klimatu, inne niestety nie. Jednak najważniejsza jest nasza wspólna energia.

Dziękuję za rozmowę.

Wielkie dzięki.

W Radiu Olsztyn rozmawiała MONIKA SZCZYGŁO

Gaba Kulka: W muzyce lubię różnorodność

Rehabilitacja w AMICUSIE

Podopieczna z Myszką Norką – maskotką Fundacji

Fundacja Dzieciom w 2014 roku

Rehabilitacja w BIOMICUSIE

Wieczór andrzejkowy

Festiwal integracyjny Klubu Myszki Norki

Impreza mikołajkowa w Hulakuli

Podopieczny podczas przejażdżki rajdowym samochodem z okazji Dnia Dziecka

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" działa już siedemnaście lat. Jej pierwsi podopieczni dorośli, ale nadal potrzebują pomocy. Wciąż zgłaszają się rodzice i opiekunowie dzieci chorych i niepełnosprawnych, które Fundacja bierze pod swoje skrzydła.

Nieustannie otwarci na niesienie pomocy

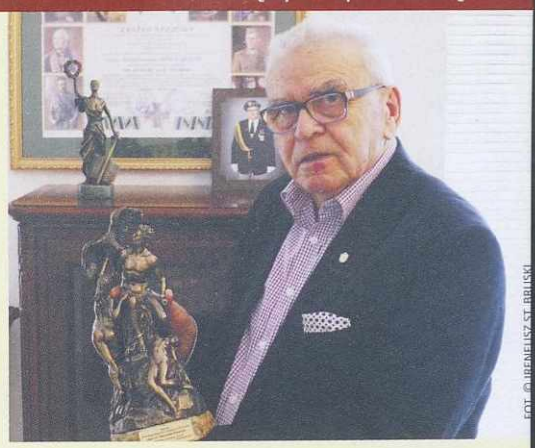

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Ze Stanisławem Kowalskim, prezesem Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą", rozmawia Ewa Pustelnik.

Ewa Pustelnik: Panie Prezesie, ilu podopiecznych ma w tej chwili Fundacja?

Stanisław Kowalski: Dokładnie 25 534. Ale ta liczba tak szybko rośnie, że w momencie publikacji tego wywiadu może być ich już 26 tysięcy. W ciągu 2014 roku przyjęliśmy prawie 3 tysiące dzieci.

Nikomu nie odmawiacie?

Przyjmujemy wszystkie chore i niepełnosprawne dzieci, a podstawą jest zaświadczenie lekarskie.

Jaką pomoc oferuje Fundacja?

Przede wszystkim zbieramy fundusze na leczenie i rehabilitację. To najważniejsze. Konieczne są lekarstwa, wizyty u specjalistów, operacje, nawet za granicą, terapia logopedyczna, psychologiczna i jak najwięcej rehabilitacji ruchowej. Dostęp do niej jest w naszym kraju bardzo trudny, dlatego uruchomiliśmy trzy ośrodki w Warszawie, z których korzystają nasi podopieczni.

Beata Tyszkiewicz – przewodnicząca Rady Programowej Fundacji Dzieciom i Stanisław Kowalski – prezes Fundacji podczas Gali Konkursu im. prof. Zbigniewa Religi, Warszawa 2014 FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

Stanisław Kowalski: „Profesor Zbigniew Religa był człowiekiem wielkiego formatu, bohaterem, jakich dziś brakuje".

FOT. © FUNDACJA DZIECIOM

A dzieci spoza Warszawy też do nich przyjeżdżają?

Tak, przygotowaliśmy dla nich dwutygodniowe turnusy rehabilitacyjne, mają zapewnione zakwaterowanie w fundacyjnych hostelach. Przyjeżdżają z nimi rodzice. Staramy się zapewnić maluchom – oprócz zajęć rehabilitacyjnych – również rozrywkę. Dzieci uczestniczą w integracyjnych zajęciach prowadzonych w naszym Klubie Myszki Norki. Są to zajęcia sportowe, taneczne, plastyczne, edukacyjne. Organizujemy też bezpłatne wyjścia do sal zabaw, kina, teatru, zoo.

Jak wygląda rehabilitacja w Fundacji?

Mamy trzy ośrodki: AMICUS, BIOMICUS i CEMICUS. Pracują tam fizjoterapeuci, psychologowie, logopedzi. Dzieci korzystają z rehabilitacji ruchowej, terapii kręgosłupa, integracji sensorycznej, masaży leczniczych, terapii zajęciowej, treningów EEG Biofeedback i dogoterapii.

W jaki sposób Fundacja jest w stanie zapewnić to wszystko tak ogromnej liczbie dzieci?

Mamy grono oddanych darczyńców, cieszymy się zaufaniem społecznym, znacząca liczba podatników corocznie przekazuje nam 1 %. Około jedna czwarta wszystkich podatników decyduje się przekazać 1 % podatku właśnie na naszą Fundację i naszych podopiecznych. Środki przekazane na konkretne dziecko pozostają do jego dyspozycji – służą opłacaniu leczenia i rehabilitacji. Fundusze przekazane Fundacji wykorzystujemy na prowadzenie ośrodków rehabilitacyjnych. Są to naprawdę wysokie koszty: opłaty, wynagrodzenia dla terapeutów, konserwacja i wymiana sprzętów rehabilitacyjnych, zakup pomocy dydaktycznych.

Skończył się właśnie rok 2014. Jak mógłby Pan go podsumować z punktu widzenia działań Fundacji?

Dużym sukcesem było uruchomienie aż dwóch ośrodków – BIOMICUSA i CEMICUSA. AMICUS działa już kilka lat i dobrze sobie radzi. Nowe placówki to duże wyzwanie. Udało nam się je wspaniale wyposażyć, są kolorowe, przyjazne dla maluchów. Zatrudniliśmy rehabilitantów i terapeutów. Mam nadzieję, że nasi mali pacjenci i ich rodzice są zadowoleni.

Przeprowadziliśmy drugą edycję Konkursu im. prof. Zbigniewa Religi, w której wyłoniono wyjątkowych lekarzy, rehabilitantów i wzorcowe placówki służby zdrowia. Wyniki naszego Konkursu są pomocne dla wszystkich pacjentów, którzy szukają godnych zaufania specjalistów, przychodni czy szpitali. Warto nadmienić, że w zeszłym roku za sprawą świetnego filmu Łukasza Palkowskiego „Bogowie" została przypomniana sylwetka naszego patrona – prof. Zbigniewa Religi. Bardzo nas to cieszy, bo był to człowiek wielkiego formatu, bohater, jakich dziś brakuje.

Poza tym nasze działania koncentrowały się jak zawsze wokół dzieci. Aby zapewnić im trochę radości, organizowaliśmy zabawy, zajęcia, charytatywne koncerty i imprezy. Nasze wydawnictwo opublikowało kilka nowych książek dla najmłodszych czytelników: *Tęczusia*, *Baśnie z dalekich zakątków* i *Co tkwi w rzodkwi*.

Plany na 2015 rok?

Przed nami wiele zadań. Przede wszystkim staramy się, aby jak najwięcej podopiecznych mogło być rehabilitowanych w naszych ośrodkach, aby nasze placówki były w stanie utrzymać się w tych trudnych finansowo czasach. Chcemy organizować więcej imprez integracyjno-charytatywnych w ramach Klubu Myszki Norki, którego działalność będziemy rozszerzać, ponieważ podopieczni zgłaszają nam taką potrzebę. Mam takie życzenie czy może marzenie, żeby jak najmniej dzieci chorowało i żeby jak najwięcej udało się wyleczyć... Jesteśmy otwarci, by nieść pomoc wszystkim maluchom, które jej potrzebują. Mam też wielką nadzieję, że grono ludzi o dobrych sercach będzie się powiększać i wspierać nasze działania.

Panie Prezesie tego zatem życzymy Panu i wszystkim zaangażowanym w dzieło Fundacji. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała EWA PUSTELNIK

Bardzo dużo dzieci czeka na wsparcie. Walczą o życie, zdrowie, sprawność. Warto im pomagać. Bez udziału darczyńców wielu rzeczy nie udałoby się zrobić, nie byłoby funduszy na opłacanie leczenia i rehabilitacji.

Pomóż nam pomagać...

Wystarczy w formularzu PIT wskazać:
KRS Fundacji Dzieciom „Zdążyć z Pomocą": 0000037904
Darowizny można przekazywać na konto nr: 92 1060 0076 0000 3210 0019 6507
Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą" 01-685 Warszawa, ul. Łomiańska 5

Carnevale di Venezia

Raz w roku można być szalonym

Niezależnie od czasów i sytuacji ekonomiczno-politycznej Włosi zawsze kierują się horacowską maksymą „*Carpe diem*" – „Chwytaj dzień". W czasie kryzysu, który nie ominął również słonecznej Italii, prawdziwy Włoch zaciskający pasa (a zawsze będzie to pasek markowy) nie odmówi sobie zabawy i dobrego jedzenia, a kiedy się bawić jak nie w karnawale!

Semel in anno licet insanire

„Raz w roku zabawa jest dozwolona" – ta łacińska sentencja reprezentuje ducha karnawału we Włoszech. Rodowód tradycji karnawału przypisuje się czasom rzymskich Saturnalia. Trwającego siedem dni święta, podczas którego następowała zamiana ról, niewolnicy zamieniali się w panów i odwrotnie. „Król święta" wybrany przez lud, zajmował się zabawą na placach i przedstawieniami gladiatorów. Podczas symbolicznego obalania panującego porządku każdego roku, w określonym czasie każdy miał prawo nie przestrzegać kanonów zachowań i przypisanej roli społecznej. Pozornie wszystko było dozwolone, w rzeczywistości jednak ta zamiana ról na ten krótki czas miała na celu złagodzenie napięć między panującymi i podwładnymi, i utrzymanie konsensusu.

Etymologia samego słowa nie jest pewna. Niewątpliwie pochodzi z łaciny, ale istnieją dwa sposoby jej interpretacji „*carnis laxatio*", „*caples navalis*", czyli procesyjny rydwan w kształcie statku używany w lutym w Rzymie do obrzędów oczyszczenia oraz „*carnem levare*" (ewoluowało w dawnym języku włoskim na *carnasciale do carne vale*), które odnosi się do średniowiecznych tradycji chrześcijańskich, a oznacza dosłownie „pożegnanie z mięsem" na czas Wielkiego Postu.

Symbolem karnawału jest maska. Tradycja przebierania się ma swój początek w rytuałach magicznych, kiedy czarodzieje ozdobieni w pióra i grzechotki pokrywali twarze malowanymi maskami nadając w ten sposób przerażający wygląd, aby odpędzić złe duchy. Maska towarzyszyła również starożytnym bachanaliom, święcie przejścia z zimy do wiosny, podczas których zabawom i tańcom towarzyszyły strumienie wina.

Carnevale Todi
FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ

Karnawał w Wenecji

Najbardziej znanym karnawałem we Włoszech jest karnawał w Wenecji, którego początki sięgają XII wieku. Kroniki historyczne podają, że w Tłusty Czwartek świętuje się zwycięstwo Doży Vitale Michiel nad Ulrichem patriarchą Akwilei w 1162 roku. Po klęsce uwięziony w Wenecji patriarcha ze swoim dwunastoma kanonikami zobowiązał się i w zamian za przywrócenie wolności będzie wysyłał do doży w rocznicę swojej porażki jednego byka, dwanaście świń i dwanaście chlebów. Ten właśnie fakt doprowadził do świętowania na stałe Tłustego Czwartku. Doża rozdzielał dary wśród szlachty, duchowieństwa i ludu. Towarzyszyły temu występy żonglerów, akrobatów i pokazy fajerwerków.

W 1296 roku Senat Republiki Weneckiej wydał dekret uznający oficjalnie ostatki (dzień

przed Wielkim Postem) jako dzień karnawału. Z czasem jednak karnawał w Wenecji stopniowo wydłużał się. Tak więc trwał nieprzerwanie od 26 grudnia, aby zakończyć się w przeddzień Środy Popielcowej. Często wydawano w Wenecji specjalne licencje na udział w czasie bankietów i świąt podczas Wielkiego Postu oraz na noszenie masek już od 1 października.

Jednym z niezwykłych wydarzeń, jakie miały miejsce podczas jednego z karnawałów, było to z połowy XVI wieku i zapisało się na stałe w historii. Jeden z tureckich akrobatów przeszedł po linie umocowanej do łodzi na nabrzeżu a dzwonnicą Świętego Marka aż do Pałacu Dożów gdzie znajdował się doża. „*Svolo del turco*" – chodzenie na linie, zostało tak entuzjastycznie przyjęte przez publiczność zgromadzoną na Placu, że było powtarzane każdego roku w Tłusty Czwartek. Po pewnym czasie akrobata wykonywał swój popis z przyczepionymi do ramion skrzydłami i w ten sposób svolo przekształciło się w *volo dell'angelo* czyli „lot Anioła". Po śmiertelnym wypadku w roku 1759 popis akrobatyczny został zawieszony i anioł został zastąpiony bardziej pewnym „Lotem Gołębicy" („*Volo della Colombina*"), gdzie wielka, drewniana gołębica zstępując z dzwonnicy sypała kwiaty i konfetti na tłum obecnych na Piazza San Marco.

W karnawałowym klimacie nie mogło zabraknąć zabaw związanych z hazardem. W 1638 roku otworzono publiczny dom gier zarządzany przez państwo. W ten sposób potok dukatów z kieszeni zamaskowanych, rozbawionych graczy odpływał do państwowej kasy. W roku 1700 wenecki karnawał został jednym z najbardziej popularnych imprez w całej Europie.

Tradycyjnym przebraniem karnawałowym była *la bauta*, która gwarantowała anonimowość zarówno kobietom, jak i mężczyznom. Składała się z czarnej peleryny, czarnego kapelusza w kształcie rożka i białej maski. *La bauta* była używana chętnie również poza okresem karnawału, podczas świąt, w teatrze, zwłaszcza podczas miłosnych przygód, co gwarantowało całkowitą anonimowość, a tym samym podnosiło dreszczyk emocji.

Urzędowy zakaz karnawału wprowadzono w 1797 roku traktatem w Campo Formio, kiedy to Wenecja dostała się pod panowanie austriackie. Odbywały się jedynie prywatne imprezy, który z czasem traciły na wigorze. Ostatni prywatny karnawał odbył się w pałacu markiza Casati w 1913 roku.

Karnawał powrócił do Wenecji w 1979 roku i od tego czasu trwa około dwóch tygodni każdego roku, podczas których organizowane są spektakle, koncerty, pokazy sztucznych ogni i oczywiście bale, parady, maskarady, konkurs najpiękniejszej maski. Uroczystą inaugurację stanowi wspomniany „Lot Anioła", który przywrócono w 2001 roku. Oczywiście celebrytka wcielająca się obecnie w rolę Anioła dokonuje zjazdu z dzwonnicy w specjalnym zabezpieczeniu. Punktem kulminacyjnym karnawału jest bal na Placu św. Marka osób ubranych w tradycyjne stroje z XVII i XVIII wieku. Koniec zabawy karnawałowej ogłaszają dzwony z dzwonnicy Bazyliki Świętego Marka bijące o północy (z wtorku na środę, która jest Środą Popielcową). W obecnym roku karnawał w Wenecji trwa od 31 stycznia do 17 lutego, a jego mottem jest „Najbardziej żarłoczne święto świata!".

FOT. © CLUB MAGELLANO SRL

FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ

Città del Carnevale

Czas karnawału wypełnia zabawą cały Półwysep Apeniński, nie omijając wysp. Jest niezwykle barwny, zabawny i fantazyjny. W miastach i miasteczkach odbywają się parady zbudowanych z *papier mache* alegorycznych wozów i ogromnych, kolorowych postaci (najsłynniejsze w Viareggio, Foiano della Chiana, Sciacca, Acireale), wystawy masek, średniowieczne rekonstrukcje. Niektóre z nich zamieniają się w prawdziwe karnawałowe miasta – *Città del Carnevale*. Miasto pulsuje jedną, kolorową paradą, z bogatą tradycją przebierania się, gdzie każdy może uczestniczyć w zabawie. Na ulicach roi się od klownów, artystów ulicznych, żonglerów, gawędziarzy, sokolników, połykaczy ognia. Zabawie towarzyszy muzyka, serpentyny i konfetti. Nie ma oczywiście karnawału bez słodkości takich jak strufoli, frappe i castagnole.

FOT. © LSD MAGAZINE

Każdy z regionów włoskich ma swoje własne bogate zwyczaje karnawałowe, związane z lokalnym folklorem i tradycją. Dotyczy to również strojów, masek i łakoci. Nie sposób wymienić wszystkie, ale jako ciekawostkę wspomnę o mieście Ivrea gdzie organizuje się bitwy na pomarańcze (*battaglia delle arance*). Czy Włochom można zarzucić brak fantazji? Może warto raz w roku oderwać się na chwilę od codziennych trosk i poddać się karnawałowej zabawie idąc za przykładem potomków Petrarki i Boccacia...

MAŁGORZATA CHOMICZ

FOT. © MAŁGORZATA CHOMICZ

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZY POLSKICH

DOM PRACY TWÓRCZEJ

Położony na Górze Małachowskiego, w sąsiedztwie domu Marii i Jerzego Kuncewiczów, otoczony 3,5 ha parkiem, stanowiącym część Kazimierskiego Parku Krajobrazowego.

Oferujemy:

- *130 miejsc noclegowych w pokojach 2- i 3-osobowych z łazienkami oraz w apartamentach 2-pokojowych*
- *Sale konferencyjne dla 300 osób z nowoczesnym sprzętem audiowizualnym (sala duża z klimatyzacją)*
- *Restauracja • Kawiarnia • Grill • Parking*

Zapraszamy:
uczestników kongresów, szkoleń, konferencji i gości indywidualnych.

24-120 Kazimierz Dolny
ul. Małachowskiego 17
recepcja: tel. 81 881 01 62
fax 81 881 01 65
www.domdziennikarza.com
info@domdziennikarza.com

Ceny usług do negocjacji.
Stali Klienci otrzymują rabaty.

Po wyborach

W Olsztynie faktycznie odbyła się powtórka z rozrywki, czyli znów w drugiej turze wyborów prezydenckich stanęli w szranki ci sami kandydaci, co przed czterema laty. Znów wygrał minimalną ilością głosów Piotr Grzymowicz, choć kampania wyborcza miała swoje rumieńce. I znów jak przed czterema laty społeczeństwo podzieliło się w udzieleniu poparcia kandydatom, choć olsztyńskie media prowadziły jednostronną kampanię promując jednoznacznie urzędującego prezydenta.

„Gazeta Olsztyn" czyli lokalny dodatek „Gazety Wyborczej" przez tydzień wychwalał urzędującego prezydenta i wypominał wszystkie popełnione lub nie grzechy oponenta, czyli byłego prezydenta. Tylko czy czasami te oskarżenia nie posunęły się za daleko? Jak można zarzucać komuś, że lansuje się uczestnicząc w pogrzebach? Sadzę, że jest to przekroczenie dobrego smaku. Co ma wspólnego obecność na smutnej uroczystości z kampanią wyborczą? Zawsze wierzę, że udział w pogrzebie jest bardzo intymną i wewnętrzną sprawa, której publicznie dotykać nie można. Tak samo chyba przesadą było stwierdzenie w internetowym wydaniu „Debaty", że Czesław Małkowski to wręcz wcielenie diabła, bo tytuł artykułu brzmiał: „Szatan w Olsztynie". Ten sam autor Bogdan Bachmura w grudniowej, drukowanej „Debacie" stwierdził, że „Piotr Bałtroczyk, zdeklarowany ateista, ostrzegając przed wyborem Małkowskiego, nie mówiąc tego wprost, odwołuje się tak naprawdę do wartości chrześcijańskich". Wysłuchałem dwukrotnie płatnego ogłoszenia Bałtroczyka i nie doszukałem się tego, o czym wspomina wydawca „Debaty". Wręcz przeciwnie, były tam zarzuty bardzo niesmaczne. Tadeusz Matulewicz w internetowym „Expressie Olsztyn" ustosunkował się do wystąpienia Bałtroczyka, szczególnie będąc urażonym, że ten zarzucił Małkowskiemu komunistyczną przeszłość. Bo przecież Matulewicz sam był cenzorem, a potem dziennikarzem w „Dzienniku Pojezierze" i znakomicie znał Andrzeja Bałtroczyka naczelnego gazety, ojca Piotra.

Prywatne gazety (a tylko takowe są na rynku) mogą sobie pozwolić na popieranie jednego lub drugiego kandydata, ale jedyne publiczne i państwowe medium, jakim jest Radio Olsztyn powinno kierować się jednak wyważeniem w szafowaniu opinii i pewnym obiektywizmem, a jednak także dołączyło do jednostronnej kampanii. To, że kandydat odmówił udziału w radiowej debacie uznając, że nie wierzy w obiektywność dziennikarzy, nie oznacza, że dziennikarze muszą na antenie radiowej ten sąd potwierdzać.

„Debata" piórem Marka Baterowicza zaproponowała, aby udział w wyborach był obowiązkowy, czyli przymusowy pod karą grzywny, gdyby ktoś w nich nie uczestniczył, bo tak jest obecnie w Danii i Australii. Kto nie bierze udziału w głosowaniu, jest zwolennikiem „złotej wolności, która zresztą nie przyniosła dobra Rzeczpospolitej". A ja dotychczas myślałem, że demokracja polega także na wolnym wyborze udziału w życiu politycznym i społecznym, i nikt nie powinien mnie do tego zmuszać. Publicysta „Debaty" sądzi inaczej. I znów kary, i sprawdzanie obywatelskiego posłuszeństwa itp. Taki mały terroryzm państwowy w imię demokracji. To ja za to dziękuję.

Ciekawa była strategia lansowania własnego kandydata na prezydenta Olsztyna przez „Gazetę Olsztyńską", od razu dodajmy kandydata rządzącej nam miłościwie partii. Odłożyłem sobie weekendowe wydania gazety, które mają największy nakład. W numerze z 10 października zamieszczono całostronicowy wywiad z prezydentem Olsztyna Piotrem Grzymowiczem. Niestety, żaden dziennikarz pod tym wywiadem się nie podpisał, a na zdjęciu prezydenta jest podpis: „Fot. Urząd Miasta w Olsztynie". Czyżby był to materiał reklamowy? Ale nie zostało to tak oznaczone, co jest przecież wymogiem według prawa prasowego. Więc jednak to materiał redakcyjny, choć dziwne, że redakcja mając tylu fotoreporterów nie miała własnego zdjęcia prezydenta. W tym samym numerze zaprezentowano dwa komitety wyborcze: PO i Czesława Małkowskiego oraz zamieszczono dwa zdjęcia Anny Wasilewskiej, jedno zbiorowe, drugie indywidualne. Tydzień później zamieszczono wywiad z Andrzejem Ryńskim, kandydatem na prezydenta i artykuł Andrzeja Mielnickiego zatytułowany „Jestem pewna, że te wybory wygramy", z nadtytułem: „Anna Wasilewska, kandydatka na prezydenta Olsztyna", plus oczywiście fotka.

Jednak w piątek 24 października „Gazeta Olsztyńska" przebiła sama siebie. Oto w jednym numerze zamieściła aż dwa wywiady z Anną Wasilewską, jako członkiem Zarządu województwa. Jedną rozmowę zamieszczoną na stronie 14 przeprowadził Roman Lipiński, a drugą zamieszczoną na stronie 18 Andrzej Mielnicki. Oba teksty to materiały redakcyjne. Ale tu wykazano się jakąś skromnością, bo zamieszczono tylko jedno zdjęcie pani Wasilewskiej. Ostatni weekendowy numer „Gazety Olsztyńskiej" w październiku przynosi także wywiad z Anną Wasilewską, tym razem przeprowadzony przez Karolinę Tomaszewską. Oczywiście jest ilustrowany zdjęciem bohaterki. Do tego w tym samym numerze w dodatku „Eko Głos" Anna Wasilewska ma swój własny tekst ozdobiony swoją podobizną.

W pierwszym weekendowym wydaniu „Gazety Olsztyńskiej" w listopadzie mamy dyskusję kandydatów na prezydenta miasta Olsztyna. Tu po raz pierwszy występuje kandydatka PiS-u, bo w weekendowych wydaniach gazety do tej pory o tej partii i jej kandydatach w wyborach samorządowych nie było nawet wzmianki. Są też fotografie kandydatów, w tym Anny Wasilewskiej. Ale znów dodatkowo nie mogło zabraknąć oddzielnego wywiadu z tą kandydatką przeprowadzonego przez Karolinę Tomaszewską i ozdobionego dodatkową fotką.

W numerze datowanym 14 listopada, więc obejmującym już wybory, mamy w „Gazecie Olsztyńskiej" wywiad aż na dwie strony z Anną Wasilewską z dwoma zdjęciami, ale po raz pierwszy jest to materiał „zlecony i opłacony przez KW Platforma Obywatelska RP". W dodatku miejskim „Tydzień w Olsztynie i powiecie" mamy jeszcze jedno zdjęcie Anny Wasilewskiej ilustrujące tekst „Dlaczego lekcje wuefu są nieatrakcyjne".

Wydawca „Gazety Olsztyńskiej", spółka Edytor jest także wydawcą „Naszego Olsztyniaka", gazety bezpłatnej. Tego tytułu nie prześledziłem dokładnie, bo trudno mi się uganiać za ulotkami, ale jakże by on nie mógł wspomóc w lansowaniu Anny Wasilewskiej, skoro czyni to sztandarowe wydawnictwo spółki. I tak w numerze z 12 października zamieszczono całostronicowy wywiad z Anną Wasilewską „O miłości do Olsztyna i działaniu na rzecz jego mieszkańców..." jak w podtytule, ozdobiony trzema zdjęciami, a w numerze z 9 listopada Karolina Tomaszewska zamieściła kolejną rozmowę z Anną Wasilewską. Oczywiście ze zdjęciem. Wszystko to jako własne materiały dziennikarskie, a nie jako reklamy.

Edytor wydaje także bezpłatny magazyn „Warto!" w eleganckiej szacie graficznej. W numerze, gdzie na okładce jest zdjęcie Allana Starskiego, w środku poświęcono aż cztery strony osobie Anny Wasilewskiej i zamieszczono cztery duże fotografie. Magazyn ten nie ma numeracji ani oznaczenia czasu ukazania się, więc chyba należy traktować go jako ulotkę reklamową, choć w ostatnim numerze na okładce nie było też żadnej numeracji, ale zaznaczono „Grudzień 2014".

Można oczywiście policzyć wszystkie wywiady z Anną Wasilewską i artykuły jej poświęcone zamieszczone w okresie przedwyborczym w tytułach wydawanych przez spółkę Edytor, a w „Gazecie Olsztyńskiej" w szczególności. Zamieszczenie dwóch wywiadów z jedną osobą w tym samym numerze gazety to dziennikarski szczyt wazeliniarstwa. Mimo takiej promocji, takiego lansu, jakby powiedziała młodzież, Anna Wasilewska osiągnęła wynik, napiszmy to delikatnie, bardziej niż przeciętny. Kandydatka PiS-u przemilczywana przez „Gazetę Olsztyńska" jednak ją pokonała.

A może redakcja „Gazety Olsztyńskiej" cierpi na brak dziennikarskich materiałów i stąd to wykorzystywanie tylko jednej rozmownej osoby w każdym weekendowym wydaniu? Ale dlaczego te rozmowy po wyborach nagle przestały się ukazywać? Może rzeczywiście brak jest redakcji materiałów dziennikarskich skoro te same teksty są drukowane obok siebie? Przykładowo 7 listopada na stronie 22 autorka MZG kończy tekst „Gadające dachówki" 16-wersowym akapitem, aby tuż obok rozpocząć tym samym akapitem tekst zatytułowany „Ogrody zdrowia". W sposób przedziwny została zredagowana kolumna „Z gazetą do kina" z 31.10-2.11.2014, gdzie obok siebie aż trzykrotnie pisano o tych samych filmach tymi samymi zdaniami. A można było tam przeczytać i zdanie następujące: „Dzieci będą rozdawane maski bohaterów wyświetlanej bajki". Po belfersku poprawię, aby nie powielać błędów, winno być: „Dzieciom będą...".

W poprzednim felietonie wspomniałem, że napiszę o konkurentach do nagrody za najbardziej niechlujnie redagowana gazetę. „Gazeta Olsztyńska" też kandydowała do nagrody w tej kategorii, ale byli lepsi. To znaczy gorsi. Mam nadzieję, że się poprawią w nowym roku jedni i drudzy, choć nadzieja to nikła, ale jednak jest.

JAN ROSŁAN

portEl.pl
Elbląska Gazeta Internetowa

SDP

bezwierszówki
MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY SDP

„Media lokalne Warmii, Mazur i Powiśla bodźcem rozwoju i integracji regionu"

Konferencja w obiektywie Witolda Sadowskiego z „Elbląskiej Gazety Internetowej portEL.pl"

Natalia Szrama i Rafał Gruchalski („Elbląska Gazeta Internetowa portEL.pl") prezentują referat „Szansa w prasie internetowej"

Dr Magdalenia Żmi kowska (Instytut Dziennikarstwa i K munikacji Społecz- nej UWM) autorka referatu „Sytuacja prasy lokalnej w P sce po 1989 roku"

Dr Dobrochna Ossowska-Salamo- nowicz (Wydział Prawa i Administra- cji UWM) autorka referatu „Informa- cja – towar regla- mentowany?"

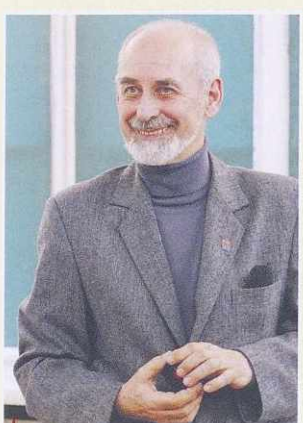

Jerzy Pantak (SDP), koordynator projektu „Media lokalne..."

Wystąpienie Joanny Glezman, pełnomocnik Marszałka Województwa Warmińsko-Mazurskie- go ds. Organizacji Pozarządowych; obok Andrzej Dramiński, wiceprezes Oddziału SDP

Danuta Gomolińska, członek Jury Konkursu „Razem dla Regionu 2014"

Prof. UWM, dr hab Zbigniew Anculew kierownik Zakładu Historii Mediów Instytutu Dzienni stwa i Komunikacj Społecznej UWM

Natalia Szrama, Marta Wiloch i Rafał Gruchalski z „Elbląskiej Gazety Internetowej portEL.pl"

Laureaci Konkursu „Razem dla Regionu 2014”

Podczas konferencji podsumowującej projekt „Media lokalne Warmii, Mazur i Powiśla bodźcem rozwoju i integracji regionu” 13 grudnia wręczono w Olsztynie nagrody w Konkursie „Razem dla Regionu 2014”.

Laureatka I miejsca w kategorii: prasa internetowa – Marta Wiloch z „Elbląskiej Gazety Internetowej portEL.pl”

FOT. © WITOLD SADOWSKI / PORTEL.PL

Nagrody i wyróżnienia w dwóch kategoriach konkursowych (prasa internetowa i prasa drukowana) przyznało Jury w składzie: Danuta Gomolińska, Henryk Monkiewicz, Zbigniew Połoniewicz, Grzegorz Radzicki, Krzysztof Stachowski, Janusz Sypiański i Grzegorz Wadowski.

Kategoria „prasa internetowa”

I nagrodę, ufundowaną przez Związek Gmin Warmińsko-Mazurskich (tablet), otrzymała Marta Wiloch z „Elbląskiej Gazety Internetowej portEL.pl” za teksty: „Jeden Piekarczyk promocji nie czyni” i „Szkolenie? Tak, ale nie za 11 tysięcy”. Jury wyraziło też uznanie za ciekawe ujęcie problematyki lokalnej oraz czytelną grafikę i przejrzyste łamanie strony.

Wyróżnienie honorowe zdobył Daniel Woronko z „Portalu MediaGroupInfo.pl” za teksty: „Biblioteka z Morąga zasłużona dla kultury polskiej”, „Wernisaż wystawy pt. Morąg moje miasto” i „Jubileuszowa muzealna noc z Herderem”.

Kategoria „prasa drukowana”

I Nagrodę (tablet) przyznano Krystynie Kacprzak z czasopisma „Zapiski Zalewskie” za tekst pt. „Truda”. W tekście tym – jak podkreśliło Jury – historia szczególnie splata się z teraźniejszością naszego regionu i zmusza czytelnika do refleksji.

II nagrodę (aparat fotograficzny) otrzymał Ryszard Kowalski z „Rocznika Historycznego Pojezierza Iławskiego” za tekst pt. „Pod białymi żaglami na Jeziorze Drwęckim”.

III nagrodę (smartfon) – Krzysztof Kępiński ze „Skarbca Suskiego” za tekst pt. „Życie przemija, a wspomnienia pozostały”.

Nagrody rzeczowe w tej kategorii ufundował Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

Przyznano też wyróżnienia honorowe. Otrzymali je: Henryk Plis z „Rocznika Historycznego Pojezierza Iławskiego” za tekst pt. „Moje spotkanie ze Świętym Janem Pawłem II”, Cezary Wawrzyński z „Zapisków Zalewskich” za tekst pt. „Zajezierze. Tablica poległych mieszkańców w I wojnie światowej” i Martyna Seroka z „Kwartalnika Informacyjnego WPiA UWM” za cykl pt. „Sukcesy i nagrody pracowników i studentów Wydziału Prawa i Administracji UWM”.

Ponadto wszyscy nagrodzeni i wyróżnieni otrzymali dyplomy i zestawy książek ufundowane przez regionalne wydawnictwa: „SQL” i „Elset” w Olsztynie, „Retman” w Dąbrównie oraz dyrektora Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie.

JERZY PANTAK

Laureaci Konkursu „Razem dla Regionu 2014” z przedstawicielami organizatorów (od lewej): Cezary Wawrzyński, Jerzy Pantak (SDP, kordynator projektu), Ryszard Kowalski, Krystyna Kacprzak (I nagroda), Daniel Woronko, Andrzej Dramiński (SDP), Marta Wiloch (I nagroda), Krzysztof Kępiński, Martyna Seroka i Henryk Plis FOT. © WITOLD SADOWSKI / PORTEL.PL

Konkurs realizowany jest przez Warmińsko-Mazurski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie w partnerstwie ze Związkiem Gmin Warmińsko-Mazurskich oraz Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie w ramach zadania publicznego z zakresu kultury i ochrony dziedzictwa kulturowego pt. „Media lokalne Warmii, Mazur i Powiśla bodźcem rozwoju i integracji regionu”, współfinansowanego przez Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Jest baza mediów lokalnych!

Konferencją z referatami teoretycznymi i praktycznymi oraz ogłoszeniem wyników Konkursu „Razem dla Regionu 2014" zakończyliśmy zasadniczą część naszego projektu „Media lokalne Warmii, Mazur i Powiśla bodźcem rozwoju i integracji regionu".

Pomysł narodził się w październiku 2013 roku z inicjatywy Grzegorza Radzickiego. Zarząd Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Olsztynie do jego wykonania powołał trzech członków: Grzegorza Radzickiego, Zbigniewa Połoniewicza i niżej podpisanego. Wniosek przesłaliśmy na konkurs ofert marszałka województwa w zakresie kultury i ochrony dziedzictwa kulturowego (jako zadanie publiczne o charakterze innowacyjnym). Przyznano nam tylko 5 tysięcy zł, choć wnioskowaliśmy o ponad 15 tysięcy. Musieliśmy więc zrezygnować z wielu zamierzeń, zminimalizować koszty i wszystko wykonać wolontariacko.

Dwie części projektu

Projekt składał się z dwóch zasadniczych części: aktualnej bazy danych o mediach lokalnych i konkursu dla tych mediów oraz konferencji podsumowującej. Warunkiem dofinansowania druku „Bez Wierszówki" była publikacja co najmniej trzech artykułów. Umowę podpisano dopiero na początku kwietnia i dopiero wtedy mogliśmy przystąpić do pracy, choć wcześniej zrobiliśmy rozeznanie, kto i co wydaje w gminach (ankieta nr 1). Niestety, ta praca nie zalicza nam się do rozliczenia projektu. O konferencji, konkursie i jego wynikach piszemy osobno.

Baza, czyli „książka telefoniczna" mediów lokalnych

Powodem podjęcia tematu był zwyczajny niedostatek informacji o lokalnych redakcjach, bo żadna z bibliotek w województwie warmińsko-mazurskim nie ma takich informacji. Stąd potrzeba ujęcia najaktualniejszych danych w jednym dokumencie. Przyjęliśmy, że będziemy zbierać informacje o „mediach lokalnych i sublokalnych". Pojęcie to dotyczyło:

- czasopism, programów radiowych i telewizyjnych, portali i blogów internetowych zajmujących się życiem społeczności gmin i powiatów,
- wydawnictw parafialnych w ramach struktur Kościołów w naszym regionie.

Nie interesowały nas redakcje „sformatowane" w sieciach i grupach medialnych.

Informacje do bazy uzyskaliśmy m. in. poprzez ankiety rozesłane e-mailowo do redakcji mediów lokalnych (około 40), urzędów gmin i powiatów (145), kwerendę zasobów różnych bibliotek i zasobów internetowych, weryfikację danych (telefony oraz prawie 100 ankiet). W sumie prawie tysiąc e-maili i dziesiątki telefonów! Prosiliśmy o dane pełne (ankieta nr 2) i skrócone (adresy redakcji i wydawnictw, kontakt), nazwiska redaktorów (najważniejsi są ludzie mediów!) i inne uwagi, np. nr ISSN lub rejestracja sądowa, data powstania, format, częstotliwość, zasięg, nakład, cena itp.

Podstawowa część bazy powstała do końca września 2014 roku (100 adresów). Rozesłaliśmy ją z prośbą o uwagi m. in. do bibliotek: UWM, OBN, WBP, redakcji, rzeczników prasowych różnych instytucji i samorządów. Weryfikacja trwała praktycznie do początku grudnia i tak powstała 58-stronicowa broszura pt. *Media lokalne Warmii, Mazur i Powiśla bodźcem rozwoju i integracji regionu. Baza danych – stan na 1 grudnia 2014 r.*, autorstwa koordynatorów projektu.

Zawartość Bazy

Udało nam się zebrać 146 różnych tytułów: w tym aż 85 czasopism drukowanych (29 samorządowych – głównie typu PR, 17 komercyjnych – przeważnie informacyjno-społecznych, 13 parafialnych i aż 26 innych – głównie społeczno-kulturalnych i hobbystycznych). Urzędy gmin i starostwa lub podległe im Gminne Ośrodki Kultury wydają tylko 33 czasopisma (gmin jest 116, starostw – 22), co przeczy teorii, że są konkurencją dla prasy obywatelskiej i komercyjnej. Ponadto 4 radiostacje, 19 studiów telewizyjnych i 42 portale o charakterze gazet (w 90 proc. prywatne). Ciekawe, że wśród tych tytułów jest tylko jedna gazeta sportowa (internetowa), dwie gazety o charakterze partyjno-politycznym i tylko jedno czasopismo mniejszości narodowej. Na uwagę zasługuje fakt, że wśród wydawców znaczącą grupę stanowią stowarzyszenia społeczno-kulturalne i ekologiczne (30). Najtrudniej zdobyć informacje o prasie parafialnej – mamy zaledwie „czubek tej góry". Prawie nie ma tzw. prasy zakładowej, ich namiastką są np. redakcje Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego i Spółdzielni Mieszkaniowej „Jaroty" w Olsztynie.

480 redaktorów!

Znaczna część tytułów drukowanych powstała jeszcze w XX wieku i ma się dobrze np. „Bibliotekarz Warmińsko-Mazurski" – 1983 (teraz tylko w PDF-ie), „Głos Nidzicki" i „Gazeta Gietrzwałdzka" – 1990 (wkrótce jubileusz ćwierćwiecza!), „Wiadomości Barczewskie" i „Magazyn Mrągowski" – 1991, „Albo" (Olsztynek) i „Życie Kętrzyna" – 1992. Wśród radiostacji najstarsze jest Radio UWM FM (kontynuator Radio Kortowo) – 1954 oraz Radio Mazury (Ostróda) –1992.

Byłem „akuszerem" kilkunastu tytułów i redakcji, i bardzo mnie cieszy, że aż siedem przetrwało do dziś! Są to: Radio Kortowo, „Myśliwiec Warmińsko-Mazurski", „Przegląd Warmiński" (pow. Olsztyn), „Nowe Życie Olsztyna", „Portal Olsztyn24.com", „Bez Wierszówki" i „Donosiciel Pozarządowy" (OCOP).

Lokalna prasa internetowa i TV narodziła się dopiero w XXI wieku.

Najwięcej redakcji jest oczywiście w Olsztynie (30) i na zachodzie regionu: w Elblągu (16 – potęga internetowa!) i Ostródzie (13 – Wydawnictwo Drwęca). W Ełku jest 7.

Co najmniej 600 osób współtworzy media lokalne (licząc średnio 4 na tytuł). My podajemy 480 nazwisk, ale ile z tych osób utrzymuje się z pracy w mediach? Zadanie dla badaczy, bo nie wszystkie redakcje, zwłaszcza internetowe, podają pełne stopki z nazwiskami redaktorów.

Korzyści z Bazy

Jakie korzyści daje nasza Baza? Wielorakie: praktyczne, informacyjne, bo można w każdej chwili znaleźć kontakt; kulturowe (wspieranie i upowszechnianie twórczości literackiej, naukowej, publicystycznej); edukacyjne; integrujące środowisko mediów lokalnych; pobudzające do aktywności i współpracy; naukowe (tematy prac dyplomowych!); wreszcie ekonomiczne, bo dzięki niej można znaleźć bratnie dusze, pracę, reklamę itp.

Efekty projektu

Powszechna dostępność Bazy, bo przekażemy ją (w postaci plików PDF) wszystkim zainteresowanym podmiotom – samorządom, bibliotekom, szkołom, samym redakcjom i każdemu, kto chce współpracować z mediami i naszym dziennikarskim stowarzyszeniem (SDP). Ponadto udostępnimy ją w Internecie na stronach: www.sdp.pl i www.ocop.olsztyn.pl.

Mamy też nadzieję, że skorzystają z niej autorzy „Leksykonu Kultury Warmii i Mazur" prowadzonego przez Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych i powstającej „Encyklopedii Warmii i Mazur", a przede wszystkim urzędnicy zarządzający gminami, powiatami i województwem oraz biznesmeni (w lokalnych mediach najtrafniej ulokują swe reklamy).

Prosimy o uzupełnienia

Baza ma oczywiście wiele wad i nieścisłości. Wszystkich Czytelników prosimy zatem o uwagi i uzupełnienia według przyjętego w tym opracowaniu schematu. Informacje te prosimy przesyłać na adresy e-mailowe: sdp olsztyn@wp.pl, jpantak@wp.pl, zbipol3@wp.pl, goniecornecki@op.pl. Na tej podstawie będziemy co roku uzupełniać Bazę aneksami.

Kolegom współkoordynatorom i Zarządowi Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich dziękuję za współpracę i wyrozumiałość.

JERZY PANTAK

W jednym z poprzednich wydań „Bez Wierszówki" (nr 10/2014, s. 27) zaprezentowaliśmy pierwszą z najnowszych książek o Radiu Olsztyn autorstwa historyka Pawła P. Warota. Niniejszym pochylamy się nad edycją dotyczącą kolejnego etapu istnienia Rozgłośni, którą opracował dr Piotr Kardela...

Radio Olsztyn w latach 1980-1992

Ostatnia dekada PRL-u w dziejach Radia Olsztyn staje się przedmiotem analizy historyka IPN, który już w dotychczasowych tekstach prasowych, m. in. na łamach miesięcznika „Debata", podejmował tę tematykę.

Publikacja *Radio Olsztyn w latach 1980-1992* (Olsztyn 2014, ss. 245) – wydana w rekordowo niskim nakładzie – zawiera pierwsze tak całościowe spojrzenie na historię olsztyńskiej Rozgłośni.

Opracowanie oparte zostało na materiałach archiwalnych do których autor dotarł zarówno w Archiwum Państwowym w Olsztynie, jak i w warszawskim Oddziale Dokumentacji i Zbiorów Programowych Telewizji Polskiej S.A. Piotr Kardela naukowej kwerendzie poddał również dokumenty Instytutu Pamięci Narodowej, m. in. akta sprawy SB związanej z operacją kontrolną Radia Olsztyn o kryptonimie „Antena" / „Eter", prowadzonej w latach 1970-1990, a także materiały dokumentujące kontakty niektórych pracowników Radia ze Służbą Bezpieczeństwa. Oprócz sięgnięcia do dość bogatej w tym zakresie literatury, opublikowanych opracowań i artykułów (91 pozycji bibliograficznych), uzyskał także informacje i osobiste relacje m. in. od byłych i aktualnych radiowców: Bożenny Ulewicz, Wiesława Gawinka, Zenona Złakowskiego, Jolanty Śmielskiej-Koszczuk, Wojciecha Ogrodzińskiego, Leszka Cimocha i Adama J. Sochy. Przywołuje również fakty z materiałów dotąd niepublikowanych, jak choćby Bożenny Ulewicz (*Dziennik*, 1982, rkps) czy Zenona Złakowskiego (*Zabrakło prawdziwej solidarności*, [2001], ss. 9, mps).

Całość materiału, odnoszącego się do trzynastu lat dziejów Radia Olsztyn, została zaprezentowana w sześciu rozdziałach, przy zastosowaniu metody chronologicznej, uwzględniając najważniejsze wydarzenia zachodzące w skali ogólnopolskiej, ówczesnym województwie olsztyńskim i samym Olsztynie. Rozpoczynając od czasu apogeum kryzysu lat 80. (rozdział I), poprzez karnawał „Solidarności" (II), stan wojenny i weryfikację dziennikarzy (III), okres po zniesieniu stanu wojennego (IV) i kampanii wyborczej do Sejmu kontraktowego (V), kończy w rozdziale ostatnim opisem wydarzeń jakie nastąpiły po Czerwcu '89 do momentu likwidacji Radiokomitetu w 1992 roku.

Opracowanie za lata 1980-1992, podobnie jak poprzednie dotyczące wcześniejszego okresu w dziejach Radia – Pawła P. Warota, stanowi próbę całościowego ujęcia zagadnienia. Oczywiście, jak w każdej ludzkiej pracy nie sposób ustrzec się błędów, zwłaszcza natury interpretacyjnej, to jednak pomijając choćby te, na które wskazuje red. Zenon Złakowski w ostatnim swoim tekście na łamach „Debaty" (nr 12[87]2014, s. 32-33), książka dr. P. Kardeli wnosi nowe wątki do dyskusji o dziejach mediów lokalnych.

Na szczególne podkreślenie zasługuje trud jaki uczynił autor dokonując analizy treści audycji emitowanych przez Rozgłośnię. Cennym jest dość bogate uwzględnienie faktografii dotyczącej poszczególnych dziennikarzy, i ich – nie tylko zawodowej – drogi życia. Przypomnienie faktów z przeszłości, wprawdzie niedalekiej, jest pożyteczne, wszak z ludzką pamięcią bywa różnie, jest dość wybiórcza... Selektywnym okazuje się także samo podejście czytelnika, o czym możemy się przekonać czytając choćby ostatnio opublikowaną recenzję. Jednak na odbiór dzieła, sam autor nie ma już przecież większego wpływu.

Dla Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich publikacja Piotra Kardeli może być również ważna chociażby dla odtworzenia listy dziennikarzy radiowych – członków Oddziału olsztyńskiego SDP z początku lat osiemdziesiątych. Archiwum Oddziału SDP (powstałego 15 marca 1952 r.) nie zachowało się, i chyba jest bezpowrotnie utraconym, gdyż – jak twierdzi jeden z b. prezesów olsztyńskiego SDP-u – „cała dokumentacja z tamtych lat została po prostu zniszczona".

Oprócz wielu faktów – opisanych na ponad dwustu stronach publikacji – nie będących raczej powodem do dumy, autor zauważa także chlubne fakty z prezentowanego okresu historii Radia. W zakończeniu publikacji, odwołując się do wypowiedzi red. Władysława Bogdanowskiego, iż „olsztyńska Rozgłośnia, pomimo «nadzoru politycznego», była przyjazna radiosłuchaczom", stwierdza: „I po części jest to prawda. Olsztyńscy radiowcy stworzyli wiele wartościowych słuchowisk, reportaży, nagrań muzycznych, których znaczenie dla regionu było i jest niebagatelne. Najbardziej wartościowymi były produkcje utrwalające ginące obyczaje i kulturę regionalną Warmii i Mazur, stworzone przez Mar[rynę] Okęcką-Bromkową" (s. 232).

Piotr Kardela doprowadza drugi etap dziejów olsztyńskiej Rozgłośni do roku 1992, czyli momentu związanego z likwidacją Radiokomitetu. Już w lipcu 1991 roku ówczesny przewodniczący tej struktury Marian Terlecki Państwową Jednostkę Organizacyjną „Polskie Radio i Telewizja" postawił w stan likwidacji. Ustawa o radiofonii i telewizji z 29 grudnia 1992 roku przesądziła o likwidacji Radiokomitetu. W grudniu następnego roku obok Polskiego Radia S.A. o charakterze ogólnopolskim działalność rozpoczęło siedemnaście rozgłośni regionalnych, będących samodzielnymi spółkami Skarbu Państwa. Olsztyńska Rozgłośnia jako spółka prawa handlowego uzyskała samodzielność prawną. Tym samym rozpoczął się kolejny, nowy rozdział olsztyńskiego Radia, który na pewno kiedyś posłuży jako scenariusz na kolejną książkę. Ale to już inna historia...

IRENEUSZ ST. BRUSKI

Otrzymaliśmy

Wojciech Reszczyński, *Zainspirowany Konecznym. Wybór publicystyki 2007-2014*, Capital Sp. z o.o., Warszawa 2014, ss. 270.

Anna Fastnacht-Stupnicka, *Saga Wrocławska. 74 opowieści rodzinne*, Wydanie II poprawione i uzupełnione, Sator Media, Wrocław 2015, ss. 547.

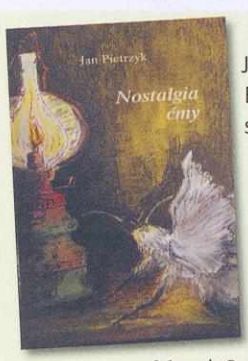

Jan Pietrzyk, *Nostalgia ćmy*, Edytor „Wers", Olsztyn 2010, ss. 44.

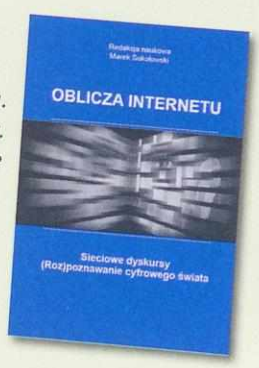

Oblicza Internetu. Sieciowe dyskursy. (Roz)poznawanie cyfrowego świata, Redakcja naukowa Marek Sokołowski, Wydawnictwo Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Elblągu, Elbląg 2014, ss. 466.

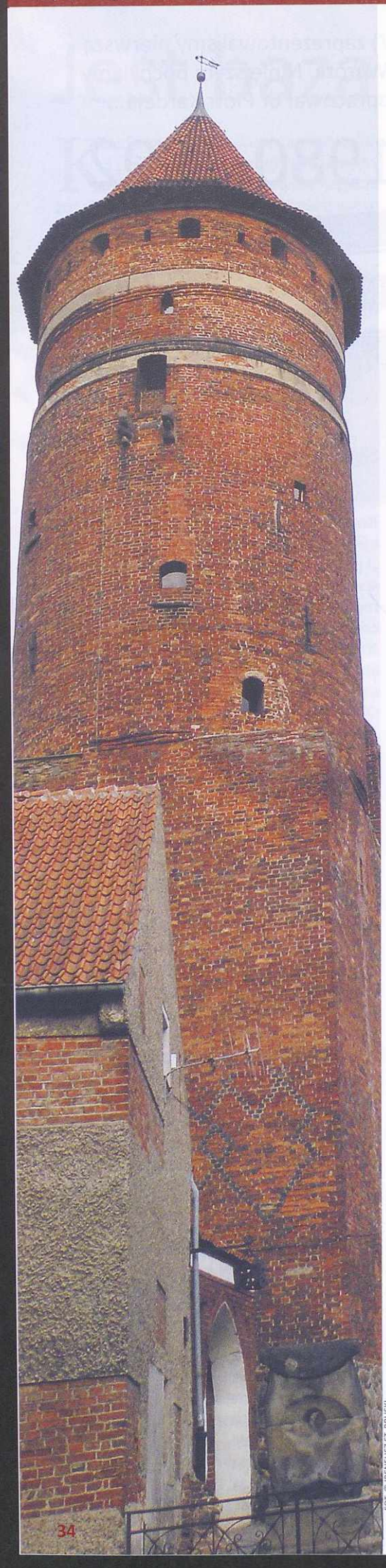

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

W ostatnim czasie podjęto w Olsztynie kolejną dyskusję w sprawie hymnu miasta. Tym razem spór dotyczy wprowadzenia zmian w słowach „Hymnu Warmińskiego" – utworu z 1920 roku. Przypominamy, nie tak odległe w czasie, główne wątki poprzedniego sporu, ważne również w obecnej dyskusji...

„Hymn Warmiński"

Z satysfakcją wspominam sześciomiesięczną stanowczą walkę o to, by wspaniałej tradycyjnej pieśni „O Warmio moja miła" nie zastąpić wierszykiem grafomana, mającego zadanie napisania nowego hymnu. Oparcie i pomoc znaleźliśmy w opiniotwórczych środowiskach Olsztyna, jak i wśród protestujących mieszkańców. Naszym autorytetem naukowym był prof. Janusz Jasiński, honorowy obywatel Olsztyna.

Słusznie przypomniał nam prof. Janusz Jasiński na łamach „Magazynu Gazety Olsztyńskiej" (z 23-26 grudnia 1999), że w 2000 roku mija 80. rocznica powstania „Hymnu Warmińskiego". Jakaż to wspaniała okazja dla promocji tego historycznego utworu. Tymczasem postanowiono uczcić ten jubileusz ogłoszeniem konkursu na nową kompozycję. Podobno propozycje naszego przyszłego hymnu i hejnału nadchodziły z różnych miast, nawet z dalekiego Rzeszowa. Nagrody pieniężne ufundowane przez Prezydenta Olsztyna zachęcały do udziału w konkursie. Ta inicjatywa wywoływała oburzenie ludzi szanujących tradycję i dzieje ziemi warmińskiej, jej działaczy, twórców i ludzi kultury.

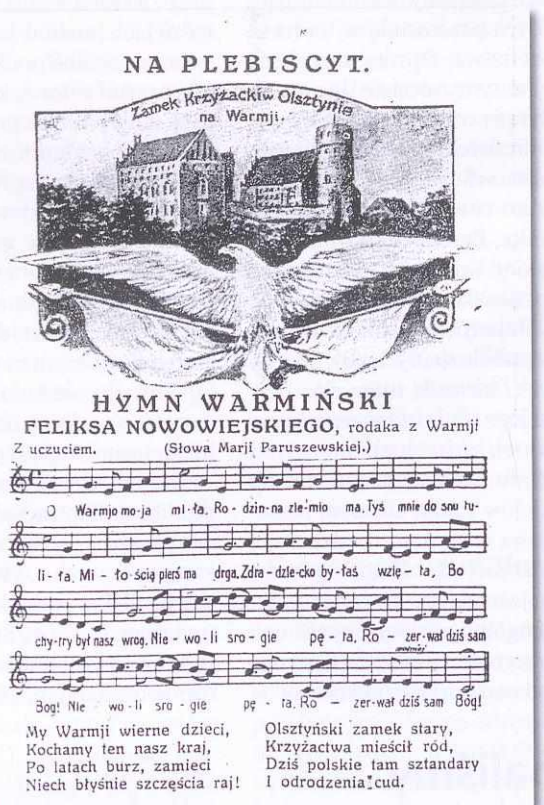
NA PLEBISCYT.

Zamek Krzyżacki w Olsztynie na Warmji.

HYMN WARMIŃSKI

FELIKSA NOWOWIEJSKIEGO, rodaka z Warmji

Z uczuciem. (Słowa Marji Paruszewskiej.)

O Warmjo mo-ja mi-ła, Ro-dzin-na zie-mio ma, Tyś mnie do snu tu-li-ła, Mi-ło-ścią pierś ma drga, Zdra-dzie-cko by-łaś wzię-ta, Bo chy-ry był nasz wróg. Nie-wo-li sro-gie pę-ta, Ro-zer-wał dziś sam Bóg! Nie wo-li sro-gie pę-ta, Ro-zer-wał dziś sam Bóg!

My Warmji wierne dzieci,
Kochamy ten nasz kraj,
Po latach burz, zamieci
Niech błyśnie szczęścia raj!

Olsztyński zamek stary,
Krzyżactwa mieścił ród,
Dziś polskie tam sztandary
I odrodzenia cud.

Okolicznościowa pocztówka wydana z okazji plebiscytu z „Hymnem Warmińskim", 1920 FOT. © ARCHIWUM

Olsztyński historyk przypominał: „Hymn Warmiński w całości ma charakter patriotyczny, wyraża miłość do bliższej ojczyzny („My Warmii wierne dzieci, kochamy drogi kraj..."). Powstał w okresie walki przedplebiscytowej, uzewnętrznia ducha swojej epoki, podobnie jak «Mazurek Dąbrowskiego» ducha tych Polaków, którzy nie chcieli się pogodzić z utratą niepodległości Polski".

Gdy w 1999 roku na ostatniej, grudniowej sesji Rady Miasta, zabrzmiała, jak zawsze na otwarcie posiedzenia, melodia „O Warmio moja miła...", odczułam gorycz bezsilności wobec podjętej decyzji. Ożyła w mojej pamięci postać Marii Zientary-Malewskiej. Co powiedziałaby na ów pomysł ta nasza, warmińska poetka, zaprzyjaźniona z „rodakiem z Warmji", kompozytorem „Hymnu", Feliksem Nowowiejskim, jednym z największych muzyków polskich XX wieku? Co powiedzą nieliczni, jeszcze żyjący, ludzie spod znaku Rodła? Co mają powiedzieć młodzieży nauczyciele pielęgnujący szacunek dla historii miasta, regionu, Ojczyzny?

Po raz pierwszy „Hymn Warmiński" został publicznie wykonany przez chór „Lutnia" pod batutą kompozytora Feliksa Nowowiejskiego w czasie uroczystego koncertu zorganizowanego przez Warmiński Komitet Plebiscytowy. Koncert odbył się 2 czerwca 1920 roku, a więc na miesiąc przed plebiscytem, w ogrodzie zamku olsztyńskiego. Według doniesień ówczesnej „Gazety Olsztyńskiej" publiczność przyjęła „Hymn" – „z zapałem". Pamiętajmy, że był to okres przedplebiscytowy i pieśń „O Warmio moja miła" była wyrazem patriotyzmu, wyrazem miłości do polskiej Warmii.

A oto historyczne słowa „Hymnu Warmińskiego", po raz pierwszy zaprezentowane 18 maja 1920 roku na łamach ówczesnej „Gazety Olsztyńskiej":

Hymn Warmiński

O Warmio moja miła,
Rodzinna ziemio ma,
Tyś mnie do snu tuliła,
Miłością pierś ma drga.
Zdradziecko byłaś wzięta,
Bo chytry był nasz wróg
Niewoli srogie pęta
Rozerwał dziś sam Bóg.

My Warmii wierne dzieci
Kochamy ten nasz kraj,
Po latach burz, zamieci
Zabłysnął szczęścia raj!
Olsztyński zamek stary,
Krzyżactwa mieścił ród,
Dziś polskie tam sztandary
I odrodzenia cud.

Rozdarły Polskę wrogi,
Przyszła niewola, znój,
Lecz Biały Orzeł drogi
Lot zwrócił ku niej swój!
Ojczyzno zmartwychwstała
Twych dzieci usłysz śpiew.
O Warmio, Polska cała
Za Ciebie odda krew!

W dniu 2 czerwca 2000 roku minęła 80. rocznica prawykonania „Hymnu Warmińskiego". Rzekomą przyczyną ogłoszenia konkursu na nowy hymn był brak aktu legislacyjnego. Chcieliśmy go więc uchwalić. Jednak mimo ogromnych wysiłków radnych, którzy od grudnia 1999 roku składali kolejne projekty uchwał w sprawie nadania podstawy prawnej „Hymnowi Warmińskiemu", mimo wspierania ich przez liczne środowiska społeczne i naukowe, stosując wszelkie możliwe preteksty, nie wyrażano zgody, aby podjąć uchwałę. Niestety, nie mogliśmy tego uczynić 2 czerwca 2000 roku na uroczystej sesji, z udziałem historyków i przedstawicieli rodzin warmińskich.

20 czerwca 2000 roku, w odpowiedzi na ponowiony wniosek szesnastu radnych, odbyła się w trybie pilnym sesja nadzwyczajna Rady Miasta w sprawie podjęcia uchwałę o hymnie i hejnale Olsztyna.

„Gazeta Olsztyńska" nazajutrz przytaczała wypowiedź przewodniczącego Rady: „Zdecydowaliśmy się przyjąć hymn dla świętego spokoju...".

Wiadomość radosna. Nareszcie, po wielu miesiącach sporów i po wykorzystaniu wszelkich możliwych formuł legislacyjnych, kiedy traciliśmy nadzieję, nasze dążenia zostały pomyślnie sfinalizowane. Nawet dotychczasowi oponenci składali nam gratulacje. Pisałam wówczas: „Jesteśmy wdzięczni wszystkim osobom angażującym się i wspierającym nasze dążenia we wspólnej sprawie, w sprawie szacunku dla historii miasta i w sprawie przywiązania do tradycji. Wdzięczni też jesteśmy tym, którzy zmienili zdanie i głosowali zgodnie z sumieniem".

W dwa lata później, 24 kwietnia 2002 roku, Rada Miasta Olsztyn doprecyzowała w uchwale, że hymnem i hejnałem miasta są dwie pierwsze zwrotki utworu.

Olsztyński zamek

RYS. ALEKSANDER WOŁOS

UCHWAŁA Nr LXI/913/02
Rady Miasta Olsztyn
z dnia 24 kwietnia 2002 roku
w sprawie przyjęcia hymnu
i hejnału Miasta Olsztyn

Na podstawie art. 18 ust. 1 ustawy a dnia 8 marca 1990 roku o samorządzie gminnym (Dz. U. nr 142, poz. 1591 z 2001 roku) Rada Miasta Olsztyn uchwala, co następuje:

§ 1

Przyjmuje się „Hymn Warmiński" Feliksa Nowowiejskiego jako hymn miasta Olsztyn.

§ 2

Przyjmuje się „Hymn Warmiński" Feliksa Nowowiejskiego jako hejnał miasta Olsztyn.

§ 3

Dwie pierwsze zwrotki „Hymnu Warmińskiego" będące tekstem hymnu miasta Olsztyn i nuty stanowią załącznik do niniejszej uchwały.

§ 4

Traci moc uchwała nr XXXI/553/2000 Rady Miejskiej w Olsztynie z dnia 20 czerwca 2000 r. w sprawie przyjęcia hymnu i hejnału miasta Olsztyna.

§ 5

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

29 października 2008 roku, na wniosek Stowarzyszenia Święta Warmia, Rada Miasta Olsztyn uzupełniła oficjalny tekst o trzecią zwrotkę „Hymnu Warmińskiego".

ANNA MACKOWICZ, *Radna 1. i 3. kadencji*

Zakon Niemiecki, w Polsce zwany Zakonem Krzyżackim (obecna nazwa: *Orden der Brüder vom Deutschen Haus Sankt Mariens in Jerusalem*, łac. *Ordo fratrum domus hospitalis Sanctae Mariae Theutonicorum in Jerusalem*), kształtował obszar dzisiejszego województwa warmińsko-mazurskiego, w czasach kiedy należał do ówczesnego państwa zakonnego. Do dziś świadczą o tym jego zamki i struktura administracji. Podczas gdy na naszych ziemiach nie był już aktywny po sekularyzacji w 1525 roku, w innych regionach Europy działał dalej.

Na początku grudnia odbyła się w Rynie na Mazurach międzynarodowa konferencja pt. „Zakon Krzyżacki – dziedzictwo historyczne i kulturowe a teraźniejszość". Jej gościem był m. in. aktualny 65. Wielki Mistrz Zakonu dr Bruno Platter. Natomiast jednym z prelegentów Frank Bayard, dyrektor Archiwum Zakonu Krzyżackiego w Wiedniu, który wygłosił referat na temat: „Zakon Krzyżacki w 1900 roku". To właśnie dr. F. Bayardowi zadajemy pytanie:

Jak zostać Krzyżakiem?

Uwe Hahnkamp: Podczas konferencji w Rynie mówił Pan, że Zakon Niemiecki na przełomie XIX i XX wieku miał 21 rycerzy. To wydaje się bardzo mało. Jakie były tego powody?

Frank Bayard: To było związane z Napoleonem, który w 1809 roku wywłaszczał Zakon na terenach Niemiec. Razem z majątkiem odpadła podstawa dla utrzymania rycerzy. Zakon Niemiecki przyjmował zawsze tylko tylu rycerzy, ilu mógł utrzymać odpowiednio do ich stanu.

Teraz Zakon Niemiecki nie ma już w ogóle rycerzy. Kiedy przyjęto ostatniego rycerza, kiedy zmarł ostatni rycerz?

Ostatniego kandydata na rycerza, Georga Freiherr Skrbensky von Hrzistie, przyjęto krótko przed wybuchem I wojny światowej, dnia 3 czerwca 1914 roku, natomiast ostatni rycerz, Friedrich Graf Belrupt-Tissac, zmarł w roku 1970. Jednym z powodów zmniejszenia się liczby rycerzy był rozpad monarchii naddunajskiej w 1918 roku i połączona z nim likwidacja szlachty w roku 1919. Ówczesny Wielki Mistrz, Erzherzog Eugen, uruchomił przemianę Zakonu Niemieckiego w instytut duchowy, którą zakończono aprobacją nowej reguły Zakonu w 1929 roku przez Stolicę Apostolską. Tym samym rycerze jako instytucja w Zakonie odpadli.

Czy również warunki przyjęcia nowego rycerza do Zakonu Niemieckiego mogły być powodem małej liczby rycerzy?

Hermann von Salza, Wielki Mistrz w latach 1210-1239, twórca potęgi Zakonu

FOT. © JAN JERSZYŃSKI

Uważam, że nie. Mocą decyzji kapituły wielkiej Zakonu Niemieckiego z 1671 roku potrzebny był wprawdzie dowód pochodzenia od czterech pokoleń szlacheckich przodków, więc od 16 osób, ale do 1919 roku nie było to aż tak trudne. Wtedy przykładano bardzo dużą wagę do godnych małżeństw. Trudniej było z dokumentacją opartą na aktach; zebranie jej trwało czasem – przy rozproszeniu niektórych rodzin na skalę europejską – nawet parę lat.

Jakie były jeszcze inne warunki? Czy szansę miałby np. protestant?

Według reguły z roku 1893 tak, wtedy jeszcze mówiono o kandydatach „chrześcijańskich". W 1902 roku już nie. Aspirant musiał być wyznania rzymskokatolickiego, kawalerem, mieć między 24 a 50 lat, być zdrowy, jak już mówiono mieć pochodzenie szlacheckie i być obywatelem Austrii.

...musiał być kawalerem. Czy ktoś mógł zostać przyjęty też jako wdowiec?

Było to możliwe, tylko nie mógł on mieć żyjących dzieci, i próg wiekowy musiał być zachowany.

Jakie kroki musiał podjąć ten, który spełnił warunki i chciał zostać rycerzem Zakonu Niemieckiego?

Ten, kto chciał wstąpić do Zakonu, składał wniosek u komtura właściwego jednostki organizacyjnej Zakonu, tzw. *ballei*. Potem Wielki Mistrz pytał wszystkich rycerzy listownie, czy zgadzają się na przystąpienie nowego kandydata. Kiedy odpowiedź była pozytywna, ustalano początek nowicjatu.

Jak wyglądał nowicjat?

Mianowano mentora nowicjusza, który wyjaśniał mu znaczenie ślubów, które miał złożyć, zwracał jego uwagę na dzieje Zakonu i inne aspekty zakonnego życia. Rycerz powinien być świadomy tego, co obiecuje. Rycerze Zakonu Niemieckiego byli przecież już w średniowieczu połączeniem mnicha i rycerza, a także składali śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa.

Jak długo trwał nowicjat?

Nowicjat wyznaczony był na jeden rok. Ponieważ nowicjusze zwykle pracowali zawodowo, z reguły służyli w wojsku, długość nowicjatu skrócono z czasem do kilku tygodni.

Co kandydat po nowicjacie musiał jeszcze zrobić, aby zostać pasowanym na rycerza?

Potrzebował dwóch tzw. *Aufschwörer* z jego środowiska, którzy musieli dobrze go znać, ale nie mogli być z nim spokrewnieni. Oni potwierdzali jego dane oraz to, że spełnia

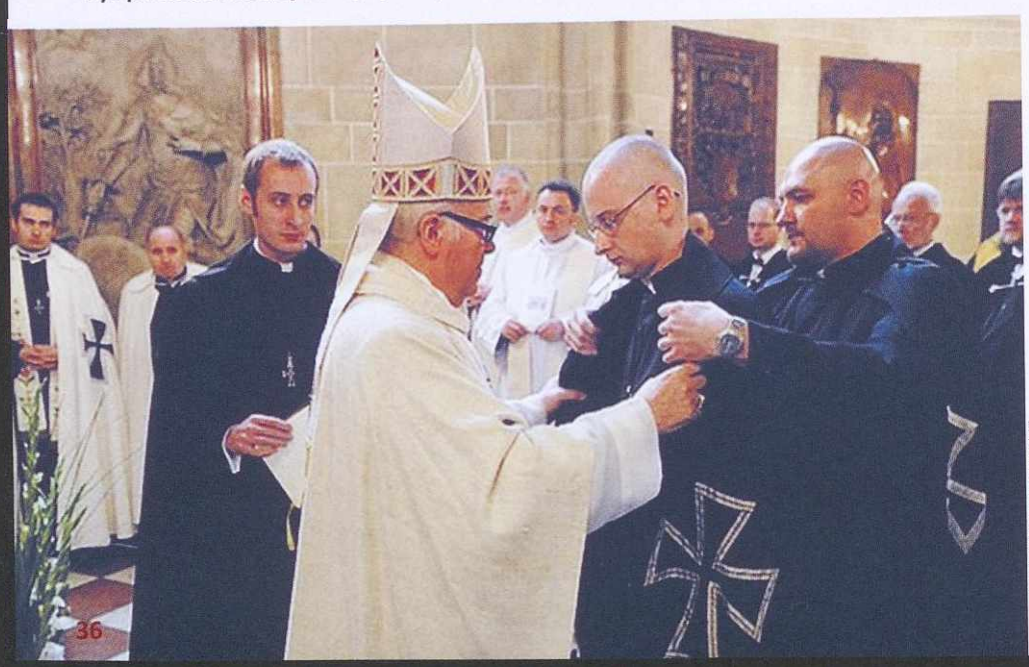

FOT. © DEUTSCHER-ORDEN.AT

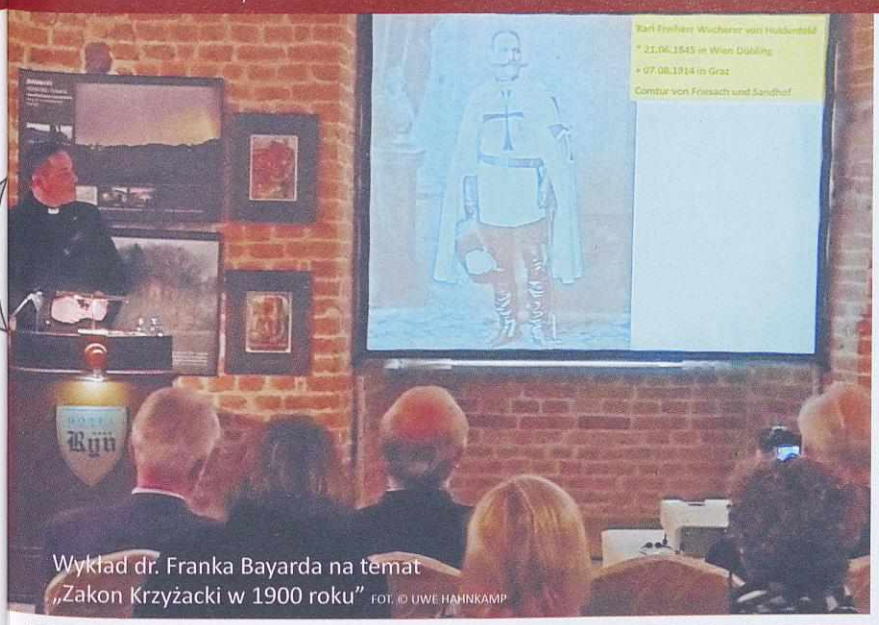

Wykład dr. Franka Bayarda na temat „Zakon Krzyżacki w 1900 roku" FOT. © UWE HAHNKAMP

Uczestnicy konferencji w Rynie (od lewej): Herbert Monkowski, dr Bruno Platter, prof. Udo Arnold, dr Frank Bayard FOT. © UWE HAHNKAMP

FOT. © MIASTORYN.PL

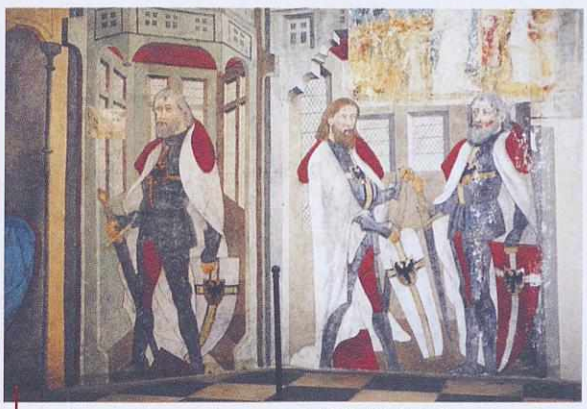
Fresk przedstawiający trzech Wielkich Mistrzów Zakonu, znajdujący się w katedrze św. Jana w Kwidzynie: Wernera von Orseln (1324-1330), Ludolfa Königa von Wattzau (1342-1345) i Henryka V von Plauen (1410-1413) FOT. © ALEKSANDER ŁUBIŃSKI / IOH.PL

fizyczne warunki dla takiej funkcji. Poza tym potrzebny był mu poręczyciel, który potwierdził, że nie jest zadłużony.

...czyli nie mógł mieć długów?

Nie, bo w razie wątpliwości Zakon Niemiecki musiałby ręczyć za jego długi, a tego chciano uniknąć.

I po tych wszystkich procedurach następowało pasowanie na rycerza?

Najpierw odbywało się tzw. *Rezeptionskapitel*, uroczysty akt przyjęcia rycerza, a potem była kontynuacja w kościele i całość stawała się aktem sakralnym; w trakcie mszy Wielki Mistrz pasował go na rycerza sławnymi trzema ciosami mieczem, na barkach i głowie. Zakon obiecywał mu wodę, chleb i pokorne ubranie, a za wszystko, co dostanie więcej, miał podziękować Bogu i Świętej Pannie Maryi.

Strój po ślubach wieczystych: czarna sutanna z wpiętym na stałe krzyżem, czarny pas, krzyż przewieszony na szyi, biały płaszcz z czarnym krzyżem FOT. © DEUTSCHER-ORDEN.AT

Czy procedury przyjęcia dzisiaj dalej są tak sformalizowane?

Przy aktualnych przyjęciach na członka profesyjnego, kiedy więc kandydat chce złożyć śluby, również przewidziany jest roczny nowicjat. Potem podejmuje on trzyletnią profesję, łączy się więc na taki okres z Zakonem, zanim złoży śluby wieczyste. Akt umundurowania i przyjęcia przebiega nadal podczas bardzo uroczystej liturgii, w ramach której nowy członek otrzymuje habit, płaszcz i krzyż Zakonu. Ale oczywiście bez pasowania na rycerza.

U niektórych rycerzy, których Pan prezentował na początku wykładu podczas konferencji w Rynie, była dodana informacja, ze wystąpili z Zakonu. Pod jakim warunkiem było to możliwe?

Potrzebne było pozwolenie Wielkiego Mistrza, które z reguły było wydawane. Mamy jeden albo dwa przypadki, kiedy rycerze wystąpili, bo byli ostatnimi członkami rodziny. U nich presja do kontynuowania linii rodzinnej była tak wielka, że występowali i żenili się. Ostatnie wystąpienia z Zakonu były prawdopodobnie łączone z upadkiem monarchii habsburskiej.

A co się dzieje dzisiaj, kiedy członek Zakonu Niemieckiego chce wystąpić?

To jest dzisiaj też możliwe, ale łatwość wystąpienia jest uzależniona od stopnia przynależności i święceń. Nowicjusz może odejść z dnia na dzień. Zakon może go zwolnić każdego dnia – to jest bardzo luźny stosunek. Z każdym poziomem związania jest to trudniejsze, szczególnie w przypadku wyświęconych członków, tzn. księży – wtedy w ten proces jest też zaangażowana Stolica Apostolska.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał UWE HAHNKAMP

O reportażu interaktywnym i dokumentalistyce – ósmy numer „Nowych Mediów”

Ósmy numer Nowych Mediów zaskakuje. Wydawało się, że już po wydaniu 3-4 numerów trudno będzie o nowe tematy, tymczasem Erykowi Mistewiczowi bez problemu udało się poszerzyć formułę pisma. Dziś zawiera ono nie tylko artykuły o Twitterze i jego pobratymcach, ale porusza się po szerokim spektrum zagadnień medioznawczych od prawa prasowego poprzez analizę gatunków, do rozważań o cyberzagrożeniu, medialnym fundamentalizmie, nowych mediach w Kościele, czy o kodeksach dziennikarskich w krajach dojrzałej demokracji.

W niniejszym omówieniu skoncentruję się na dwóch artykułach z czołówki numeru poświęconych dokumentalistyce i reportażowi. O reportażu znowu głośno, bo jedni uważają, że upada, inni zaś, że się odradza i wkrótce będzie lepszy niż dawniej. Oba punkty widzenia zależą – jak to najczęściej bywa – od punktu siedzenia. Inna jest perspektywa autorów piszących dla „Dużego Formatu” lub publikujących w nienajniższych nakładach książki reporterskie, a inna reportażystów, którzy musieli zarzucić uprawę tego gatunku z przyczyn jak najbardziej przyziemnych: braku zamówień z redakcji, nieposiadania sponsorów, czy niemożności sprzedania swoich „produktów”, tłumaczącą się brakiem zainteresowania ze strony wydawców. Dlatego, biorąc to wszystko pod uwagę, ciekaw byłem perspektywy reportażu zarysowanej w „Nowych Mediach”.

Na reportaż jako dokument patrzy Marek Miller, który szkicuje definicję dokumentalistyki, dziedziny – jak zauważa Eryk Mistewicz – przeżywającej swój renesans w nowych mediach, przybierającej postać reportaży multimedialnych, reporterskich aplikacji i w marketingu narracyjnym. Miller wierzy, że dokumentalistyka to złota żyła, ale – od razu ciśnie się pytanie – w jakim sensie? Przyjrzyjmy się stworzonej przez niego procesualnej definicji (Miller mówi o jej „kroczącym charakterze”).

Nazwa dokumentalistyka pochodzi od słowa dokument, czyli należy rozumieć, że jest to przedmiot będący dowodem (relacje, publikacje, rękopisy, archiwalia itp.), stwierdzającym prawdziwość określonych faktów czy stanów rzeczy. Dokumentalistyka – definiuje Miller – to „dziedzina rejestrująca rzeczywistość mającą wagę, znaczenie i wartość dokumentu”, a dokumentalista to „autor (np. dziennikarz, reżyser filmowy, scenarzysta, dramaturg), którego twórczość ma cechy dokumentu”. Jest to coś z pogranicza nauki i sztuki, dziedzina zajmująca się rejestracją i interpretacją tego, co miało miejsce.

Miller wyróżnia sześć aspektów dokumentalistyki: historyczny, opisowo-wyliczający, normatywny, psychologiczny, strukturalny i genetyczny. Wyodrębnia również dwa typy dokumentalistyki; typ pierwszy, w którym dominuje autor i autorskość, oraz drugi, w którym na pierwszy plan wysuwa się temat. W dalszej części artykułu omawia filozofię dokumentalistyki, jej istotę jako sztuki, jako nauki, relację ze wspólnotą, stosunek do mitu, metodę i miejsce. Artykuł zakrojony jest bardzo szeroko, a jego streszczenie w kilku zdaniach nie jest możliwe. Myślę, ze warto z tego powodu zajrzeć do „Nowych Mediów”, by zrozumieć koncepcję dokumentalistyki według Marka Millera jako międzykulturowego tłumacza.

O jednym z najbardziej oryginalnych doświadczeń związanych z nowymi mediami, czyli o tzw. reportażu interaktywnym, pisze redaktor naczelny „Dziennika Zachodniego” Marek Twaróg. Najpierw był tekst, do którego dziennikarze postanowili dodać krótkie video, potem dodali muzykę, więcej zdjęć i głos bohatera. Produkcja takiego reportażu odbywa się na platformie Creativist.com, która pozwala użyć wszystkie te elementy i złożyć je w spójną całość. Nie będę przytaczał całego technologicznego przebiegu produkcji, zainteresowanych odsyłam do „Nowych Mediów”, jednak dla mnie podstawowe pytanie dotyczy sensu takich kreacji. Czy jest to tylko sztuka dla sztuki, czy rzeczywiście nowe narzędzie pozwalające tworzyć nową formę dziennikarstwa? Autor artykułu odpowiada, że jest to próba uatrakcyjnienia reportażu i przyciągnięcia większej ilości odbiorców poprzez taką nowatorską formę. Taka innowacyjność pozwala również na przedefiniowanie samej marki „Dziennik Zachodni”, tworząc szyld kreatywnej i interaktywnej gazety.

Za mało widziałem/czytałem/słuchałem interaktywnych reportaży, żeby je jednoznacznie ocenić. Nie wydaje mi się jednak, żeby to był pierwszy tego typu pomysł w Polsce. Wiele lat temu rozmawiałem o takim reportażu z Tomaszem Patorą, wówczas jeszcze współpracującym z „Gazetą Wyborczą”. Co więcej, co prawda tylko w ograniczonej do tekstu, zdjęć i filmu formie tworzyliśmy takie reportaże wraz z nieżyjącym już redaktorem Wojciechem Słodkowskim na zajęciach ze studentami Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi. W 2013 roku w pełni profesjonalny reportaż interaktywny opublikował na interaktywna.wyborcza.pl Jacek Hugo-Bader. Zatem, zgoda, rzeczywiście żadna redakcja w Polsce nie zajęła się tak kompleksowo reportażem interaktywnym, jak „Dziennik Zachodni”, ale z tezą o pierwszeństwie w tej dziedzinie raczej byłbym ostrożny, choć oczywiście – przy wszystkich obiekcjach typu jak i po co, i czemu to ma służyć – polecałbym zainteresowanie się nową formą, bo z pewnością ma ona przed sobą przyszłość.

W ósmym numerze „Nowych Mediów” jest kilkanaście artykułów, z którymi warto się zapoznać. Piszą w nim m. in. Eryk Mistewicz, Mihcał Kleiber, Piotr Legutko, Ewa K. Czaczkowska, Szymon Hołownia, Marek Kacprzak, Elżbieta Olechowska, Aleksandra Sowa, Tomasz Aleksandrowicz, Michał Boni i Wojciech Engelking, a z autorów zagranicznych Clay Shirky i Jean-Paul Oury. Na pewno wielu zainteresuje mapa 100 polskich dziennikarzy usytuowanych w zależności od poglądów na osiach lewica-prawica, elitaryzm-egalitaryzm, ale nie będę zdradzał, kto gdzie trafił. Są niespodzianki!

MAREK PALCZEWSKI

„Lili Marleen" – recital w Domu Aktora

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

W Domu Artystów Weteranów Scen Polskich w Skolimowie pod Warszawą odbył się 6 listopada, pod patronatem „Bez Wierszówki", recital piosenek Marleny Dietrich w wykonaniu Joanny Cortés.

Artystka, wraz z akompaniującym na fortepianie Mariuszem Rutkowskim, przed skolimowską publicznością wykonała najsłynniejsze jej utwory, m. in. zabrzmiały „Illusions" i „Blach market" (z *A Foreign Affair*, 1947), „Johnny", „You do something to me", „Kinder heut Abend", „Ich bin von Kopf bis Fuss" i „Ich bin die fesche Lola" (z *Der blaue Angel*, 1929/30), „Sag mir wo die Blumen sind", „Ich hab noch einen Koffer". Nie zabrakło również tytułowej „Lili Marleen" (muz. Norbert Schulze 1937, sł. Hans Leip 1915).

Całość recitalu dopełniły teksty o życiu Marleny Dietrich, które przeczytał ks. Kazimierz Orzechowski – wieloletni kapelan Domu Aktora w Skolimowie, a równocześnie pomysłodawca recitalu.

– To właśnie ksiądz Kazimierz, kiedyś, kiedy byłam bardzo zapracowana w operze, powiedział mi nagle, że uważa, że powinnam śpiewać piosenki z repertuaru Marleny Dietrich – podkreśliła Joanna Cortés mówiąc o genezie recitalu „Lili Marleen". – Było to kilka lat temu. Wówczas, poza piosenkami Marleny, które są powszechnie znane, jak „Ich bin von Kopf", „Sag mir, wo die Blumen sind", czy też tzw. coverami, o których nawet nie wiedziałam, że Marlena je wykonywała, oraz oprócz podstawowych faktów z jej życia, nie miałam na ten temat żadnej szczególnie rozbudowanej wiedzy.

„Śpiewałam wtedy w *Makbecie*, *Nabucco*, *Halce*, *Salome*, *Walkirii*, czyli repertuarze znacznie odbiegającym od piosenek Marleny Dietrich – wspomina artystka. – Zaczęłam powoli czytać o jej życiu, słuchać jej piosenek, interesować się tym ciągle niewyczerpanym, a dla mnie coraz ciekawszym zjawiskiem, jakim z pewnością jest Marlena Dietrich. I kiedy w tym roku, na Festiwalu w Tykocinie (1-3 VIII 2014), spotkałam się w tym repertuarze ze świetnym, znanym polskim pianistą, solistą i kameralistą – Mariuszem Rutkowskim, który z powodzeniem zastępuje w repertuarze Marleny całą orkiestrę Burta Bacharacha, postanowiliśmy przygotować razem pełny recital piosenek Marleny Dietrich. Bardzo chcieliśmy zaprezentować księdzu Kazimierzowi to, co udało nam się wspólnie przygotować". – Czekał na to wiele lat, ale się udało – dodaje z satysfakcją Joanna Cortés.

Na koncercie w skolimowskim Domu Aktora nie zabrakło wielu przyjaciół ks. Kazimierza Orzechowskiego, m. in. pieśniarki Grażyny Skowron-Matkowskiej i pianisty Janusza Tylmana, którzy przez wiele lat występowali z księdzem – aktorem w jego autorskim programie o Edith Piaf. Zatem tego dnia, dodatkowym dopełnieniem recitalu piosenek Marleny Dietrich stało się wykonanie utworu – innej wielkiej gwiazdy piosenki – „La vie en rose".

ANDRZEJ SZTUMSKI

Pyłem grafitowym malowane

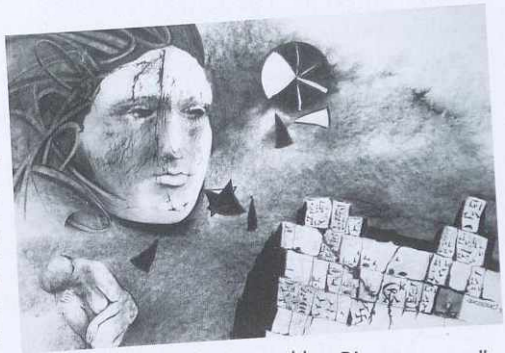
Praca z cyklu *„Bianco e nero"*

Wystawę *„Bianco e nero*. Tadeusza Brzeskiego malarska podróż do Neapolu" od 29 listopada możemy oglądać w Galerii Bakałarz Warmińsko-Mazurskiej Biblioteki Pedagogicznej w Olsztynie.

Prezentowany na wystawie cykl dwudziestu czterech prac Tadeusza Brzeskiego powstał we Włoszech dwadzieścia lat temu. Różni się zdecydowanie od dotychczasowych twórczych poszukiwań artysty. Są to osobiste – chociaż mocno osadzone w tradycji plastycznej i ikonograficznej – rozważania na temat kondycji ludzkiej.

„Pył grafitowy – jak mówi autor o swojej wystawie – pozwala snuć opowieści moralno-egzystencjalne w zaciszu neapolitańskiej nocy, u stóp dymiącego wulkanu, a wspaniała atmosfera i troskliwość grupy przyjaciół – aktorów, malarzy – umożliwia utrwalanie opowieści na papierze poprzez kilkadziesiąt dni i nocy".

– Jest to przygoda, wyprawa w świat monochromów, srebrzystości, z odrobiną przekory. W Neapolu, we mgle Fumaroli i dymiącego krateru Wezuwiusza, łatwo jest dać się ponieść wyobraźni – dodaje artysta.

Tadeusz Prawdzic Brzeski jest malarzem, poetą, podróżnikiem, żeglarzem i alpinistą. Dyplom z malarstwa i projektowania wnętrz uzyskał w Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu w 1969 roku. W latach 1968-70 był asystentem prof. Józefa Hałasa w Katedrze Malarstwa i Rysunku PWSSP we Wrocławiu. W latach 90. rozpoczął pracę na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. Trzykrotnie był stypendystą Ministra Kultury i Sztuki. Jego prace eksponowane były na ponad siedemdziesięciu wystawach indywidualnych, a także na kilkuset ekspozycjach zbiorowych w kraju i za granicą (m. in. w Londynie, Glasgow, Plymouth, Lille, Hamburgu, Hanowerze, Düsseldorfie, Neapolu, Capri i Rzymie).

Artysta uprawia malarstwo (również architektoniczne), grafikę, rysunek. W jego artystycznym dorobku znalazły się także liczne realizacje malarstwa monumentalnego, płaskorzeźb, witraży. Te ostatnie można zobaczyć m. in. w trzech kościołach na Warmii, w olsztyńskich Jarotach i Likusach, oraz w Bartągu.

Ekspozycję można oglądać w bibliotecznej Galerii Bakałarz do 17 stycznia.

ANDRZEJ SZTUMSKI

Wernisaż w Galerii Bakałarz
FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

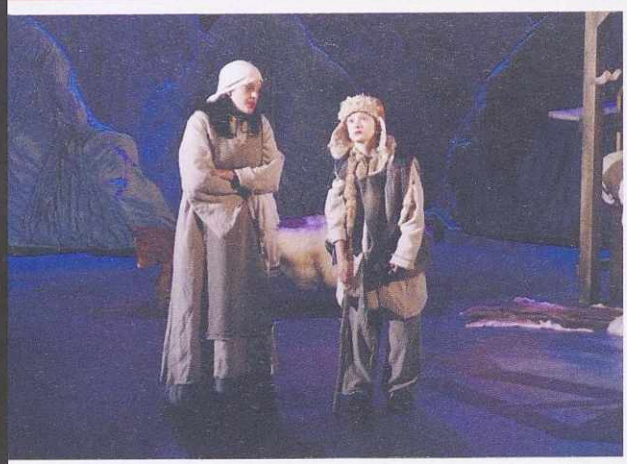

Mały bohater

Filharmonia w Olsztynie, 5 grudnia, zaprezentowała swojej publiczności przedświąteczny upominek w postaci opery Gian Carlo Menottiego „Amahl i nocni goście". Upominek podwójny. Przede wszystkim zapoznano olsztyńską publiczność z dziełem, które zapewne nie istniało w świadomości wielu, a ponadto skierowano je do dziecięcej widowni, co na pewno pozostanie w pamięci młodego widza i słuchacza już na zawsze.

Menotti i jego dzieło

Gian Carlo Menotti przytłoczony obrazem niezliczonych postaci św. Mikołaja w Ameryce zapragnął przypomnieć tradycję swego włoskiego dzieciństwa, która wiązała się z otrzymywanymi prezentami od Trzech Króli, i choć opera powstała na konkretne zamówienie, to jednocześnie stała się pretekstem do przybliżenia daleko za oceanem tej italskiej, rodzimej tradycji.

„W roku 1951 znalazłem się w poważnym kłopocie – wspominał Menotti. – Na święta Bożego Narodzenia NBC zamówiło u mnie operę dla telewizji, tymczasem żaden pomysł nie chciał przyjść mi do głowy. Aż pewnego listopadowego popołudnia, snując się w posępnym nastroju po salach Metropolitan Museum, stanąłem przed obrazem Hieronima Boscha „Pokłon Trzech Króli". I nagle znów usłyszałem tę przedziwną pieśń, jakby dobiegającą z odległych, błękitnych wzgórz. I zrozumiałem, że powrócili, i że przynieśli mi upominek" (wspomnienie kompozytora z okładki nagrania płytowego opery, RCA VIC-1512, przekład T. Szyłłejko).

Treścią opery jest opowieść o kalekim chłopcu – pasterzu, chodzącym o kulach, żyjącym z matką – wdową w nędzy, w małej chatce, do której pewnej nocy zastukają Trzej Królowie, wędrujący za gwiazdą zwiastującą narodziny Dzieciątka.

Królowie proszą o gościnę, bo chcieliby trochę odpocząć. Biedna wdowa z synem przyjmuje ich pod swój dach, choć mogą zaoferować tylko zimny kominek i posłanie ze słomy. Ale z pomocą sąsiadów – pasterzy, którzy zaśpiewają i zatańczą dla gości, starają się uprzyjemnić im pobyt jak potrafią.

A gdy już wszyscy usną, matka zostaje wystawiona na ciężką próbę. Widzi złoto, które nieśli Królowie, i nie potrafi się powstrzymać... kradnie kilka sztuk, szepcząc: „to dla mojego dziecka, to dla dziecka"! Zostaje na kradzieży przyłapana, lecz będzie jej wybaczone. „Dziecko, do którego my wędrujemy, nie potrzebuje złota" – wyjaśnia Melchior. I opowiada, przed jak potężnym królem idą się pokłonić.

Przejęty słyszaną nowiną Amahl też chciałby dać Dzieciątku coś w darze od siebie. Ale że nie ma nic innego – wręcza Królom samodzielnie sporządzone kule, na których się wspiera, z prośbą, by je zanieśli w jego imieniu. I oto staje się cud: chłopiec odzyskuje władzę w nogach. Teraz będzie mógł pracować, tańczyć, walczyć. Ale przede wszystkim chce teraz powędrować razem z królewskim orszakiem, pokłonić się Narodzonemu. – Obiecujemy, że

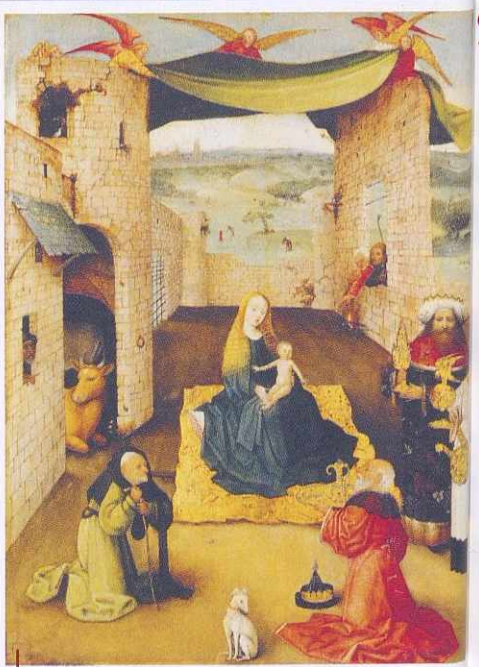

H. Bosch, The Adoration of the Magi, 1470-75 FOT. © THE METROPOLITAN MUSEUM OF ART

ci go przywieziemy z powrotem – zapewniają matkę Królowie i orszak rusza w drogę do Betlejem (za: www.filharmonia.olsztyn.pl).

Zatem piękna opowieść i piękne, pouczające przesłanie; nawet umiem sobie wyobrazić ciekawe dziecięce odpowiedzi na różnorodne pytania, wszak można by je mnożyć tematycznie.

Zachwycający Amahl

W moim operowym życiu miałam szansę zobaczyć na polskiej scenie dwa dzieła Menottiego: operę „Konsul", którą wystawił Teatr Wielki w Warszawie (1971), oraz „Medium" w Operze Śląskiej w Bytomiu (1973) w reżyserii Marii Fołtyn i ze znakomitą Zofią Wojciechowską w roli Madame Flory.

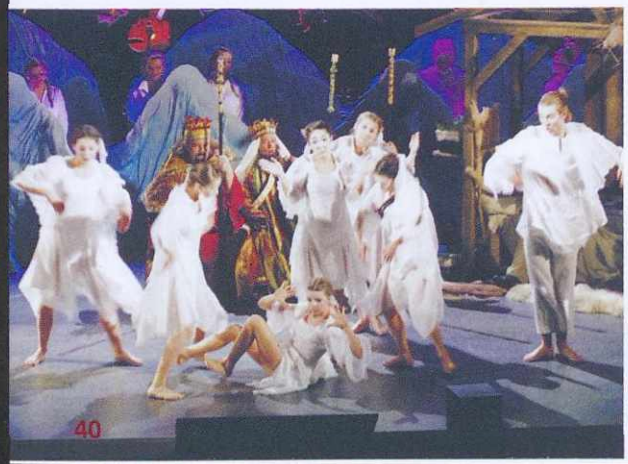

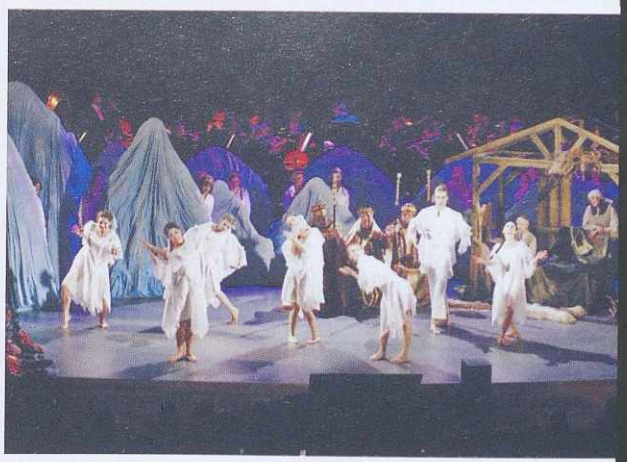

Pewnego listopadowego popołudnia, snując się w posępnym nastroju po salach Metropolitan Museum, stanąłem przed obrazem Hieronima Boscha „Pokłon Trzech Króli". I nagle znów usłyszałem tę przedziwną pieśń, jakby dobiegającą z odległych, błękitnych wzgórz. I zrozumiałem, że powrócili, i że przynieśli mi upominek...

Gian Carlo Menotti

Wiedziona ciekawością poznania kolejnej pozycji z dorobku tego kompozytora, zjechałam z Łodzi do swego rodzinnego Olsztyna, by przeżyć ten „upominkowy" wieczór i muszę przyznać, że odbierałam spektakl z dziecięco otwartą buzią. Od pierwszej frazy zachwycił mnie tytułowy bohater Amahl (Jaś Sułkowski). Ciepły, dziecięcy głos, którym swobodnie operował w różnych rejestrach rozległej skali i pięknie radził sobie z dolnymi, prawie mówionymi kwestiami.

W tym wieku nie najważniejszy jest ambitus, w ramach którego zawiera się muzyczny zapis roli, ale zaimponowała mi łatwość i pewność, z jaką poruszał się w muzycznych i melodycznych meandrach, wszak kantylena fraz Menottiego daleko odbiega od dziecięcych, prostych piosenek, czy przysłowiowego „kotka, który wlazł na płotek".

Domyślam się, że musiał być przeprowadzony wśród muzycznej dziatwy casting i dumą może napawać fakt, że aż cztery nazwiska związały się ze scenicznym Amahlem: Dawid Koprucki, Jaś Siwki, Jaś Sułkowski, Darek Biernat. Jaś, który miał szczęście wystąpić w premierowym przedstawieniu, popisał się również pełną swobodą scenicznego istnienia – taka spontaniczna, beztroska radość dziecka współgrająca z pełną muzyczną, czujną świadomością.

To był prawdziwy mały bohater wieczoru! I myślę, że Iwona Socha wybaczy mi określenie, że pięknie Amahlowi partnerowała w roli ciepłej, czułej i troskliwej mamusi. Pamiętam Iwonę z łódzkiego spektaklu „Wolny strzelec", w którym z ogromnym wdziękiem, sceniczną sprawnością i pięknem głosu stworzyła na długo zapamiętaną postać Anusi. Brawo!

Z dziecięcej perspektywy

Trzej Królowie (tenor Grzegorz Kolendo, baryton Michał Kutnik, bas Zbigniew Stępniak), jak przystało na „ich wysokości", wypełnili z królewskim dostojeństwem swoje role, ale w późniejszej rozmowie z dziećmi dowiedziałam się, że najbardziej podobał im się Kacper, bo „tak śmiesznie udawał, że nie słyszy" (i tu nastąpił zbiorowy wybuch śmiechu, połączony z prawdziwym rozbawieniem). Jak się okazuje, dzieci lubią, gdy obraz jest malowany grubą kreską lub wręcz z zamierzoną przesadą. Dziewczynki też wstydliwie chichotały, że ładnie wszyscy tańczyli, „ale było dużo widać, bo przeświecało" – i to jest najprostsza, szczera recenzja!

Mnie osobiście podobał się ten taneczny układ, ale dedukuję, że jeżeli to przyszła zwołana wieś, by pokłonić i popisać się przed królewskimi gośćmi, to ładniej i zgrabniej wtopiliby się w całość opowieści, gdyby młodzi tancerze ubrani byli w coś bardziej zgrzebnego, siermiężnego, a tak odebrałam to, jak obce ciało, coś, co niosło swoją urodę, ale wymknęło się z tematu i wyszło też z ram, a więc dlaczego w ogóle zaistniało?

Żałuję, że nie mogłam kupić żadnego programu specjalnie przygotowanego z myślą o tej młodej, dziecięcej widowni, by mogła dowiedzieć się coś więcej o kompozytorze i o samym dziele, wszak bywa, że pierwsze programy zachowuje się „na wieczną rzeczy pamiątkę", a i bywa, że pierwsze spotkanie z operą może zaowocować życiowymi decyzjami.

W foyer po całym wieczorze miałam szansę zapytać Jasia Sułkowskiego, gdy już złożyłam mu gratulacje podkreślając różne jego zasługi w spektaklu, czy może myślał kiedyś o roli aktora, z największą skromnością i zdziwieniem odpowiedział cicho, że jeszcze nigdy o tym nie pomyślał.

Wokół stał tłum zadowolonej dziatwy, ze mogą z tak bliska oglądać artystę w ich wieku, a okazało się, że byli to uczniowie aż z Państwowej Szkoły Muzycznej im. Arno Kanta w Działdowie.

Nasuwa się więc jedyny wniosek: tę operę trzeba grać, grać, i wozić po całym regionie, do różnych szkół i Domów Kultury. Dekoracje są łatwe do przewiezienia, więc warto pokazać ten spektakl jak największej liczbie dzieci i młodzieży. Opera Śląska po wojnie ładowała dekoracje na ciężarówki pod plandeką, a podobno i artyści jeździli w podobnych warunkach. Gdy ja śpiewałam w Operze Śląskiej w Bytomiu, nadal pozostawaliśmy placówką objazdową, tyle że transport się zmienił na bardziej ucywilizowany.

Bardzo interesującym dopełnieniem tego „upominkowego" wieczoru Filharmonii Olsztyńskiej okazał się, w drugiej jego części, występ chóru ProForma, który zaprezentował repertuar kolędowy w bardzo ciekawej aranżacji. Wiem, że śpiew a cappella należy do niełatwych, ponieważ bez muzycznego instrumentarium trudno czasami utrzymać się w tonacji. Wszystko zależy od emisyjnego ujednolicenia dźwięku, dlatego tym bardziej pełna uznania dziękuję za tę przyjemność zasłuchania się w melodyczno-harmoniczne brzmienia.

EWA KARAŚKIEWICZ

Zdjęcia z premiery ARKADIUSZ KORCZIN / FW-M

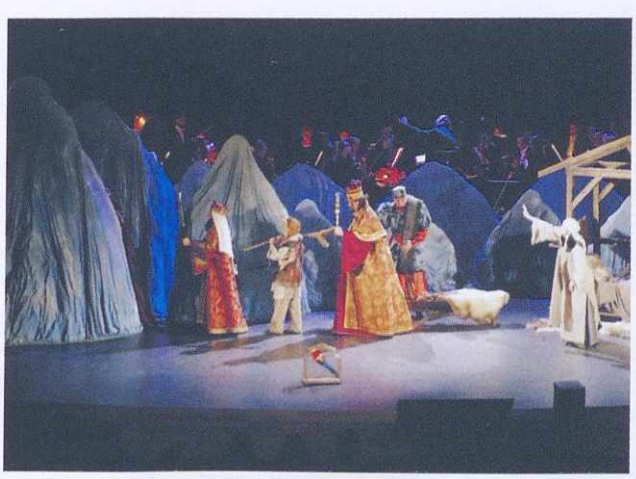

„Obce ciało” na sali kinowej

Niedawno słyszałam, bo wieści środowiskowe rozchodzą się szybko, że jeden z najbardziej znanych polskich reżyserów, Krzysztof Zanussi zgłosił swój najnowszy film „Obce ciało” do konkursu Festiwalu Filmowego w Gdyni, ale nie został on przez komisję zakwalifikowany. To był jednak dopiero początek kłopotów twórcy z tym obrazem i próbami jego eliminacji z przestrzeni publicznej. A próbuje się tego to siłą, to sposobem. Wczoraj (1 grudnia) odbył się pokaz prasowy „Obcego ciała”, i przyznam, że było to dla mnie, krytyka filmowego z wieloletnim stażem, przeżycie zupełnie nowe. I mocno niepokojące.

Ale najpierw – o czym opowiada ten film, bo to stanowi sedno całej sprawy. Oto młoda Polka Kasia zakochuje się z wzajemnością w przystojnym Włochu, Angelo, ale w jakimś momencie zostawia chłopaka – jak mówi reżyser – „dla jeszcze większej miłości”. Tą „jeszcze większą miłością” jest Bóg, Kasia decyduje się zostać mniszką. W dodatku oboje próbują sobie z tą nową, trudną sytuacją poradzić, po ludzku, nie powiększając obszaru strat, który i tak jest wielki. Prawda, jaki obciachowy temat? Aż dziwne, że reżyser – światowiec, częsty bywalec konwentykli filmowych od Cannes i Wenecji po Toronto i Chicago, wpakował się w taką „ciemnogrodzką” fabułę! Ale to nie wszystko. Mamy jeszcze wątek uboczny, który potem dominuje akcję – stosunki w *multinationals*, międzynarodowych korporacjach, mentalność korporacyjna, metody kontroli pracowników i zdobywania kontraktów – który kontrapunktuje pierwszy motyw fabuły. Przez film przewija się także temat „resortowych dzieci” – szefowa korporacji Kris jest adoptowaną córką komunistycznej sędziny, zbrodniarki Róży Molskiej – która oczekuje na proces, i nie rozliczonych grzechów z przeszłości.

Trochę groch z kapustą – jakby reżyser wertował gazetę i zakreślił kółkiem kilka najbardziej, zdaniem jego, aktualnych dziś problemów. A więc – materializacja i sekularyzacja, wyparowywanie z życia Europejczyków *sacrum*, ba, świadomości, potrzeby najprostszego podziału na dobro – zło. Tzw. mentalność korporacyjna, zaprzedanie *multinationals* duszy i ciała w zamian za sukces i pieniądze, co zwykle kończy się szybkim wypaleniem pracownika i długą depresją. Źle pojmowany awans zawodowy kobiet – które zdradzone przez feministki – wywalczyły sobie wprawdzie awans zawodowy, lecz za cenę rezygnacji z rodziny, dzieci, harmonijnego spełniania swojego kobiecego powołania. No i problem trzeci – brak rozliczenia z przeszłością (lustracja, dekomunizacja), co zaowocowało chaosem, demoralizacją społeczeństwa, któremu odebrano moralne drogowskazy. Relatywizacją wszystkiego, także winy i kary – bo gdzie nie ma winy, nie ma także kary. Na konferencji prasowej Zanussi mówił: „Próbowałem tylko powiedzieć, że istnieje zło i dobro i nazwać je po imieniu”. I o tym jest jego ostatni film. Widać jak na dłoni, że Zanussi sam sobie jest winien, bo nikt mu nie kazał sięgać po trefne tematy, prawda?

Wczorajszy pokaz prasowy był sygnałem problemów, jakie czekają „Obce ciało”, w polskich mediach i na krajowych festiwalach. Przez cały czas trwania projekcji jakaś trójka przybyszów – bo trudno mi nazwać ich krytykami filmowymi – zaśmiewała się i klaskała, gdy tylko na ekranie ukazał się Angelo, zakonnica, kościół czy krzyż. A już kiedy wspominało się o Watykanie – śmiechom nie było końca. Poproszeni o ciszę – przeszkadzali mniej więcej setce ludzi oglądać film – manifestacyjnie ciągnęli swoją zabawę.

Zawód krytyka filmowego był dotąd sygnałem przynależności do elity zawodowej. Różne mieliśmy poglądy, ale ani w kraju, ani za granicą, a na pewno nie w sali projekcyjnej, nie musieliśmy się wstydzić za swoich kolegów. Wczoraj, po raz pierwszy, tak. Wkrótce zrozumiałam, że to była manifestacja polityczna mediów lewicowo-liberalnych, w tym, jak się potem okazało, dziennikarza z telewizji misyjnej, TVP! Przeciw filmowi, który podjął temat wyboru przez młodą dziewczynę miłości do Boga ponad miłość do człowieka. Takich oto nasze społeczeństwo, które mieni się w 95 proc. katolickim, ma dziś w TVP reprezentantów! No i skąd tacy „poparańcy” mieliby wiedzieć, że istnieje coś takiego jak *civil behaviour*, zachowania cywilizowane, które pozwalają nam, mimo różnych poglądów, jakoś się ze sobą porozumiewać? Lewacy od 250 lat nie zeszli z barykady, i jak widać, nie zamierzają! Nie są w stanie zaakceptować ani negocjacji, ani dialogu – nawet w dziedzinie tak uniwersalnej jak sprawy egzystencjalne, która dotyczy przecież każdego człowieka, wierzącego i nie, konserwatysty i liberała, Europejczyka, Amerykanina czy Azjaty.

Krzysztof Zanussi na konferencji prasowej po tym „pokazie tolerancji” sporo mówił o koteryjności i upolitycznieniu krytyki filmowej, na świecie i w Polsce, i o dramatycznych skutkach eskalacji politycznej poprawności w konkursowe wybory i system nagradzania filmów. Jak to musiał na festiwalach w Toronto i Chicago odpowiadać na pytania, które miały niewiele wspólnego ze sztuką filmową, ale bardzo dużo – z politycznymi i koniunkturalnymi wyborami spryciarzy. Od ponad 20 lat obserwuję klimat, kwalifikowanie i nagradzanie filmów na Londyńskim Festiwalu Filmowym, i mogę potwierdzić gwałtowane tempo upolitycznienia spędów filmowych, inwazji politycznej poprawności i niszczenia dobrego, refleksyjnego kina.

„To postmodernizm przyniósł – mówił dalej Zanussi – ten pomysł, żeby wymieszać wszystko

„Obce ciało”

Angelo i Kasia poznali się we Włoszech w grupie modlitewnej Focolari, gdzie połączyła ich miłość i wiara w Boga. Ich związek przerywa powrót dziewczyny do Polski i decyzja o wstąpieniu do klasztoru. Angelo przyjeżdża do Warszawy, żeby nakłonić Kasię do zmiany zdania. Czekając na jej decyzję, podejmuje pracę w międzynarodowej korporacji. Firmą zarządza bezwzględna i cyniczna Kris przy pomocy swojej asystentki Miry. W korporacyjnej rzeczywistości, głęboko wierzący Angelo staje się ofiarą drwin i mobbingu. Kris, wykorzystując swoją władzę, bawi się nim i chce zmusić do złamania zasad moralnych, ale jednocześnie jest zafascynowana jego wiarą.

„Obce ciało” to polsko-rosyjsko-włoska koprodukcja w reżyserii Krzysztofa Zanussiego. Twórca „Barw ochronnych” powraca do meritum swojego kina autorskiego, pyta o sprawy najważniejsze i prowokuje do dyskusji. Porusza aktualny temat miejsca Boga w przestrzeni publicznej. Wnikliwie obserwuje podział Polski na katolicką i laicką, stawiając swojego bohatera wobec dwóch skrajnie różnych światopoglądów. Zderza ze sobą dwa systemy wartości utożsamiane przez dwie kobiece bohaterki Kasię i Kris.

Eksplikacja reżyserska

Film zamierzony jako dramat psychologiczny relacjonuje zderzenie korporacyjnego cynizmu z młodzieńczym idealizmem. Przewrotność pomysłu zasadza się na tym, że stroną prześladowaną jest autentyczny chrześcijanin, a po drugiej stronie stoi rząd kobiet wyzwolonych, które w cynizmie i brutalności postępowania prześcigają mężczyzn. Rezultat starcia jest nierozstrzygnięty – idealizm chwieje się, a cynizm pęka, choć daleko mu do nawrócenia.

Część filmu dzieje się w Rosji, gdzie bohater spotyka oznaki prawosławnego odrodzenia, z drugiej strony dzięki niezrozumieniu otaczającej rzeczywistości pada ofiarą kryminalnych intryg i wewnętrznych rozgrywek w korporacji. Genealogia kobiety wyzwolonej zahacza o czasy minione. Matka bohaterki jest emerytowanym stalinowskim sędzią, która swoim nieprzejednaniem kompromituje córkę w korporacji.

Film nie ma w zamierzeniu promować mizoginizmu, przeciwnie o feminizmie można powiedzieć, że jest jak cholesterol: dzieli się na dobry i zły. Dobry broni praw kobiet, zły lansuje wśród kobiet najgorsze męskie przywary, nieprzejednane parcie do kariery po trupach.

STUDIO FILMOWE TOR

FOT. © SF TOR

ze wszystkim, dobro ze złem. Sędzina Milska mówi, aby się usprawiedliwić, że «wszystko jest pomieszane», co nie jest prawdą". Myślę, że postmodernizm, to tylko jeden z bękartów Francuskiej Rewolucji. Innymi są liberalizm, relatywizm czy polityczna poprawność. Ja sama źródła wielu naszych problemów upatruję właśnie w liberalizacji i relatywizacji – wartości i tradycji, sprawdzonych przez wieki instytucji i zachowań, indywidualnych i zbiorowych. Np. do niedawna wiadomo, co znaczył termin „szczęśliwa rodzina", dziś najczęściej używa się go w kontekście dwóch gejów plus adoptowane dziecko, zwykle syn. Pojawiły się terminy nowe, jak „szczęśliwe rozwody", nawet kiedy życiowa praktyka mówi, że takie nie istnieją. Przepędzając z naszego życia wiarę i religię, metafizykę i *transcendent*, pozbawiono nas nadziei i pozostawiono na pastwę nicości i rozpaczy. Bo gdzie ludzie mają szukać sensu – życia, cierpienia, poświęcenia, pracy dla innych, prób wnoszenia w ludzkie życie jakiegoś porządku i ładu? Przy okazji odbiera nam się cały dorobek rodzaju ludzkiego ostatnich kilku tysięcy lat.

Przestaje robić wrażenie grecka mitologia, np. mit Syzyfa czy akt bohaterstwa Antygony, wzruszać postawa do „braci większych i mniejszych" św. Franciszka, egzystencjalizm heroiczny Alberta Camusa i jego doktora Rieux z Dżumy, które tak długo, i słusznie, były naszą dumą! I kto nam to zafundował? Pełni pychy i wzgardy do swoich braci opowiadacze lewicowych utopii! Którzy kurczowo trzymają się swoich niebezpiecznych bajek nawet dziś, kiedy już zrobiono bilans zysków i strat (patrz: *O Rewolucji we Francji* Burke'a czy *Czarna księga komunizmu*).

Dziś nie będzie recenzji filmu Krzysztofa Zanussiego, choć byłoby sporo do powiedzenia. Np. że wolę czytać jego świetne eseje kulturowe jak „Bigos nie zginie w rodzinnej Europie" czy „Odnawianie Starego Kontynentu". Że jego filmy, łącznie z „Obcym ciałem", wydają mi się zarazem zbyt eseistyczne, jak i deklaratywne. Eseje, rozpisane na obrazy, przy czym często mam odczucie, że Zanussi bardziej ufa słowom niż obrazom. I że niektóre z tych filmowych obrazów nie do końca potrafią wyrazić wspaniałą zawartość myślową przekazu, który reżyser pięknie werbalizuje na konferencji po projekcji. Jednak bardzo sobie cenię jego twórczość, teren jego odważnych i dociekliwych wędrówek – wątpliwości człowieka wierzącego, tajemnica śmierci, ciemne tajemnice duszy ludzkiej, wiedza o niszczącej roli politycznej poprawności czy modernizmu w sztuce. Czy takie uwagi jak „Nie znoszę PP, i sądzę, że jest jednym z największych nieszczęść naszych czasów, bo niszczy zarówno przeszłość i przyszłość". Albo „Żyjemy w czasach, gdy z cnotą się nie walczy, cnotę się wyśmiewa" – którego dowodem słuszności był choćby ten rechot na pokazie prasowym. Każdy film tego reżysera jest jakąś intelektualną przygodą, zresztą bardzo stymulującą.

„Obce ciało" także przypomina o problemach podejmowanych rzadko, w istocie amputowanych z życia społecznego, ale i prywatnego, indywidualnego. Kiedyś mówiło się o tych sprawach w rodzinie, w kręgu przyjaciół, na seminariach studenckich, w literaturze, w teatrach i DKF-ach, poważnie i z zastanowieniem, dziś budzą jedynie rechot. Jeszcze niedawno Kierkegaard pisał z przyganą: „Chrześcijanie rozmawiają z Bogiem, mieszczanie rozmawiają o Bogu". Ale teraz coraz mniej chrześcijan rozmawia z Bogiem, a mieszczanie zapomnieli, że Bóg istnieje! Bóg wyparował z rozmów nie tylko mieszczan, ale i tych, którzy mienią się elitą narodu, np. sporej części krytyki filmowej. Takie filmy jak „Obce ciało" Zanussiego o tym przypominają – i dlatego są dla lewaków takie niebezpieczne.

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA-AVIS
2 grudnia 2014

Co się należy Zanussiemu

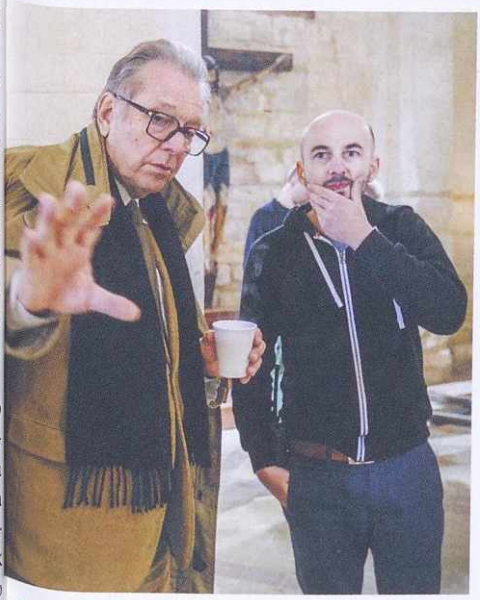

Będzie się działo. Powinno! „Obce ciało" to film dotyczący najważniejszych spraw kraju: Etyki w korporacjach, miejsca religii w życiu tego katolickiego narodu, feminizmu i braku rozliczeń z komunizmem. Krzysztof Zanussi wziął głęboki oddech i wypluł, co o tym wszystkim myśli. Jego poglądy i styl prezentacji może podobać się, lub nie. Jednak przez 40 lat pracy w kinie reżyser zasłużył, żeby go wysłuchać z uwagą. I podjąć rzeczowy spór. Albo zgodzić się i chwalić.

Zaszło jednak dziwne wydarzenie. Film nie został dopuszczony do Festiwalu w Gdyni. Jeden z najbardziej zasłużonych twórców powojennej Polski został potraktowany jak uczniak, który nie dorósł do rozmowy z dojrzałymi ludźmi. Poprosiłem dyrektora Festiwalu pana Michała Oleszczyka o wyjaśnienie. Odpisał: „Producent filmu wycofał film z selekcji jako nieukończony w rozmowie telefonicznej ze mną i dyrektor PISF, panią Agnieszką Odorowicz".

Czyżby pan Krzysztof Zanussi kłamał w wywiadzie dla „Plusa Minusa" – „Rzeczpospolitej"? Poprosiłem o potwierdzenie informacji u producenta filmu, szefa Studia TOR, Krzysztofa Zanussiego. Oto co napisał: „«Obce ciało» zdążyło na festiwal w Toronto poprzedzający Gdynię. Reszta jest milczeniem, gdyż obyczaj nie pozwala na upublicznianie nierejestrowanych rozmów telefonicznych".

Skoro film został pokazany w Toronto przed Gdynią, to znaczy, że był ukończony. A jeśli „Obce ciało" było wystarczająco dobre dla Toronto, ale nie dosyć dobre dla Gdyni, to znaczy, że polski festiwal ma przesadne wyobrażenie o swej randze.

Przesadne wyobrażenie o sobie mają także niektórzy koledzy recenzenci. Nie chodzi o opinie krytyczne. Jeśli są dobrze uzasadnione, to wszystko w porządku. Chodzi o sposób bycia. Pokaz prasowy filmu w warszawskim kinie Atlantic zakłócała grupka kilku osób głośnymi śmiechami i komentarzami. Na sali nie siedziała zwykła publiczność. Ta ma prawo do żywiołowych reakcji. Na sali siedzieli recenzenci mający poinformować czytelników i widzów o swoich wrażeniach. Jednak hałaśliwi osobnicy próbowali swym zachowaniem wpłynąć na resztę kolegów. Nastrój odbioru jest ważny dla oceny każdego filmu. Kimże oni są, by ważyć się na manipulację opinią publiczną przez wpływ na krytyków?

Autor tego tekstu miał swoje ostre przejścia z panem Zanussim. Uważał bowiem, że pan Krzysztof z Andrzejem Wajdą blokują odmłodzenie polskiego kina z racji małej ilości pieniędzy na filmy. To było dziesięć lat temu. Ale potem powstał Polski Instytut Sztuki Filmowej dzięki ministrowi kultury w rządzie SLD Waldemarowi Dąbrowskiemu za poparciem prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Od tego czasu polskie kino ma się coraz lepiej. Pora oddać starym mistrzom, co im się należy. Jest to szacunek, jeśli nie uprawiają kłamliwej propagandy politycznej. A tego nie sposób zarzucić panu Zanussiemu.

Kolegów tryglodytów uprasza się, żeby sobie wyrąbali na ścianach jaskiń „nie będziesz rżał jak osioł bo chcesz być człowiekiem". Powinno z czasem pomóc.

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI
4 grudnia 2014

List otwarty Krzysztofa Kłopotowskiego do minister Małgorzaty Omilianowskiej w sprawie Rady Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej

Szanowna Pani Minister,
w polskim kinie pojawiają się filmy wywołujące skandale z różnych przyczyn, jak „Obywatel" Jerzego Stuhra czy „Obce ciało" Krzysztofa Zanussiego. Wcześniej „Wałęsa, człowiek z nadziei" Andrzeja Wajdy, „Pokłosie" Władysława Pasikowskiego oraz „Tejemnica Westerplatte" Pawła Chochlewa. Otwarta debata jest paliwem kultury, ale pewne tematy warto najpierw omawiać w gronie fachowców. Forum takiej debaty powinna być Rada Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

Niestety, nowa Rada na lata 2014-2017 mianowana przez Panią 27 listopada br. jest mało reprezentatywna dla polskiej opinii publicznej. Uderza jednostronność światopoglądowa składu, może z paroma wyjątkami.

– Jacek Bromski – przewodniczący. Reżyser, scenarzysta i producent filmowy. Od 1996 roku prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

– Edward Miszczak – wiceprzewodniczący. Dyrektor programowy TVN od 1998 roku. Od 2012 roku członek Zarządu TVN S.A. Jeden z twórców Radia RMF FM.

– Maciej Strzembosz – sekretarz. Producent filmowy, scenarzysta i reżyser. Od 2004 roku prezes Zarządu Krajowej Izby Producentów Audiowizualnych.

– Janusz Głowacki. Prozaik, dramaturg, scenarzysta i felietonista. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

– Tomasz Jagiełło. Prezes Zarządu i dyrektor generalny sieci kin Helios S.A.

– Jerzy Kapuściński. Dyrektor TVP2. Od 1991 roku związany z Telewizją Polską. Producent filmowy. Były dyrektor Studia Filmowego „Kadr".

– Dominique Lesage. Od 2007 roku dyrektor wykonawczy Grupy TP ds. Kontentu. Odpowiada za rozwój usług telewizyjnych, producenckich, koprodukcję filmów pełnometrażowych.

– Aleksander Myszka. Członek Rady Nadzorczej Polkomtel Sp. z o.o. Wcześniej prezes Zarządu Telewizji Polsat oraz członek Rady Nadzorczej Cyfrowego Polsatu.

– Włodzimierz Niderhaus. Producent filmowy, dyrektor Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych w Warszawie.

– Małgorzata Szumowska. Reżyserka, scenarzystka i producentka filmowa. Członkini Europejskiej Akademii Filmowej.

– Anna Wydra. Producentka i kierownik produkcji. W 2010 roku nominowana do Oscara za film dokumentalny „Królik po berlińsku".

Nieodzowni są przewodniczący, sekretarz i przedstawiciel TVP misyjnie zainteresowanej sztuką filmową. Reszta jest dyskusyjna. Część może zostać, część powinna ustąpić jeśli zrozumie Pani błąd. Ustąpić nie z braku zalet osobistych, lecz małej reprezentatywności składu Rady. W innym razie powstanie przykre wrażenie okupacji polskiej kinematografii przez przedstawicieli jednego rodzaju światopoglądu i postawy politycznej.

Pominęła Pani przedstawicieli środowiska czasem zwanego „prawicą patriotyczną". Termin ten nie zaprzecza patriotyzmu przedstawicielom innych poglądów, a jedynie niektórym. Antoni Libera – prozaik i reżyser, Maciej Pawlicki – producent i były dyrektor TVP1, Jan Polkowski – prozaik i poeta, były dyrektor Biura Zarządu TVP, Wojciech Tomczyk – scenarzysta, Wanda Zwinogrodzka – była dyrektor Teatru TVP, to osoby, które wyrażają poglądy nieobecne w składzie Rady PISF, ale obecne w polskiej opinii publicznej. Czy podważa Pani ich fachowość? Dlaczego nikogo takiego nie mianowała Pani do Rady? Nazwiska podaję bez wiedzy wymienionych. Można wskazać inne. To ludzie większej wrażliwości na dziedzictwo narodowe, którego Pani Minister jest kustoszem.

PISF powstał 10 lat temu staraniem Waldemara Dąbrowskiego, ministra kultury w rządzie SLD. Byłoby to niemożliwe bez poparcia Jarosława Kaczyńskiego, gdy Platforma Obywatelska zaciekle oponowała powstaniu Instytutu. Ale prezes Kaczyński skłonił posłów Prawa i Sprawiedliwości do poparcia stosownej ustawy. Dzięki temu kino polskie mogło odżyć.

Wspólne działanie Waldemara Dąbrowskiego i Jarosława Kaczyńskiego dla kultury narodowej pokazało, jak dobre wyniki przynosi współpraca ponad podziałami politycznymi. Podobnie Rada PISF w poprawionym składzie mogłaby oszczędzić wiele nieporozumień polskiej kinematografii.

Z głębokim szacunkiem
KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI
Krytyk filmowy
Warszawa, 28 listopada 2014 r.

Z ostatniej chwili

Bezradność ministra

Niedawno wysłałem list otwarty do pani minister kultury Małgorzaty Omilanowskiej na temat za małej reprezentatywności światopoglądowej Rady Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, którą mianowała 27 listopada. Całkowicie pominęła przedstawicieli tzw. prawicy patriotycznej, choć w radzie znaleźli się również patrioci oraz ludzie o sympatiach prawicowych. Jednak nie ma nikogo z twardego rdzenia prawicy. A to ożywiłoby dyskusje na posiedzeniach Rady PISF wprowadzając punkt widzenia bliski co najmniej jednej trzeciej publiczności polskiej.

Mój list doczekał się wczoraj (24 grudnia) odpowiedzi od pana Andrzeja Wyrobca, podsekretarza stanu. Wyjaśnił, że minister kultury nie ma swobody w mianowaniu członków Rady PISF. Na jedenastu członków twórcy filmowi zgłaszają trzech, po jednym zgłaszają producenci i związki zawodowe w kinematografii, pięciu zgłaszają kiniarze i telewizje, a tylko jeden reprezentuje ministra.

Kto chociaż trochę zna życie publiczne ten wie, że przed formalnym zgłoszeniem kandydatur w każdej dziedzinie prowadzi się zakulisowe rozmowy. Ministra z reguły nie zaskakuje się, ale bada zawczasu reakcję na zgłaszanych ludzi. Również minister kultury ma pewną swobodę manewru w takiej sytuacji. Już nie mówiąc o obietnicach pieniędzy publicznych na różne projekty, a to jest mocny argument. Jednak pani minister uznała, że obecny skład Rady nie przeczy jej pojmowaniu demokracji i interesu kultury narodowej.

Pan Andrzej Wyrobiec wyjaśnia dalej, że według ustawy, Rada nie może wybierać ani oceniać tematyki filmów we wnioskach o dofinansowanie składanych w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej. Rada zajmuje się bowiem wytyczaniem kierunków działania PISF, opiniowaniem rocznego planu działalności oraz projektu finansów Instytutu, opiniowaniem rocznego sprawozdania PISF i projektów zmian statutu.

Wcale nie domagam się, aby Rada oceniała tematykę filmów we wnioskach o dofinansowanie. Tym zajmuje się dyrektor PISF i eksperci. Ale jestem pewny, że prawica patriotyczna miałaby coś do powiedzenia o „wytyczaniu kierunków", „planie działalności" czy „rocznym sprawozdaniu" z działalności najważniejszej instytucji polskiego kina.

Dlatego ponawiam apel do członków Rady Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, aby niektórzy zastanowili się nad ustąpieniem z Rady. W ten sposób zrobią miejsce dla wyrazicieli światopoglądu przynajmniej jednej trzeciej publiczności polskiej. Wtedy bezradna pani minister kultury i dziedzictwa narodowego mogłaby powołać parę osób, które poważnie cenią dziedzictwo narodowe.

KRZYSZTOF KŁOPOTOWSKI
25 grudnia 201

Czy istnieje fotospołeczeństwo?

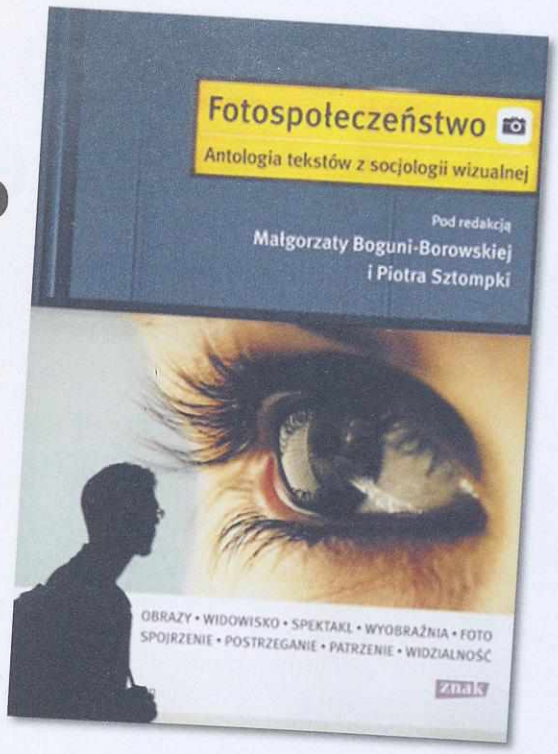

Odpowiedź na tak postawione pytanie przynosi obszerna, licząca 864 strony wieloautorska monografia *Fotospołeczeństwo. Antologia tekstów z socjologii wizualnej*, powstała pod redakcją naukową Małgorzaty Boguni-Borowskiej i Piotra Sztompki (Wydawnictwo Znak, Kraków 2012).

Dwoje socjologów z Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktor Bogunia-Borowska, specjalizująca się w socjologii codzienności oraz kulturze mediów, wraz z profesorem Sztompką, byłym prezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego (ISA), jednym z najwybitniejszych polskich badaczy z obszaru nauk społecznych, prywatnie wielkim pasjonatem fotografii, której poświęcił książkę *Socjologia wizualna. Fotografia jako metoda badawcza* (2006), zajęli się niezwykle ważnym zagadnieniem, jakim jest wizualny aspekt funkcjonowania współczesnego społeczeństwa.

Oprócz obszernych esejów redaktorów tomu, wśród autorów opublikowanych najwartościowszych tekstów na temat genezy socjologii wizualnej, znajdują się tak znaczące nazwiska teoretyków i badaczy mediów, jak: Pierre Bourdieu, Erving Goffman, John B.Thompson, Umberto Eco, Edward T. Hall, Jean Baudrillard, Susan Sontag, Roland Barthes, Andre Bazin i Lev Manovich.

Czym właściwie jest socjologia wizualna, której tak naprawdę poświęcona jest książka? Jak dowodzi Piotr Sztompka, już przed wielu laty wielu autorów zwróciło uwagę na istotną właściwość naszego nowego świata, w którym tak ważną rolę zaczęła pełnić fotografia, kino, telewizja, prasowe reportaże, reklama. Mniej więcej od lat sześćdziesiątych XX wieku nastąpiło niespotykane wcześniej nasycenie rzeczywistości obrazami i wrażeniami wizualnymi, wytwarzanymi już nie przez wyspecjalizowanych w tym zakresie artystów, lecz przez amatorów, obeznanych z tworzeniem zdjęć lub realizacją filmów wideo. Rozpowszechnianie obrazów wyszło poza wcześniej elitarny krąg rynku sztuki, muzeów, wystaw, do czego przyczyniły się media masowe (ilustrowane magazyny, telewizja, obecnie Internet).

W świecie tak nasyconym obrazami, patrzenie staje się czynnością częstszą niż czytanie tekstów, z czym mam nieustannie do czynienia jako nauczyciel akademicki, pracujący z młodzieżą, wychowaną nie na szkolnych lekturach, lecz komiksach, kolorowej prasie, grach komputerowych, telewizyjnych serialach, co ciekawe, oglądanych nie na ekranach domowych telewizorów, lecz mobilnych urządzeniach z dostępem do Sieci.

Wspomniane zjawiska wskazują dziś, w drugim dziesięcioleciu XXI wieku na głęboką zmianę w kulturze, w której coraz większego znaczenia nabiera kultura wizualna. „To szerokie pojęcie obejmuje kilka kategorii zjawisk. Po pierwsze, ikonosferę, czyli różnego typu obrazy, jakie napotykamy w naszym otoczeniu, od dzieł malarskich w muzeach do reklamowych billboardów na ulicach. Po drugie, socjosferę, czyli obserwowalną powierzchnię życia społecznego, wszystko, co widzialne, a związane z działaniem ludzi: ich wizerunek czy wytworzone przez nich cywilizacyjne otoczenie" (*Fotospołeczeństwo*, s. 13). To powoduje, iż społeczeństwo głęboko zanurzone w tego typu zjawiskach społecznych doczekało się na przestrzeni lat wielu metaforycznych określeń, jak społeczeństwo ikon, gdzie styl i estetyka systemu Windows wywarły wpływ na wszystkie dziedziny przekazu. Ale też społeczeństwo spektaklu, nazwane tak przez Guya Deborda, krytykującego działania zbiorowe zorganizowane wokół wymyślonego wcześniej scenariusza.

Spektakl czy też teatralizacja, o której pisał Erving Goffman, przybrała dziś wymiar globalny. Czymże jak nie wielkimi spektaklami, stały się koncerty rockowe, organizowane dla blisko milionowej widowni, na których muzyka nie jest dominującym elementem, lecz jednym z wielu. Fotospołeczeństwo domaga się wiecznego karnawału, celebracji Nowego Roku, transmisji otwarcia mistrzostw świata w piłce nożnej, zimowej i letniej olimpiady, wyścigów Formuły 1 i bokserskich gali. Relacji telewizyjnych kamer z wyboru papieża, narodzin potomka w brytyjskiej rodzinie królewskiej, ale też doniesień na temat śmierci ulubionej aktorki z serialu. I wszystko to nie może być doniesieniem na telewizyjnym pasku w dołu ekranu, gazetowym newsem, wpisem w Internecie, radiową wiadomością, lecz powinno być gęsto okraszone fotografiami, filmami, wizerunkami, fotocastami, gdyż fotospołeczeństwo przywykło już do oglądania, a nie czytania ze zrozumieniem. Czy to okrutna wizja czy już codzienna rzeczywistość? Odpowiedzi niechaj udzieli sobie każdy sam z Czytelników „Bez Wierszówki".

MAREK SOKOŁOWSKI

Okiem satyryka

Powyborczy remanent

Ten kto wygrał... jest przegrany,
Przegrywając... wygrywamy,
A do tego różni ludzie
O wyborczym mówią cudzie.
Nigdy się nie dogadamy.

Kolejowy optymizm

Polska kolej sławna zimą,
Bo ruszyło Pendolino.
Nic nam mrozy i zamiecie,
Jak też i upały w lecie.
Wszystkie te problemy miną?

ANDRZEJ ZB. BRZOZOWSKI

Obserwatorzy, świadkowie, aktorzy

Bardzo szybko, bo w przeciągu zaledwie roku ukazały się dwa tomy powieści *Stało się*. Tom 1 – „Karol", pod koniec roku 2013; tom 2 – „Generał", w grudniu 2014 roku. Książka w formie beletrystycznej przedstawia niespełna dekadę z życia miasta bardzo podobnego do Olsztyna, z udziałem bohaterów, o których wiemy, że stykaliśmy się z nimi niejednokrotnie.

Z niektórymi nadal się spotykamy, choć od tamtych czasów dzieli nas cała epoka. Trochę mi to przypomina scenę obrotową, na której ta sama widownia, ogląda tych samych bohaterów, tylko że w odmiennej scenerii, a czasami nawet innym kostiumie. Życie to teatr, ludzie to aktorzy, chciałoby się powtórzyć za Szekspirem. Nie zapominajmy jednak o widowni. To kategoria ludzi, których w większości można nazwać obserwatorami, a tylko nielicznych świadkami historii.

Chyba nikogo nie powinno dziwić, że autorem tej książki jest Zenon Złakowski, człowiek od wielu lat w swej twórczości odwołujący się do wydarzeń czasu wielkich przeobrażeń, zafascynowany epoką i ludźmi, którzy mniej lub bardziej świadomie przejęli stery historii w swoje ręce i usiłujący dociec pewnej prawdy o przyczynie tych wydarzeń, przypominając w tym trochę naukowców do dziś zgłębiających teorię Wielkiego Wybuchu.

Do tej pory Zenon Złakowski pisał o „Solidarności" w formie dokumentalnych zapisów historii związku i jego członków na Warmii i Mazurach. Czasom pierwszej „Solidarności", czasom transformacji lat 90. w regionie poświęcił trzy tytuły. Były to kolejno: *W Olsztyńskiem bez przełomu* (Olsztyn 1992), *Solidarność olsztyńska w latach 1980-1981. Próba zestawienia faktów* (Olsztyn 2000), *Solidarność olsztyńska w stanie wojennym (1981-1989) i w latach następnych* (Olsztyn 2001). Te trzy pozycje były próbą opisu wydarzeń lat 80. i 90. w oparciu o dokumenty i wywiady z ludźmi, którzy tworzyli, żeby nie powiedzieć, wykuwali historię.

Tym razem autor powraca do epoki w formie powieści. Co więcej, tzw. powieści z kluczem. Bohaterowie *Stało się* to ludzie z rzeczywistości Olsztyna czasów końca epoki Gierka i rodzącej się „Solidarności". Ukryci pod innymi nazwiskami, ale rozpoznawalni przez czytelników związanych z Olsztynem i połączonych pewnymi wspólnymi losami. Środowisko, jakie ukazuje autor, to środowisko doskonale mu znane: dziennikarskie, naukowe, kulturalne, kościelne, a także robotnicze przedstawiane przez pryzmat wydarzeń, w których uczestniczył sam autor, lub bliskie i znane mu osoby.

Jest to historia związku zawodowego w formie zbeletryzowanej, przypominająca uwarunkowania, w jakich w Olsztynie powstawał NSZZ „Solidarność", ukazana na szerszym tle kilkunastu lat poprzedzających sierpień roku 1980. Wydarzenia historyczne przeplatają się z codziennym życiem Piotra (w którym należy oczywiście dopatrywać się samego autora), jego bliskich, przyjaciół, ludzi nowo poznanych stających na ścieżce jego życia. Powieść zaczyna się sielską scenerią polskiego Wybrzeża, na którym w roku 1972 spędzają wakacje Nike i Piotr Słowińscy.

Morze nie pojawia się tu przypadkowo, aczkolwiek opis też jest częścią życiorysu autora. Morze w tej książce nabiera rangi pewnego symbolu kojarząc się z powieścią Żeromskiego *Wiatr od morza*. Tam, Bałtyk, również niósł w sobie zapowiedź wielkich zmian. Siły natury wspierały ludzką energię i wolę w procesie głębokich przemian społecznych, politycznych i ekonomicznych. Zresztą sam Złakowski budzi pewne skojarzenia z postacią pisarza dwudziestolecia międzywojennego. Podobnie jak on, jakąś częścią swego dorobku literackiego i własnego życia, pokazał zaangażowanie w sprawy narodowe i społeczne.

Rotyń w powieści Złakowskiego to miasto, które pewnego dnia budzi się z wieloletniego letargu i na miarę energii swych mieszkańców próbuje włączyć się w potężny ruch społeczny, który w kilka lat później doprowadzi do trwałych przemian w kraju. W międzyczasie autor przypomina nam pewne wyznaczniki mających nastąpić zmian: propagandowo wyreżyserowane Centralne Dożynki 1978 roku, niespodziewany wybór Karola Wojtyły na papieża w miesiąc później, czy zima stulecia 1978/79, która pokazała rażące niedostatki rodzimej gospodarki, pociągnęły za sobą lawinowe zmiany. Autor pokazuje nam codzienne wydarzenia: ludzką bezradność wobec braków w dostawach prądu, ciepła i gazu, absurdalny sylwester w DŚT, który zakończyła długo przed północą niespodziewana awaria spowodowana pęknięciem rury wodociągowej, zimowy pobyt na poligonie wojskowym, na którym panował lekki chaos, a ćwiczenia w większości ograniczały się do kopania rowów.

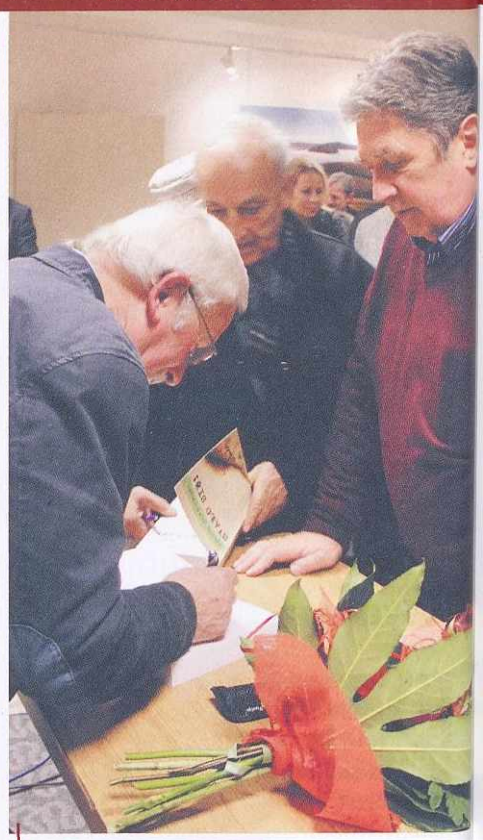

Spotkanie z czytelnikami w olsztyńskim Instytucie Kultury Chrześcijańskiej

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Powoli nadchodził czas zmian. Jeszcze nie przez wszystkich widziane, ale już odczuwane. Tworzą się nieformalne grupy w środowisku studenckim WSR. Słowiński ma tu swoich przyjaciół, których światopogląd nie do końca zgadza się z oficjalnym nurtem ideologicznym kraju. Studenci z Korniaka (Kortowo), w większości pochodzenia wiejskiego, nie zdążyli zerwać swoich związków z tradycją wyniesioną z domów „gdzie religia była czymś żywym i naturalnym". Bardziej świadomi swej roli i misji, wywodzący się z rodzin o nastrojach antybolszewickich, podejmowali działania mające nie doprowadzić do zbliżania środowisk katolickich i doktrynersko-marksistowskich, czym zajmował się m. in. ówczesny PAX. Siłą rzeczy to środowisko poddawane jest obserwacji przez aparat władzy usytuowany w Komitecie Wojewódzkim i w strukturach uczelnianych. Żadnym sposobem do publicznej wiadomości nie były w stanie przebić się informacje o aresztowaniu studentów, którzy spalili uczelniane gabloty ZMS i PZPR. Również dla Słowińskiego, dziennikarza radia, żyjącego „dotąd jak pod kloszem", okazały się to zupełnie nowe i nieznane wcześniej sprawy.

Duch epoki docierał do innych instytucji Rotynia, także do wydawnictwa w którym

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

pracowała żona Piotra – Nike. Nadciągał wiatr od morza. Na Wybrzeżu rodziła się „Solidarność". Fala przyboju ruszyła w Polskę. Siła energii, jaka ją wywołała, spowodowała, że przemieszczała się szybciej i na większą odległość. Ta część książki, to niemal dokumentalny zapis ważniejszych wydarzeń związanych z tworzeniem się wolnych związków zawodowych w Olsztynie, ukazujący proces ludzkich przemian, nadzieje, jakie wiązali z tym ruchem, a także próby przeciwdziałania podejmowane przez komitety partii i służbę bezpieczeństwa. Mamy opis strajku „Stomilu", powstawania MKZ w Olsztynie, konfliktu władz związkowych z I sekretarzem PZPR. Wszystko oparte na faktach. Na kartach książki pojawiają się postacie z wielkiej polityki: Wałęsa, Walentynowicz, Gwiazda, Krzywonos.

Dla Złakowskiego ważne jest wzajemne wsparcie jakiego sobie udzielają „Solidarność" i Kościół. Oglądamy to na przykładzie powstającej nowej parafii w Olsztynie, na co władze wyraziły pozwolenie dopiero pod presją działaczy związkowych. Ważną rolę odgrywa tu Kościół, jako instytucja pozwalająca ludziom przejść przez epokę socjalistycznego konformizmu w poczuciu tożsamości narodowej, religijnej i kulturowej. Obok postaci związkowców, dziennikarzy, aktorów, licznie pojawiają się księża. Napotkamy również, ściśle wpisanych w tamte wydarzenia, donosicieli i prowokatorów.

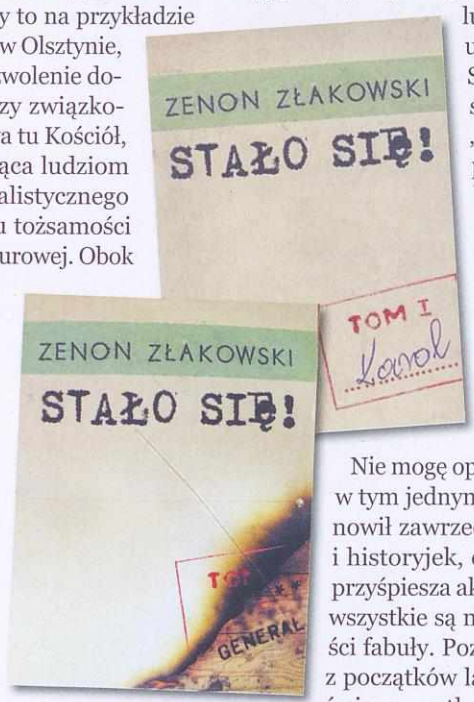

Swoją solidarnościową sagę Złakowski kontynuuje w drugim tomie. Akcja rozpoczyna się w marcu 1981 roku. Rotyńska „Solidarność" jest pod presją wydarzeń w kraju. W Bydgoszczy dochodzi do pobicia działaczy związkowych. Rozpoczyna się okres eskalacji konfliktu na linii związek – aparat władzy. Wymaga to od „Solidarności" podjęcia skuteczniejszej akcji informacyjnej. Takie zadanie ma do spełnienia pismo „Solidarność Rotyńska". Chcąc szybciej dotrzeć do mieszkańców w siedzibie związku rusza namiastka lokalnego radiowęzła – przy pomocy megafonu, z uchylonego okna, na miasto wypływają najświeższe informacje o aktualnych wydarzeniach. „Solidarność" działa i zapisuje swoimi działaniami historię Polski. Nie wszystko jest jednak proste i jednoznaczne. Związek zaczyna być infiltrowany przez esbecję. To nie wszystko. Pod fasadą jedności i zgodności, wre nieledwie walka pomiędzy najpopularniejszymi ludźmi związku – Wałęsą i Walentynowicz. Nie jest to wiedza powszechna. Do publicznej wiadomości dotarła znacznie później.

Młyny historii przyśpieszają bieg wydarzeń. Rotyń, podobnie jak cała Polska, przeżywa zamach na papieża. Piotrowi Słowińskiemu, któremu w miarę upływu czasu coraz bliżej jest do „Solidarności", choć kierując się, jak twierdzi indywidualizmem, nadal jest obserwatorem, o strzałach na Placu św. Piotra opowiada mieszkanka Rotynia, Krystyna Nowicka. Powoli kwestie wiary stają się dla Słowińskiego bardzo ważne. Zresztą nie tylko dla niego jednego. Związki „Solidarności" z Kościołem, instytucji wzajemnie wspierających się przeciw władzy PRL, pokazane są w tym tomie bardzo wyraziście. Widać je przez pryzmat relacji ze spotkania działaczy „Solidarności" z papieżem, zamachu na Jana Pawła II, oraz choroby, a wreszcie śmierci prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego.

W Rotyniu Kościół i duchowni też zajmują ważne miejsce. Ksiądz Julian Wojniewicz, ksiądz Dobosz, to pozytywne postacie tutejszego kleru. Na przeciwstawnym krańcu stoi ksiądz Lęgarek, ze swoimi słabościami do kobiet, kosztownych przedmiotów i niepokojącym zwyczajem wyciągania informacji od ludzi. Kolejny epizod ukazujący spotkanie Słowińskiego z grupą studentów z Ruchu „Światło i Życie", pokazuje że wiara bardziej niż walka związkowa staje się nie tylko motywem przewodnim dziennikarza, lecz wypełnia go dziwnym uczuciem, „jakby przed chwilą odkrył nowy świat".

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w tym jednym tomie autor postanowił zawrzeć zbyt wiele historii i historyjek, co może miejscami przyśpiesza akcję powieści, ale nie wszystkie są niezbędne dla jedności fabuły. Poznajemy realia życia z początków lat 80., kiedy sklepy świecą pustkami, a kolejki stają się nieodzownym elementem każdego dnia. Śledzimy okoliczności doprowadzające do zorganizowania w Rotyniu marszu głodowego, a także kulisy wystawienia w miejscowym teatrze widowiska muzycznego, którego zaangażowanie społeczne wyznaczają modne protest songi. Są też z epickim rozmachem skonstruowane rozdziały, z ciekawie nakreślonymi postaciami, ukazujące ciąg wydarzeń związanych ze strajkiem w Rotyńskim Zakładzie Graficznym. Sprawna fabuła dobrze dopasowuje się do faktów, w które wpisują się znani protagoniści solidarnościowej rewolucji – Kuroń, Onyszkiewicz, Bogdan Lis. Rzeczywisty wymiar przemian ukazują sylwetki ludzi z drugiego planu, kwiaciarki, taksówkarze, nauczycielki, również ważnych, choć skazanych na zapomnienie poprzez status zwykłego widza, któremu czasem uda się zagrać epizod na dużej scenie.

Strajk sprawia, że o Rotyniu znowu robi się głośno w Polsce. Konflikt ma być dyskutowany na Zjeździe w Gdańsku, na który udają się rotyńscy związkowcy. Karnawał „Solidarności" nie ma już w sobie pierwotnej euforii. Piętrzą się trudności. Władza staje się coraz cwańsza i wyraźne gra na zwłokę. Dochodzą nowe komplikacje. Strajkujący nie są w stanie porozumieć się ani z lokalnymi włodarzami, ani z własnymi władzami związkowymi, dążącymi do wygaszenia strajku. Jednak te doświadczenia są ważną lekcją dla ludzi, którzy przez wiele lat decydowali co najwyżej o przydziale socjalu w swych zakładach pracy. „Solidarność" przywraca im godność i odpowiedzialność. Te wartości pomagają im przetrwać pierwsze dramatyczne godziny pewnej mroźnej, grudniowej nocy. Milicja przy wsparciu ZOMO zdobywa budynek, w którym czuwa kilku działaczy „Solidarności". Wojsko wkracza do rozgłośni radiowej. Esbecy wywlekają z domów związkowców. Wypakowane aresztowanymi ludźmi więźniarki ruszają w mrok długiej zimowej nocy. Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego wprowadza stan wojenny na terenie całego kraju.

Narracja Złakowskiego nie epatuje wielkimi emocjami. Nawet momenty dramatyczne relacjonowane są oszczędnie. Głębszej treści nabierają za to sceny na swój sposób metaforyczne – śmierć kota dopadniętego wśród śmietników przez psy milicyjne, ucieczka tajemniczego Daniela spod pałek ZOMOW-ców przystępujących do pacyfikacji „Stomilu". Obrazy te widziane są oczyma Sławińskiego, już nie zwykłego obserwatora, lecz świadka dokonującej się historii.

Zaletą książki Złakowskiego jest to, że nie operuje moralizatorskim podziałem na białe i czarne. Poprzez pryzmat głównego bohatera, którego jest pierwowzorem, pokazuje powolne dochodzenie do zmian w ocenie wydarzeń. Świat jest miejscem ewolucyjnych przeobrażeń, na które wpływ mają i wielcy i zwykli ludzie, choć czuje się, że wszyscy wpisani jesteśmy w wielki plan, który wykracza daleko poza możliwości decyzyjne człowieka.

BOŻENNA ULEWICZ

KONCERT CHARYTATYWNY

„Wspieramy Stypendium im. Marcina Antonowicza"

19 marca 2015 roku, godzina 17
III Liceum Ogólnokształcące
im. Mikołaja Kopernika
w Olsztynie, ul. Sybiraków 3

W programie: występy tancerzy oraz dziecięcych i młodzieżowych zespołów muzycznych; aukcja obrazów i innych darów VIP-ów; kącik udanych zakupów, w którym królują atrakcyjne ceny; kawiarenka z kawą, herbatą i ciastem domowego wypieku.

Całkowity dochód z Koncertu zostanie przekazany na stypendia dla uzdolnionych licealistów.

Serdecznie zapraszamy
Organizatorzy
III LO w Olsztynie
Stowarzyszenie „Pro Patria"

Pamięci redaktor Ludmiły

W każdej redakcji potrzebny jest ktoś ciepły. Ktoś, kto sprawi, że stażysta wchodzący w życie zawodowe, w realnym, dziennikarskim życiu będzie miał oparcie, poczuje się zaakceptowany. To bardzo trudny zawód. Każdego dnia, czy w każdej chwili, gdy zasiada się do pisania tekstu, to sprawdza się samego siebie, pokazuje swoją wartość. Ale do końca nie jest się pewnym swego. Nawet wtedy, gdy ma się za sobą już kilka lat studenckiego dziennikarstwa w radiu, gazetach wydawanych na uczelniach, czy przez organizacje studenckie.

Ludmiła Kamińska-Bartocha z „Gazety Olsztyńskiej" była taką osobą. Sprawiała, że taki początkujący dziennikarz nie czuł się obco, a jemu taka przyjazna dłoń była potrzebna dla „znalezienia" się w redakcji. Nawet ten uśmiech Ludmiły, gdy na korytarzu mówiła „cześć" to było to coś. I uśmiech i życzliwość. A to wszystko bardzo naturalne. Sama może nie była aż tak bardzo otwartą osobą, ale dla tych nowych w redakcji stawała się przyjacielem. Nie, nie rozmawialiśmy o sprawach warsztatowych, czy dobrze, czy źle napisane.

Ci, którzy pisali zależeli od sekretariatu. To tam teksty były sprawdzane, skracane, czy wycinane. I tam były wydawane decyzje jak ktoś pisze i czy się sprawdza. Inne zupełnie

FOT. © ADAM BARTNIKOWSKI, 1986

było pisanie studenckie, bardziej spontaniczne. A tu ważył się każdy wyraz. I często to, co ukazywało się było odmienne od pierwotnego tekstu. Gdy czasem z rzadka mówiłem o tym Ludmile kwitowała fajnym „nie przejmuj się". Każdy, kto wchodził do tego realnego zawodu przechodził przez taką męczeńską drogę. Życzliwość powodowała, że przyjmowało się to inaczej i nie tak do siebie.

Tak, szybko nawiązała się nić zrozumienia. Zaczęliśmy jeździć jednym redakcyjnym samochodem w tak zwany teren. Tam też każdy pracował dla siebie, sam szukał i zbierał tematy. Ale byliśmy razem, czułem jej koleżeńskość, chociaż ona pisała głównie o ekonomii, sprawach gospodarczych. Potem, to co zrobiliśmy razem, a jednocześnie osobno, oglądaliśmy na łamach gazety. Świetne były takie „pokojowe", na mini zbiórce w jednym pokoju rozmowy, z udziałem innych redaktorów. To wtedy mówiło się, co kto napisał, co słyszał w sekretariacie. Wówczas sprawdzał się zwyczaj mówienia sobie na „ty", także do starszych, a nawet dużo starszych osób. Żarty, wesołość także była potrzebna w redakcji. Ech, gdzie to do dzisiejszego „wyścigu szczurów".

Nasze serdeczne, przyjacielskie kontakty trwały przez wiele lat. Mieszkaliśmy niedaleko siebie na Nagórkach. Znały się nasze dzieci. Często rozmawialiśmy o naszych rodzinach. Bardzo przeżyliśmy śmierć jej męża. Ludmiła była taka jak zawsze: spokojna, uśmiechnięta, oddana swoim dzieciom i bardzo życzliwa. W grudniu 2014 roku żegnaliśmy Ją na cmentarzu komunalnym w Olsztynie. Było wielu redaktorów dla których Ludmiła była ważna w ich życiu...

ANDRZEJ DRAMIŃSKI

Śladem naszych publikacji

W poprzednim numerze „Bez Wierszówki" (nr 12/2014, s. 30-31) opublikowaliśmy tekst Andrzeja Małyszki pt. „Szafa". Autor skierował do czytelników prośbę o pomoc w odkryciu dalszych losów swoich bohaterów. Podjął również prywatne poszukiwania. Jest pierwszy nowy trop...

Jeszcze o „Szafie"

Przypomnę: szafa pochodzi z Seminarium w Wilnie, krótko po tym wpisie trafiła do moich Rodziców wówczas mieszkających przy ul. Zamkowej. Wyciśnięte przed 74 laty czerwonym ołówkiem w miękkim drewnie literki nadal są czytelne, choć niektóre z nich straciły kolor. Patrząc na te drzwi trudno oprzeć się wrażeniu, że wpisywanie uwag, lub tylko podpisywanie się było jakimś studenckim rytuałem. Oba skrzydła drzwiowe od wewnątrz są zapisane. Najstarszy wpis dający się odczytać pochodzi z 1904 roku. Zaintrygowany podjąłem próbę ustalenia kim byli młodzi ludzie, autorzy tej dramatycznej inskrypcji z lutego 1940 roku i jakie były ich dalsze losy.

W wydawanym przez Ośrodek Ochrony Zbiorów Publicznych czasopiśmie „Cenne, bezcenne, utracone" w 2008 roku został wydrukowany tekst z cytatami z szafy. Miałem nadzieję, że rozsyłane po wszystkich ośrodkach polonijnych zwróci uwagę kogoś, kto może znać losy kleryków „z szafy". Niestety, przez sześć lat nie było żadnego odzewu.

Z kolei z Biura Informacji Poszukiwań Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie, do którego zwróciłem się z prośbą o pomoc nadeszła odpowiedź, abym podał pełne imiona poszukiwanych, daty i miejsce ich urodzenia, ewentualnie imiona rodziców i stopień pokrewieństwa w stosunku do poszukiwanych. Niestety, nie byłem w stanie spełnić żadnego z wymienionych punktów.

FOT. © WITOLD MIERZEJEWSKI

Pozostało mi jeszcze Archiwum Archidiecezjalne w Białymstoku, do którego, według mojej wiedzy, trafiły akta ze zlikwidowanego wileńskiego Seminarium. Napisałem list i otrzymałem dość cenną odpowiedź! Na list odpowiedział ks. prof. Tadeusz Krahel, który odniósł się do ostatniego z wpisów na wewnętrznej stronie drzwi wileńskiej szafy: „A. Turzyński / K. Polachowski / opuścili te mury i poszli do partyzantki / 9.II.1940":

Szuka Pan rozwiązania zagadki dwóch „kleryków z szafy". Otóż Antoni Turzyński w roku akademickim 1939/1940 był na piątym roku w Seminarium w Wilnie. Na początku 1940 r. wystąpił. Pewnie data z szafy jest wiarygodna. Księdzem nie został. Występuje on w książce Romana Korab-Żebryka „Biała księga w obronie Armii Krajowej na Wileńszczyźnie (Lublin 1991)" na s. 56 wśród zwolnionych z obozu w Prawieniszkach 11 XI 1943 r. zakładników. Uważam, że jest to ta sama osoba, gdyż zgadza się rok urodzenia – 1916 (7 XII). Podano w indeksie nazwisk, iż był mieszkańcem Wilna. Więcej danych o nim nie udało się znaleźć. Gdy będę w Bibliotece Litewskiej Akademii Nauk, spróbuję znaleźć jego teczkę personalną, ale tam nie będzie jego dalszych losów. Jako kleryk wprost cudownie ocalał, gdy sowiet w jesieni 1939 r. do niego z bliska trzykrotnie strzelił. Natomiast K. Polachowskiego w seminarium nie było. Nie mam żadnych śladów takiego alumna. Może podał inne nazwisko.

Ks. Tadeusz Krahel

W poszukiwaniach uczyniliśmy niewielki krok. Jednak szafa nadal jest pełna tajemnic. Nie znamy odpowiedzi na wiele pytań. Wciąż liczymy, że ktoś z naszych czytelników pomoże w rozwiązaniu zagadki dalszych losów autorów wpisów z wileńskiej szafy.

ANDRZEJ MAŁYSZKA
Ruś, 27 grudnia 201

4 grudnia 2014 roku odszedł Kazimierz Świtoń, wielki patriota, założyciel Wolnych Związków Zawodowych w PRL, znany działacz opozycji demokratycznej i śląsko-dąbrowskiej „Solidarności", odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, członek Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Urodził się 4 sierpnia 1931 roku w Katowicach. W działalność opozycyjną zaangażował się w maju 1977 roku, przyłączając się do głodówki protestacyjnej zorganizowanej przez Komitet Obrony Robotników w kościele św. Marcina w Warszawie w obronie robotników przetrzymywanych w więzieniach i aresztowanych działaczy KOR. Był następnie aktywnym uczestnikiem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W sierpniu 1977 roku założył w swoim mieszkaniu czwarty w kraju Punkt Konsultacyjno-Informacyjny ROPCiO. W lutym 1978 roku utworzył pierwszy w Polsce Komitet Wolnych Związków Zawodowych.

Za działalność opozycyjną wielokrotnie represjonowany, m. in. 2 marca 1979 roku skazany na rok więzienia, następnie warunkowo zwolniony. Od września 1980 roku zaangażował się w działalność NSZZ „Solidarność". Był m. in. sekretarzem Zarządu MKZ Katowice, delegatem na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność". W stanie wojennym internowany. Aktywnie uczestniczył w demonstracjach rocznicowych pod krzyżem przy kopalni „Wujek" w Katowicach. W lutym 1988 roku został wybrany na wiceprzewodniczącego Regionalnej Komisji Wykonawczej NSZZ „Solidarność" Regionu Śląsko-Dąbrowskiego. Od lutego 1989 roku ponownie znalazł się w składzie RKW. W marcu 1988 roku był jednym z założycieli Komitetu Budowy Pomnika Górników Poległych 16 XII 1981. W sierpniu 1988 roku uczestniczył w strajkach górniczych. W latach 1989-1991 przewodniczył Społecznemu Komitetowi Budowy Pomnika ku Czci Górników KWK „Wujek" w Katowicach.

W wolnej Polsce aktywnie uczestniczył w życiu społecznym i politycznym, m. in. w latach 1991-1993 był posłem na Sejm RP I kadencji. W 1990 roku prezydent RP na uchodźstwie Ryszard Kaczorowski uhonorował go Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Cześć Jego pamięci!

Instytut Pamięci Narodowej

Wspomnienie o Kazimierzu Świtoniu

Odszedł od nas opozycjonista PRL i III RP. Zmarł 4 grudnia – w Barbórkę, święto patronki górników.

Był pierwszym mieszkańcem Śląska, który nawiązał oficjalnie kontakt z Komitetem Obrony Robotników. Potem związał się z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO). Gdy w 1980 roku wybuchły na Śląsku strajki, służba Bezpieczeństwa urządziła mu areszt domowy. To strajkujący w Hucie Katowice pojechali do Katowic i wykradli bezpiece Świtonia. Jacek Jagiełka – wiceprzewodniczący Komitetu Strajkowego znał Świtonia i współpracował z nim w ramach ROPCiO.

Kazimierz Świtoń założył też pierwsze w Polsce Wolne Związki Zawodowe (WZZ). Te z Wybrzeża powstały nieco później i przybrały nazwę „WZZ Wybrzeża". Kazimierz Świtoń w Hucie Katowice został natychmiast dokooptowany do Komitetu Strajkowego jako sekretarz. Dawało mu to ochronę przed aresztowaniem.

Pamiętam, jak patrzyliśmy z podziwem na Świtonia. Był naszym guru. To za jego sprawą MKZ Katowice otaczał Kuronia i Michnika dużą rezerwą. Świtoń dużo o nich wiedział.

Nasz MKZ Katowice, podobnie jak Rzeszowski z Antonim Kopaczewskim na czele, traktowany był jako niepodległościowy i był zwalczany przez środowisko „doradców" – Geremków, Kuroniów.

Andrzeja Rozpłochowskiego, przewodniczącego największego w Polsce MKZ „Solidarność" nie lubił też Wałęsa. Bał się. Bezpieka dopuściła do konfliktu pomiędzy Świtoniem a Rozpłochowskim. Teraz, po latach, okazało się, że Świtonia otaczało 265 Tajnych Współpracowników SB. Był objęty całodobową kontrolą.

Po zapoznaniu się z aktami SB w Instytucie Pamięci Narodowej (zob. www.switon.pl) Kazik przeprosił mnie za „rozbijacką działalność". Powiedział: „Miałaś rację, gdy powiedziałaś mi z mostu: jesteś agentem albo psycholem – innego wyjścia nie ma. Otóż, Jadwigo, byłem otoczony taką ilością agentów, więc działałem jak agent. – Było trzecie wyjście?".

Od tego czasu wspominaliśmy jedynie dobre chwile. Jak na przykład, gdy uczył drukować na ramce używając matryc białkowych. Zarząd Regionu miał offsety – dobrze wyposażoną drukarnię, a my uczyliśmy się metod stosowanych jeszcze przed I wojną światową.

Po transformacji wstąpił do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Potem pamiętamy Świtonia jako obrońcę Krzyża w Oświęcimiu. Bronił też klasztoru karmelitanek.

Dopiero później okazało się, że to nie nienormalni Żydzi chcieli ich usunięcia, ale środowiska obecnie skupione w ruchach genderowo-liberalnych. Oczywiście Żydzi też tam byli, ale głównie ci zlaicyzowani. I znów Kazik rozpoczął walkę o Krzyż w przestrzeni publicznej i teraz przyszło kontynuować ją nawet tym, którzy wtedy uważali, że Świtoń przesadza.

Cała Polska pamięta Świtonia z jego wystąpienia w Sejmie 4 czerwca 1991 roku, gdy ogłosił, że Lech Wałęsa to TW „Bolek". Spośród 460 posłów okazał się jeden odważny – Ślązak – Świtoń.

Jak dziś pamiętam moją ostatnią z nim rozmowę w lipcu 2014 roku. Przyszedł na konferencję „Historia i tożsamość Śląska". Podszedł do mnie i poprosił, abym go nie uważała za RAŚ-owca. Bardzo go zabolało, że tak o nim napisałam. Przyznał, że startował z koalicji Chrześcijańskiej Demokracji i RAŚ, ale inaczej nie dostałby się do Sejmu. RAŚ nie traktował w 1990 roku jako zagrożenia dla Polski. On też chciał kontynuacji Polski przedwojennej. Województwo śląskie, choć miało autonomię, to było nie tylko najważniejsze, ale pozwoliło na industrializację II RP. Powiedział, że z RAŚ w obecnym kształcie nie chce mieć nic wspólnego. To się wymknęło spod kontroli, to Schlesierzy, nie Ślązacy. To dobrze, że i ta sprawa została wyjaśniona.

Mogę teraz zgodnie z własnym sumieniem powiedzieć:

Żegnaj, Przyjacielu. Święta Barbara wzięła Cię w objęcia.

JADWIGA J. CHMIELOWSKA

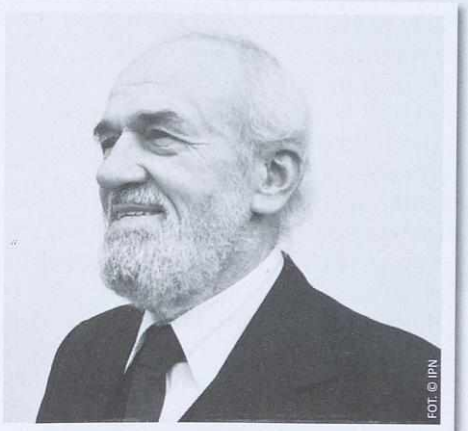

FOT. © IPN

Pożegnanie

Rodzino kochana, przyjaciele moi drodzy, Rodacy!

Wybaczcie mi jeśli za życia mego krzywdy jakiejś doznaliście z mojej strony. W pamięci swej zachowajcie nie złe lecz dobre uczynki moje i proście przez modlitwę do Boga Wszechmogącego, by spojrzał na mą duszę okiem łaskawego Pana.

Brońcie krzyża, znaku Naszej wiary ze wszystkich sił swoich i po kres waszego życia, tak jak ja starałem się to czynić, za przykładem swego patrona Świętego Kazimierza i słów Adama Mickiewicza:

„Tylko pod Krzyżem,
tylko pod tym znakiem,
Polska jest Polską
a Polak Polakiem".

Dziękuję mojej wspaniałej i ukochanej żonie Dorocie za 62 lata małżeństwa, za miłość i wsparcie w trudnych chwilach.

Dziękuję moim Dzieciom, Wnukom i Prawnukom za chwile szczęścia i trosk, jakie mnie spotkały.

Dziękuję wszystkim moim przyjaciołom, którzy mnie wspierali radą i pomocą na drodze mego życia.

Dziękuję wszystkim Tym, których znałem i Tym, których nie znałem, za to że wspierali mnie żarliwą modlitwą w moich poczynaniach.

Dziękuję!
Szczęść Wam Boże.

Kazimierz Świtoń

Pożegnanie, które napisał Kazimierz Świtoń, przeczuwając nadchodzącą śmierć, zostało odczytane 8 grudnia 2014 roku podczas ceremonii pogrzebowej w kościele pod wezwaniem św. Szczepana w Katowicach-Bogucicach.

Z życia Oddziału

Listopadowe spotkanie Oddziału SDP – odbyło się tradycyjnie w ostatni czwartek miesiąca (26 listopada) „U Artystów".

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Uczestnicy zapoznali się z bieżącą działalnością władz statutowych Oddziału, relacją z przebiegu Zjazdu Delegatów SDP w Warszawie oraz planami na grudzień i 1. kwartał 2015 roku. Jerzy Pantak – koordynator projektu „Media Lokalne Warmii, Mazur i Powiśla bodźcem rozwoju i integracji regionu" omówił finalizację prac zapraszając równocześnie na konferencję zamykającą projekt.

Festiwal Sztuki Czytania – jaki odbył się w Centrum Kulturalno-Bibliotecznym w dniach 27-29 listopada, pod patronatem naszej redakcji, zgromadził licznych miłośników książki.

FOT. © JERZY W. RYDEL

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

W ramach trzydniowych spotkań odbyły się przeglądy konkursowe sztuki czytania dla młodzieży i dorosłych, którym towarzyszyły warsztaty, oraz spotkania autorskie z Małgorzatą Kalicińską (autorką powieści *Dom nad rozlewiskiem*), Edwardem Cyfusem (autorem książek o Warmii), Jarosławem Mikołajewskim (poetą i powieściopisarzem, autorem tomiku poezji *Wyręka* oraz publikacji „Rozmowy z Julią Hartwing"), Jerzym Niemczukiem (autorem książki *Bat na koty*). Finałem Festiwalu była prapremiera w dobromiejskim „Teatrze przy stoliku" dramatu „Lepsza" Jerzego Szczudlika. Współorganizatorem I Festiwalu Sztuki Czytania w Dobrym Mieście było Towarzystwo Kultury Teatralnej Warmii i Mazur.

Promocja 2. tomu książki *Stało się* pt. „Generał" – jaka odbyła się 9 grudnia, w sali Instytutu Kultury Chrześcijańskiej przy ul. Kopernika 47, zgromadziła przyjaciół i miłośników twórczości olsztyńskiego literata i dziennikarza Zenona Złakowskiego.

Podczas spotkania fragmenty najnowszej książki zaprezentowała publiczności Irena Telesz-Burczyk, jedna z bohaterek powieści (Helena Hołowiecka), oraz syn autora – Łukasz Złakowski. Promocję dopełnił muzyczny występ: Joanny Bąkowskiej (śpiew), Dominiki Złakowskiej-Cieślak (skrzypce), Krzysztofa Lewandowskiego (gitara), Łukasza Złakowskiego (pianino).

FOT. © IRENEUSZ ST. BRUSKI

Konferencja „Media lokalne Warmii, Mazur i Powiśla bodźcem rozwoju i integracji regionu" jako finał realizowanego projektu odbył się 13 grudnia w Centrum Edukacji i Inicjatyw Kulturalnych w Olsztynie.

FOT. © WITOLD SADOWSKI

Podczas konferencji zaprezentowano cztery referaty: „Informacja – towar reglamentowany?" (dr Dobrochna Ossowska-Salmonowicz, WPiA UWM), „Sytuacja prasy lokalnej w Polsce po 1989 roku" (dr Magdalena Żmijkowska, IDZiKS UWM), „Baza aktualnych danych o mediach lokalnych Warmii, Mazur i Powiśla – stan ilościowy na grudzień 2014" (Jerzy Pantak, SDP), „Szansa w prasie internetowej" (Natalia Szrama i Rafał Gruchalski, „Elbląska Gazeta Internetowa portEl.pl"). Ogłoszono także wyniki konkursu mediów lokalnych „Razem dla Regionu 2014". Nagrody otrzymali: Krystyna Kacprzak („Zapiski Zalewskie"), Marta Wiloch („Elbląska Gazeta Internetowa portEl.pl"), Krzysztof Kępiński („Skarbiec Suski"), Ryszard Kowalski („Roczniki Historyczne Pojezierza Iławskiego") i Daniel Woronko („Portal MediaGroupInfo.pl").

Wieczór opłatkowy – który zgromadził członków Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP odbył się 16 grudnia w olsztyńskiej restauracji „Staromiejska". Dzielenie się opłatkiem i życzenia, wspólne śpiewanie kolęd pod kierunkiem Marka Sokołowskiego, wigilijne potrawy serwowane przez szefa kuchni „Staromiejska" oraz niecodzienna wizyta Świętego Mikołaja z prezentami dopełnia to szczególne, ostatnie w 2014 roku, spotkanie dziennikarzy zrzeszonych w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich na Warmii i Mazurach.

FOT. © GRZEGORZ RADZIK

Annum Novum faustum felicem fortunatum

PREZES ODDZIAŁU

bezwierszówki MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Redaktor naczelny: Ireneusz St. Bruski, tel. 531 507 527, e-mail: bezwierszowki@wp.pl • **Kolegium redakcyjne:** Andrzej Zb. Brzozowski, Jan Rosłan, Stefan Truszczyński, Bożenna Ulewicz • **Stała współpraca:** Teresa Bochwic, Małgorzata Chomicz, Andrzej Dramiński, Krzysztof Kłopotowski, Elżbieta Królikowska-Avis, Marek Palczewski, Jerzy Pantak, Zbigniew Połoniewicz, Adam J. Socha, Marek Sokołowski, Monika Szczygło, Błażej Torański • **DTP:** Marcelina Gorzka • **Adres redakcji** (do korespondencji): 11-041 Olsztyn, ul. kard. Hozjusza 12/3 • **Nakład:** 2000 egzemplarzy • **Druk:** Przedsiębiorstwo Poligraficzne Hakus Maria i Andrzej Kuśmierczyk sp. j., 11-041 Olsztyn, ul. kard. Hozjusza 11, tel. 89 523 92 40, www.hakus.pl

Wieczór opłatkowy
Warmińsko-Mazurskiego Oddziału SDP

Łamanie się opłatkiem

Pojawił się także Święty Mikołaj z prezentami...

Śpiewanie kolęd